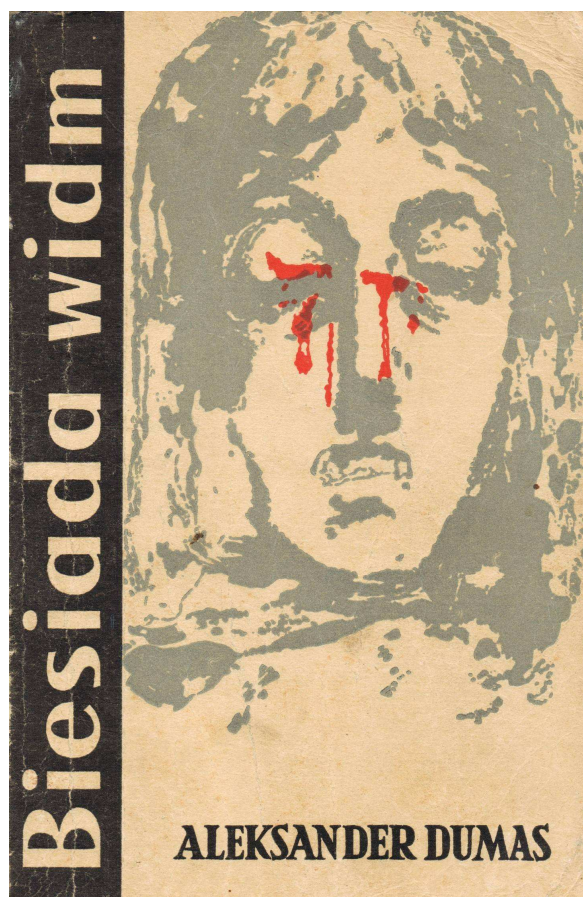


ALEKSANDER DUMAS
(OJCIEC)

BIESIADA WIDM

TYTUŁ ORYGINAŁU: LES MILLE ET UN FANTÔMES
PRZEKŁAD: TADEUSZ JAKUBOWICZ



WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE 1959

Do Pana...

Drogi przyjacielu, mówiłeś mi nieraz — podczas owych nazbyt już rzadkich wieczorów, kiedy to każdy swobodnie gawędzi, wypowiadając swe utajone marzenia bądź ulegając kaprysem wyobraźni lub też roztaczając skarby swoich wspomnień — że od czasów Szeherazydy * a po Charles Nodierze ** jestem jednym z najprzyjemniejszych narratorów, jakich słyszałeś.

I oto piszesz mi właśnie, że zanim otrzymasz ode mnie jakąś długą powieść, wiesz, jedną z owych nie kończących się historii, gdzie ukazują całe stulecie, chciałbyś dostać kilka opowieści — dwa, cztery, najwyżej sześć tomów. Skromne te kwiatki z mojego ogrodu zamierzasz rzucać w wir trosk politycznych obecnej chwili, powiedzmy, między procesem w Bourges a wyborami majowymi ***.

Niestety, mój drogi, czasy są smutne i moje opowieści — uprzedzam cię od razu — nie będą wesołe. Pozwolisz jednak, że znużony widokiem tego, co dzieje się codziennie w życiu rzeczywistym, sięgnę po wątek do świata zmyślnego. Lękam się, niestety, że ci wszyscy, co mają umysł choć trochę wzniosły, poetyczny i marzycielski, znajdują się teraz w takiej jak ja sytuacji. To znaczy, że poszukują ideału, jedynej ucieczki, jaką Bóg pozostawia nam w obliczu rzeczywistości.

Siedzę teraz pośród pół setki tomów, które przeglądam w związku z ukończoną właśnie opowieścią z czasów Regencji. I proszę cię, jeśli będziesz o tym pisał, uprzedź matki, aby nie dawały tej lektury swoim córkom. Otóż, jak ci powiedziałem, siedzę tu teraz i kreśląc te słowa zatrzymuję wzrok na pamiątnikach markiza d'Argenson ****. Na jednej ze stronic pod słowami: „O rozmowie dawniej i dziś”, czytam, co następuje:

„Jestem przekonany, że w czasach kiedy hotel Rambouillet nadawał ton dobremu towarzystwu, umiano lepiej słuchać i lepiej rozumować. Kształcono smak i umysł. Rozmowy, mające stać się wzorem do naśladowania, słyszałem niejednokrotnie wśród bywalców dworu, których odwiedzałem. Odznaczała się ona celnością słowa, wyrazistością oraz finezją, używali

* Szeherazada — królowa, bohaterka opowiadania ze słynnego arabskiego zbioru baśni *Tysiąc i jedna noc*, która zabawia opowieściami swego męża, aby odwieść go od zamiaru zgładzenia jej.

** Charles Nodier (1780—1844) — pisarz francuski, który wystąpił w literaturze w okresie sentymentalizmu; jeden z pierwszych romantyków, autor powieści „werterowskiej” *Le Peintre de Salzbourg*, powieści o szlachetnym zbójcu *Jean Sbogar* i szeregu fantastycznych nowel. Znany jest z błyskotliwej i dowcipnej narracji.

*** Wybory majowe — wybory prezydenta republiki, które się odbyły 15 maja 1848 r.

**** DA'rgenson René Ludwik, margrabia (1694—1757) — syn szefa policji paryskiej, był w latach 1744—1747 ministrem spraw zagranicznych; przyjaciel Woltera; autor *Considérations* i cennych pamiątników.

antyteż, ale ich omówienia podkreślały tylko znaczenie wyrazów. Cechowała ich głębia pozabawiona pedanterii i żartobliwość wolna od złośliwości.”

Markiz d'Argenson pisał dokładnie przed stu laty słowa, które cytuję z jego książki. W owym czasie był on mniej więcej w naszym wieku i my, podobnie jak on, możemy, drogi przyjacielu, powiedzieć: „Znaliśmy ludzi starszych, którzy byli tym, czym my, niestety, już nie jesteśmy, to znaczy ludźmi z dobrego towarzystwa.”

Myśmy ich widzieli, ale nasi synowie już ich nie zobaczą. Oto dlaczego będziemy więcej wari od naszych synów, choć nasza wartość jest dość poślednia.

Prawda, że zbliżamy się wciąż ku wolności, równości i braterstwu, trzem wielkim hasłom, jakie Rewolucja 93 roku rzuciła w nowożytne społeczeństwo, jak zrobiłaby to z tygrysem, lwem i niedźwiedziem, przybranymi w skórę jagnięcia. Były to, na nieszczęście, puste słowa, które widniały poprzez czerwcowe dymy * na podziurawionych kulami naszych gmachach publicznych.

Co do mnie, idę wraz z innymi, jestem uosobieniem ruchu. Niech mnie Bóg broni, bym głosił bezruch! Bezruch to śmierć. Ale idę tak jak jeden z tych, o których mówi Dante, że wprawdzie nogi ich posuwają się naprzód, ale głowa zwrócona jest do tyłu.

Przed wszystkim więc szukam, kierując wzrok ku przeszłości, i żałuję zanikającej kultury życia towarzyskiego, które rozprasza się i ginie, jak jedno z owych widm, o których zamierzam ci opowiedzieć.

Czy po prostu zmarło, czy też myśmy uśmiercili to, co nazywamy towarzystwem, co jest istotą życia wytwornego, pełnego kurtuazji, życia, jakie warto było p r z e ż y ć! (Wybacz mi tę niezręczność, którą mogę zaryzykować nie będąc członkiem Akademii).

Przypominam sobie, jak ojciec zaprowadził mnie, dziecko jeszcze, do pani de Montesson. Była to wielka dama, z innego zupełnie stulecia, która przed sześćdziesięciu prawie laty poślubiła księcia Orleanu, dziadka króla Ludwika Filipa. Liczyła sobie dziewięćdziesiąt lat. Mieszkała w wielkim i okazałym pałacu przy Chaussee d'Antin. Napoleon przyznał jej trzysta tysięcy franków renty.

Czy wiesz, z jakiego tytułu otrzymywała tę rentę, wpisaną do czerwonej księgi następcy Ludwika XVI? Nie! Otóż pani de Montesson pobierała od cesarza sto tysięcy renty za to, że utrzymała w swym salonie dobre tradycje towarzyskie z czasów Ludwika XIV i Ludwika XV.

Jest to akurat połowa sumy, jaką Izba wypłaca obecnie jej siostrzeńcowi, ażeby Francja mogła zapomnieć o tym, co winna była — wedle życzenia jego wuja — zachować w pamięci.

Nie uwierzyłbyś, drogi przyjacielu, że słowo Izba, jakie nieopatrznie tu wspomniałem, prowadzi mnie wprost do pamiętników markiza d'Argenson.

W jakież to sposób?

Zaraz zobaczysz.

„Ludzie skarżą się — powiedział — że we Francji sztuka prowadzenia rozmowy już nie istnieje. Wiem dobrze, co jest tego przyczyną. Otóż nasi współcześni tracą coraz bardziej cierpliwość do słuchania. Słuchają źle, a właściwie wcale już tego nie czynią. Zauważyłem to w najlepszym towarzystwie, w jakim bywam.”

A gdzie jest, drogi przyjacielu, najlepsze towarzystwo, godne, aby w naszych czasach w nim przebywać? Z całą pewnością to, które osiem milionów wyborców uznało za godne reprezentowania interesów, opinii, geniuszu Francji. Słowem, Izba!

A więc wejdź do Izby jakiegokolwiek dnia o dowolnej porze. Można postawić sto przeciwko jednemu, że na trybunie zastaniesz człowieka przemawiającego, a na ławach pięćset, sześćset osób, które nie tylko go nie słuchają, lecz mu przeszkadzają.

To, co mówię, jest tak dalece prawdą, że w konstytucji roku 1848 jest nawet artykuł, który zabrania przerywać przemawiającemu.

* Czerwcowe dymy — chodzi o stłumienie czerwcowego powstania robotników w 1848 r. w Paryżu.

Spróbujże zliczyć, jaką ilością obelg obrzucono Izbę w ciągu mniej więcej roku jej obrad — to nie do obliczenia!

A zawsze, oczywiście, w imię wolności, równości i braterstwa.

Zatem, drogi przyjacielu, żał mi, jak powiedziałem, wielu rzeczy, choć już przebyłem mniej więcej połowę mej drogi życiowej. Otóż ze wszystkiego, co już odeszło i odchodzi, żał mi najbardziej tego, czego przed stu laty żałował markiz d'Argenson: k u r t u a z j i.

A jednak za czasów markiza d'Argenson nikt jeszcze nie myślał zwać się o b y w a t e l e m. Sam więc osądź!

„Oto do czego doszliśmy we Francji: kurtyna zapada, widowisko skończone, słychać tylko gwizdy — pisał. — Wkrótce nie będziemy już mieli ani wytwornych narratorów w salonach, ani sztuk, ani malowideł, ani pałaców, lecz jedynie ludzi zazdrosnych wszędzie o wszystko.”

Gdyby mu powiedziano w owych czasach, że niejeden — ja przynajmniej — pozazdrości jego epoce, jakżeby się zdziwił poczciwy markiz d'Argenson! Cóż tedy czynię? Żyję często pośród umarłych, a czasem między wygnańcami. Próbuję ożywić zamarłe społeczeństwa, ludzi, którzy zniknęli, tych, co wdychali woń ambry zamiast dymu cygara, co wymierzali sobie ciosy szpadą, a nie pięścią.

Oto dlaczego, mój drogi, dziwisz się słysząc w moich opowiadaniach język, jakim już się nie mówi. Oto dlaczego twierdzisz, że jestem przyjemnym narratorem. Oto dlaczego głos mój, echo przeszłości, znajduje jeszcze słuchaczy w czasach obecnych, w czasach, kiedy ludzie słuchają tak mało i źle.

Bo koniec końców, przypominamy owych osiemnastowiecznych weneccjan, którym prawa ograniczające zbytek zezwalały ubierać się tylko w sukno i proste materie. Zawsze więc spoglądamy z upodobaniem na jedwabie i aksamity, i na piękne brokaty, z których w epoce królewskiej krojono szaty dla naszych ojców.

Szczerze ci oddany

Rozdział I

ULICA DIANE W FONTENAY-AUX-ROSES

Jeden z moich dawnych przyjaciół, administrator prywatnej posiadłości królewskiej, zaprosił mnie pierwszego września 1831 roku, abym wraz z jego synem otworzył sezon polowań w Fontenay-aux-Roses.

W owej epoce bardzo lubiłem polować i wybór miejscowości, gdzie miało nastąpić doroczne otwarcie sezonu, stanowił dla mnie, zapalonego myśliwego, nie byle jaką sprawę.

Zazwyczaj jeździliśmy do dzierżawcy lub raczej do przyjaciela mojego szwagra. Tam to właśnie, zastrzelivszy zająca, zadebiutowałem w umiejętności Nemrodów i Elzearów Blaze. Owa farma znajdowała się wśród lasów Compiègne i Villers-Cotterets, o pół mili od uroczej wioski Morierval, a o milę od wspaniałych ruin Pierrefonds.

Trzy tysiące morgów ziemi, stanowiących owo gospodarstwo, to rozległa równina niemal całkowicie otoczona lasami i przecięta pośrodku ładną doliną. W głębi, pośród zielonych łąk i drzew mieniających się różnymi barwami, aż roi się od tonących w listowiu domków, których obecność zdradzają słupy błękitnawego dymu. Pod osłoną otaczających je gór dymy te zrazu strzelają pionowo ku niebu, a następnie, dotarwszy do wyższych warstw powietrza, wyginają się rozstrzępione, niczym wierzchołki palm w podmuchach wiatru.

Na tej równinie i na obydwóch zboczach doliny swawoli zwierzyna z okolicznych lasów.

Toteż na równinie Brassoire napotkać można wszystko: w głębi lasu sarny i bażanty, na wzgórzach zające, na stokach króliki, a wokół farmy kuropatwy. Pan Mocquet — tak zwał się nasz przyjaciel — był więc całkiem pewny, że przybędziemy. Polowaliśmy przez cały dzień, a nazajutrz o drugiej wracaliśmy do Paryża ustrzelivszy w cztery lub pięć strzelb sto pięćdziesiąt sztuk zwierzyny — jednak nie udało się nam nigdy ofiarować naszemu gospodarzowi ani jednej z nich.

Ale owego roku, sprzeniewierzając się panu Mocquet, uległem natarczywości mego starego kolegi biurowego, uwiedziony malowidłem, jakie mi przysłał jego syn, wybitny uczeń szkoły sztuk pięknych w Rzymie. Obraz ten przedstawiał równinę Fontenay-aux-Roses, jej pełne zajęcy ścierniska i rojące się od kuropatw lucerny.

Nie byłem nigdy w Fontenay-aux-Roses: nikt gorzej ode mnie nie zna okolic Paryża. Opuszczając go przebywałem zwykle co najmniej pięćset, sześćset mil. Najmniejsza więc zmiana miejsca stanowiła dla mnie przedmiot ciekawości.

O szóstej po południu wyruszyłem do Fontenay, wychyliwszy, jak zwykle, głowę przez okno. Przekroczyłem roгатkę d'Enfer, mijając z lewej strony ulicę Tombe-Issoire, i pomknąłem drogą na Orlean.

Jak wiadomo, Issoire to nazwisko głośnego bandyty, który za czasów cesarza Juliana obdzierał podróżnych udających się do Luceji. Powieszono go, zdaje mi się, i pochowano w miejscu noszącym obecnie jego imię, niedaleko wejścia do katakumb.

Równina roztaczająca się przy wjeździe do Petit Montrouge ma szczególny wygląd. Pośród jej sztucznych pastwisk, pól marchewki i zagonów buraczanych wznoszą się jakby czworokątne forty z białych kamieni, nad którymi góruje kolo zębate, podobne do szkieletu spalonego fajerwerku. Na okręgu tego koła znajdują się drewniane poprzeczki, na które człowiek kolejno stawia nogi. To koło wiewiórcze stwarza pozór nieustannego posuwania się naprzód, choć w rzeczywistości pozostaje się w miejscu. Chodzi tu o to, aby nawinać dookoła piasty linę, która wydobywa na powierzchnię ziemi głąz wyciosany w głębi kamieniołomu. Głąz ten po chwili unosi się powoli do góry.

Hak podciąga kamień nad krawędź otworu, gdzie czekają walce mające przetoczyć głaz na miejsce przeznaczenia. Następnie lina opuszcza się z powrotem w głąb, aby wydobyć nowy ciężar. Przez chwilę trwa odpoczynek nowożytnego Iksjona, ale zaraz okrzyk oznajmia mu, że już nowy głaz czeka na wydobycie z kamieniołomu. I wszystko powtarza się od początku.

Gdy zapada wieczór, człowiek przebył już dziewięć mil nie ruszając się z miejsca. Gdyby rzeczywiście robił krok w górę, stawiając nogę na poprzeczce, dotarłby w ciągu dwudziestu trzech lat aż na księżyc.

Wieczorem zwłaszcza, kiedy przebywam równiną dzielącą Petit Montrouge od Grand Montrouge, krajobraz wydaje mi się fantastyczny dzięki wielkiej ilości ruchomych kół, które odcinają się wyraźnie na tle płomiennego zachodu. Przypomina to jeden ze sztychów Goyi, cały w półtonach, na którym wyrывacze zębów polują na powieszonych.

Około godziny siódmej koła zatrzymują się, dzień jest zakończony.

Te głazy, wielkie czworoboki, długie na pięćdziesiąt do sześćdziesięciu stóp, a sześć do ośmiu wysokie, to przyszły Paryż, wydzierany z wnętrza ziemi. Kamieniołomy, z których wydobywa się te głazy, powiększają się z dnia na dzień. Jest to ciąg dalszy katakumb, na których został zbudowany stary Paryż. Są to przedmieścia podziemnego miasta, które rozprzestrzeniają się coraz bardziej i docierają do peryferii. Wędrując przez tę łąkę w Montrouge, stąpa się po przepaści. Co jakiś czas natrafia się na zagłębienie w terenie, na miniaturową dolinkę, na wzniesienie w gruncie. Jest to źle wsparty od spodu kamieniołom, którego pułap gipsowy pękł i powstała rysa, przez którą przesączała się woda do pieczary. Woda podmyła ziemię — stąd nierówność terenu, zwana zapadliskiem.

Kto o tym nie słyszał, kto nie wie, że ta piękna i nęcąca warstwa ziemi pokrytej zielenią nie opiera się dosłownie na niczym, może nagle zniknąć, stąpawszy na takie pęknięcie, tak jak się znikła w Montanvert pomiędzy dwiema lodowymi ścianami.

Charakter i fizjonomię mieszkańców tych podziemnych galerii cechuje, tak jak ich egzystencję, coś specyficznego. Żyjąc w mroku, nabyli do pewnego stopnia cech nocnych zwierząt — są milczący i dzicy. Słyszcy się często o zaszłych wypadkach: zawiódł stempel, pękła lina, zmiażdżyło człowieka. Na powierzchni ziemi sądzi się, że to nieszczęście, trzydzieści stóp pod ziemią wie się z pewnością, że to zbrodnia.

Wygląd kamieniarzy jest na ogół ponury. W dzień mrużą oczy, na powietrzu głos ich brzmi głucho. Włosy opadają im aż na brwi, brzytwa dotyka brody tylko w niedzielę rano. Noszą kamizelkę i koszulę z grubego zgrzebnego płótna, skórzany fartuch, wytarty aż do białości na kamieniach, granatowe płócienne spodnie, na ramieniu mają złożoną w pół kurtkę, na której opiera się stylisko oskarda lub kilofa, łupiącego kamień przez sześć dni w tygodniu.

Kiedy wybuchają gdzieś rozruchy, rzadko się zdarza, że nie biorą w nich udziału. Gdy na rogatce d'Enfer ktoś powie: „O, idą już kamieniarze z Montrouge!”, mieszkańcy okolicznych domów potrząsają głowami i zamykają drzwi.

Oto, na co patrzyłem i co widziałem w ciągu tej godziny o zmierzchu, która we wrześniu dzieli dzień od nocy. A gdy zapadł zmrok, cofnąłem się w głąb pojazdu, z którego nikt z moich współtowarzyszy na pewno nie zobaczył tego co ja. Tak jest ze wszystkim: wielu patrzy, ale bardzo nieliczni widzą.

Około wpół do dziewiątej przybyliśmy do Fontenay-aux-Roses, gdzie czekała na nas doskonała kolacja, a następnie przechadzka po ogrodzie.

Sorrento jest gajem pomarańczowym, Fontenay — bukietem róż. Każdy z domów ma swój krzew różany pnący się po murze, a u dołu chroniony ogrodzeniem z desek. Na pewnej wysokości krzew rozrasta się w olbrzymi wachlarz, powietrze pachnie balsamicznie, a za lada podmuchem wiatru sypie się deszcz płatków różanych, jak w czasie Bożego Ciała.

Gdyby nie zmrok, ujrzelibyśmy z krańca ogrodu rozległy widok. Tylko rozsiane w przestrzeni światła wskazywały wioski: Sceaux, Bagneux, Châtillon i Montrouge. W dali widać

było długie rudawe pasmo, skąd docierał głuchy pomruk, podobny do oddechu Lewiatana — tchnienie Paryża.

Trzeba było wprost siłą zapędzić nas, tak jak dzieci, do łóżka. Chętnie chłonęlibyśmy woń powietrza aż do rana pod tym pięknym, haftowanym w gwiazdy, niebem.

O piątej z rana wyruszyliśmy na łowy, prowadzeni przez syna naszego gospodarza, który obiecywał nam złote góry. Muszę stwierdzić, że w dalszym ciągu nęcił nas obfitością zwierzyny na swym terenie z wytrwałością godną lepszej sprawy.

W południe spostrzegliśmy królika i cztery kuropatwy. Mój towarzysz z prawej strony, strzelając do królika, spudłował, sąsiad z lewej nie trafił do kuropatwy, dwie z nich ja zabiłem.

W Brassoire, do południa, już bym ustrzelił trzy, cztery zające i piętnaście lub dwadzieścia kuropatw.

Lubię polowanie, ale nie cierpię spaceru, zwłaszcza przez pola. Toteż wyłamawszy się z linii uskokiem w bok pod pretekstem zbadania pola koniczyny, znajdującego się na lewo ode mnie.

Była tam zapadła dróżka, na którą właśnie zwróciłem uwagę w zamiarze ucieczki, jaki owładnął mną od dwóch godzin. Kryjąc mnie przed wzrokiem pozostałych myśliwych, owa ścieżka w kierunku Sceaux powinna była zaprowadzić mnie wprost do Fontenay-aux-Roses.

Nie omyliłem się. W chwili gdy na wieży kościelnej biła godzina pierwsza, docierałem do pierwszych domostw w wiosce.

Szedłem wzdłuż muru otaczającego, jak się zdawało, dość piękną posiadłość. A kiedy znalazłem się w miejscu, gdzie ulica Diane styka się z Grande-Rue, spostrzegłem mężczyznę idącego z przeciwnej strony, od kościoła. Wyglądał tak dziwnie, że przystanąłem i instynktownie nabiłem dubeltówkę, wiedziony prostym odruchem samozachowawczym.

Ale ów mężczyzna, blady, z włosami zjeżonymi i wytrzeszczonymi oczyma, z zakrwawionymi rękami, w ubraniu w nieładzie, przeszedł obok nie widząc mnie wcale, patrząc nieruchomym wzrokiem przed siebie. Szedł z impetem, tak jak się schodzi ze zbyt stromej góry, ale jego rzęzący oddech świadczył raczej o przestachu niż o zmęczeniu.

W miejscu, gdzie rozwidlały się obie drogi, mężczyzna popędził ulicą Diane. Tam znajdowało się wejście do posiadłości, wzdłuż której posuwałem się przez kilka minut. W tej samej chwili wzrok mój spoczął na bramie koloru zielonego, oznaczonej numerem drugim. Ręka mężczyzny wyciągnęła się w stronę dzwonka, zanim jeszcze mogła go osiągnąć, i targnęła nim gwałtownie. On sam zaś, zakręciwszy się w miejscu opadł natychmiast na jeden ze słupków przy bramie, wysunięty nieco naprzód. Trwał tam nieruchomo, zwiesiwszy ramiona, z głową opuszczoną na pierś.

Zawróciłem, będąc do głębi przekonany, że ten człowiek musi być zamieszany w jakiś tajemniczy i straszliwy dramat.

Nieco dalej, po obu stronach ulicy stało na progu domów kilka osób, na których sprawił, bez wątpienia, takie samo jak na mnie wrażenie. Przyglądały mu się ze zdumieniem.

Na odgłos gwałtownie szarpniętego dzwonka otwały się drzwiczki obok dużej bramy i stanęła w nich czterdziestoparoletnia kobieta.

— Ach, to wy, Jacquemin! — rzekła. — Cóż wy tu robicie?

— Czy pan mer jest w domu? — zapytał mężczyzna stłumionym głosem.

— Jest.

— A więc, powiedzcie mu, matko Antoine, że zabiłem swoją żonę i chcę się oddać w ręce sprawiedliwości.

Matka Antoine wydała okrzyk. Zawtórowało mu kilka innych pod wpływem grozy, jaka ogarnęła wszystkich stojących w pobliżu, którzy usłyszeli to straszliwe wyznanie.

Ja sam cofnąłem się o krok i natrafiwszy na pień lipy oparłem się o nią.

Znieruchomieli zresztą wszyscy, do których dotarł głos Jacquemina.

Co się tyczy zabójcy, to zsunął się ze słupka na ziemię, jak gdyby opuściły go siły z chwilą, gdy wypowiedział owe fatalne słowa.

Tymczasem matka Antoine znikła, pozostawiając drzwiczki otwarte. Było rzeczą oczywistą, że poszła, aby powtórzyć swemu panu polecenie, jakim obarczył ją Jacquemin.

Po upływie pięciu minut na progu drzwi ukazał się mer, a za nim dwóch mężczyzn.

Widzę jeszcze przed sobą tę ulicę.

Jacquemin, jak powiedziałem, leżał na ziemi. Mer Fontenay-aux-Roses, którego sprowadziła matka Antoine, stał obok górując nad nim całą wysokością swego wzrostu. We drzwiach stłoczyły się dwie pozostałe osoby, o których za chwilę powiemy obszerniej. Ja byłem oparty o drzewo, rosnące na Grande-Rue. Wzrok mój sięgał na ulicę Diane. Po lewej stronie stała grupa złożona z mężczyzny, kobiety i dziecka, które płakało, chcąc, aby matka wzięła je na ręce. Za tą grupą widać było piekarza, który wychyliwszy się z okna pierwszego piętra rozmawiał ze swoim pomocnikiem na dole pytając go, czy to nie kamieniarz Jacquemin przebiegł przed chwilą. I wreszcie zjawił się w drzwiach kuźni kowal, cały czarny, na tle jaskrawej czerwieni ognia, który terminator bezustannie podsyczał miechem.

Tak wyglądała Grande-Rue.

Natomiast ulica Diane, poza opisaną już główną grupą, była pusta. Tylko na jej krańcu wyłonili się dwaj żandarmi. Ukończywszy wśród mieszkańców równiny kontrolę zezwolenia na broń, zbliżali się najspokojniej w naszą stronę, nie domyślając się pracy, jaka ich czeka.

Zegar wydzwonił kwadrans po pierwszej.

Rozdział II

ZAULEK SIERŻANTÓW

Ostatnie jego uderzenie zmieszało się z dźwiękiem pierwszych słów mera.

— Jacquemin — rzekł — matka Antoine musiała chyba zbzikować. Oznajmiła mi właśnie, że twoja żona nie żyje i że to ty ją zabiłeś!

— Jest to najszczęsza prawda, panie merze — odparł Jacquemin. — Trzeba odprowadzić mnie do więzienia i bardzo prędko osądzić.

Mówiąc to próbował powstać, opierając się łokciem o słupek. Ale po tym wysiłku opadł z powrotem, jak gdyby miał strzaskane nogi.

— Co znowu! Oszalałeś! — zawołał mer.

— Proszę spojrzeć na moje ręce — odparł.

Podniósł obie skrwawione ręce. Zgięte kurczowo palce upodobniały je do szponów.

Rzeczywiście, lewa ręka była czerwona aż poza nadgarstek, a prawa aż po sam łokieć.

Prócz tego, wzdłuż kciuka prawej ręki ściekała strużka świeżej krwi. Pochodziła ona z miejsca ugryzionego przez ofiarę, która według wszelkiego prawdopodobieństwa szamotała się z mordercą.

Tymczasem żandarmi zatrzymali się o dziesięć kroków od głównego sprawcy tej sceny i patrzyli z wysokości swych koni.

Mer dał im znak. Wówczas zsiadli, rzucając uzdy jakiemuś urwisowi w czapce policyjnej, który był zapewne wychowankiem żandarmerii.

Następnie zbliżyli się do Jacquemina i chwyciwszy go pod pachy, unieśli w górę. Poddawał się wszystkiemu bez oporu, z biernością człowieka, którego umysł pochłonięty jest jedną jedyną myślą.

W tej samej chwili przybył komisarz policji oraz lekarz, uprzedzeni już o fakcie.
— O, proszę, panie Robert! Proszę, panie Cousin! — wykrzyknął mer.
Pierwszy z nich był lekarzem, drugi — komisarzem policji.
— Chodźcie, panowie! Miałem właśnie po was posłać.
— Cóż to się stało? — zapytał lekarz z najjowialniejszą w świecie miną. — Podobno jakieś maleńkie morderstwo.
Jacquemin nic nie odpowiedział.
— Powiedzcież, ojcze Jacquemin — ciągnął dalej doktor — czy to prawda, żeście zabili swoją żonę?
Jacquemin nie pisał ani słówka.
— Przynajmniej tak się sam oskarżył — rzekł mer.
— Spodziewam się, że mówił to pod wpływem chwilowej halucynacji, a nie rzeczywiście dokonanej zbrodni.
— Jacquemin — odezwał się komisarz policji — odpowiadajcie. Czy to prawda, że zabiliście żonę?
Milczenie, tak jak poprzednio.
— W każdym razie musimy zobaczyć — rzekł doktor Robert. — Czy nie mieszka on w zaułku Sierżantów?
— Tak — odparli obaj żandarmi.
— A więc, panie Ledru — powiedział doktor zwracając się do mera — chodźmy tam.
— Ja nie idę! Nie idę! — wykrzyknął Jacquemin wyrывая się z rąk żandarmów. Stało się to tak nagle, że gdyby chciał uciekać, byłby już z pewnością o sto kroków stąd, zanim ktoś by pomyślał o pościgu.
— Ale dlaczego nie chcesz tam pójść? — zapytał mer.
— A na co mi to potrzebne, skoro przyznałem się do wszystkiego, skoro mówię, że ją zabiłem! Zabiłem tą wielką szablą, którą zabrałem zeszłego roku z Muzeum Artylerii! Zaprowadźcie mnie do więzienia! A tam nie mam nic do roboty! Prowadźcie mnie do więzienia!
Lekarz i pan Ledru spojrzeli po sobie.
— Mój przyjacielu — wtrącił komisarz policji, który podobnie jak mer przypuszczał jeszcze, że Jacquemin uległ chwilowemu zamroczeniu umysłu. — Konfrontacja jest konieczna natychmiast. Zresztą musicie tam być, ażeby pomóc sprawiedliwości.
— Na cóż to sprawiedliwości potrzebna jest pomoc? — zawołał Jacquemin. — Znajdziecie w piwnicy ciało, a obok, w worku po gipsie, głowę... Prowadźcie mnie do więzienia!
— Wy musicie tam pójść! — oświadczył komisarz.
— Och, mój Boże! Mój Boże! — zawołał Jacquemin w paroksyzmie straszliwej grozy.
— Och, mój Boże! Gdybym był wiedział...
— No to cóż byś zrobił? — zapytał komisarz policji.
— Byłbym się zabił!
Pan Ledru potrząsnął głową i spojrział na komisarza jak gdyby mówiąc: „Coś się pod tym kryje”.
— Mój przyjacielu — podjął zwracając się do zabójcy — wytłumacz mi to.
— Owszem, panu powiem wszystko, co tylko pan zechce! Proszę mnie pytać.
— Skoro miałeś odwagę popełnić zabójstwo, jak to jest możliwe, że ci jej brak, by znaleźć się w obliczu swej ofiary? Czyżby stało się coś, czego nam nie powiedziałaś?
— Och, tak! Coś okropnego!
— A więc, dalej, mów!
— O, nie! Powiedzielibyście, panowie, że to nieprawda, że zwariowałem.
— Mniejsza o to! Cóż więc się stało? Powiedzże mi.
— Powiem, ale tylko panu.
Jacquemin przysunął się do pana Ledru.

Obaj żandarmi chcieli go powstrzymać, ale na znak dany przez mera nie stawiali więźniowi przeszkód.

Zresztą, gdyby nawet chciał uciekać, było to już teraz niewykonalne. Połowa mieszkańców Fontenay-aux-Roses zapełniała ulicę Diane i Grande-Rue.

Jacquemin stał tuż obok pana Ledru.

— Czy wierzy pan — szepnął mu do ucha — że głowa odcięta od tułowia może mówić?

Pan Ledru wydał okrzyk i zbladł.

— Czy pan w to wierzy? — powtórzył Jacquemin. — Proszę powiedzieć.

Pan Ledru przemógł się.

— Tak — odparł — wierzę.

— A więc!... A więc... ona przemówiła!

— Kto?!

— Głowa... głowa Joanny.

— Mówisz?...

— Mówię, że oczy miała otwarte... tak... że poruszyła ustami... Mówię, że spojrzała na mnie... A popatrzysz powiedziała: „Nędzniku!”

Wypowiadając te słowa, które mogli słyszeć wszyscy, choć były przeznaczone tylko dla pana Ledru, Jacquemin wyglądał przerażająco.

— O, pyszna historia! — wykrzyknął śmiejąc się doktor. — Przemówiła... Odcięta głowa przemówiła! Pyszne, pyszne!

Jacquemin odwrócił się.

— Przecież panu mówię! — zawołał.

— A więc — odezwał się komisarz — tym bardziej musimy udać się na miejsce, gdzie dokonano zbrodni. Żandarmi, prowadźcie więźnia!

Jacquemin wijąc się cały zawołał:

— Nie, nie! Możecie pokrajać mnie w kawałki, jeżeli chcecie, ale ja nie pójdę!

— Chodźże, przyjacielu — wtrącił pan Ledru. — Jeżeli prawdą jest, żeś popełnił straszną zbrodnię, o jaką się oskarżasz, będzie to już pokutą. Zresztą — dodał szeptem — opór jest bezcelowy. O ile nie zechcesz pójść dobrowolnie, zaprowadzą cię tam siłą.

— Ha, więc zgoda — odparł Jacquemin. — Ale niech mi pan mer przyrzeknie jedno.

— Co takiego?

— Będzie pan przy mnie przez cały czas, póki pozostaniemy w piwnicy.

— Dobrze.

— Pozwoli mi pan trzymać się za rękę?

— Tak.

— A więc, chodźmy! — rzekł.

Wyjawszy z kieszeni kraciatą chustkę, otarł zroszone potem czoło.

Skierowano się w stronę zaułka Sierżantów. Na przedzie kroczył komisarz z doktorem, następnie Jacquemin oraz dwaj żandarmi. Za nimi podążał pan Ledru wraz z obu mężczyznami, którzy ukazali się przedtem na progu jego domu.

Dalej toczyła się, niczym spieniony, hałaśliwy potok, cała ludność, wśród której i ja się znajdowałem.

Po upływie minuty doszliśmy do zaułka Sierżantów. Była to mała uliczka, ciągnąca się na lewo od Grande-Rue. Prowadziła w dół ku dużej zrujnowanej drewnianej bramie, której obie połowy otwierały się na oścież. W jednej z nich znajdowały się małe drzwiczki, wiszące na jednej zawiasie.

Na pierwszy rzut oka wszystko w tym domu tchnęło, zda się, spokojem. Obok wejścia kwitł krzak róży, a w pobliżu niego, na kamiennej ławce, kot błogo wygrzewał się w słońcu.

Ale widząc tyłu ludzi i słysząc cały ten zgiełk, przestraszył się i umknął, znikając w

piwnicznym okienku.

Dotarłszy do opisanej przed chwilą bramy, Jacquemin zatrzymał się. Żandarmi chcieli wepchnąć go siłą.

— Panie merze — rzekł odwracając się — przyrzekł mi pan, że mnie nie opuści.

— Proszę, jestem! — odparł pan Ledru.

— Ramię! Pańskie ramię!

Jacquemin chwiał się, jak gdyby miał za chwilę upaść.

Pan Ledru zbliżył się, skinął na żandarmów, aby puścili więźnia, i podał mu ramię.

— Odpowiadam za niego — rzekł.

Było rzeczą oczywistą, że w owej chwili występował już nie jako mer gminy współdziałający w ukaraniu zbrodni, lecz jako filozof, który bada dziedzinę rzeczy nieznanych.

Tylko że w tym szczególnym badaniu asystował mu morderca.

Pierwszy wszedł lekarz i komisarz policji, następnie pan Ledru i Jacquemin, potem kilka osób uprzywilejowanych. W ich liczbie znajdowałem się i ja, dzięki kontaktom nawiązanym z panami żandarmami. Nie byłem już dla nich obcy, miałem bowiem zaszczyt spotkać się z nimi na równinie i okazać pozwolenie na broń.

Brama zamknęła się przed resztą mieszkańców, którzy pomrukując pozostali na zewnątrz.

Weszliśmy do środka domku.

Nic nie zapowiadało straszliwego wydarzenia, jakie się tu rozegrało. Wszystko było na swoim miejscu. W alkowie — łóżko przykryte zieloną kapą, a w jego głowach hebanowy krucyfiks, nad którym zeschła gałązka bukszpanu wisiała od ostatniej Wielkanocy. Na kominku — Dzieciątko Jezus z wosku, leżące wśród kwiatów, między dwoma świecznikami w stylu Ludwika XVI, niegdyś posrebrzanymi. Na ścianie widniały cztery barwne ryciny w czarnych ramkach, przedstawiające cztery części świata.

Na stole leżało nakrycie, na kuchni kipiał garnek, a obok kukułki wydzwaniającej połowy godzin stała otwarta skrzynia.

— No więc! — odezwał się doktor swoim jowialnym tonem. — Jak dotąd, nic nie widzę.

— Przejdźcie dalej na prawo — mruknął głucho Jacquemin.

Idąc za tą wskazówką znaleźliśmy się w izdebce będącej jakby lamusem. W rogu widniał otwór w podłodze, a ponad nim migotał blask, który docierał tu z dołu.

— Tam, tam! — szepnął Jacquemin czepiając się jedną ręką ramienia pana Ledru, drugą zaś wskazując otwór piwnicy.

— Ach, ach! — szepnął lekarz do komisarza policji z uśmiechem właściwym ludziom, którzy niczym się nie przejmują, bo w nic nie wierzą.

— Zdaje się, że pani Jacquemin zastosowała się do przepisu mistrza Adama. — Powiedziawszy to zanucił:

*A kiedy umrę, niech mnie pochowają
W piwnicy, gdzie jest...*

— Cicho! — przerwał Jacquemin. Twarz miał siną, włos zjeżony, czoło oblane potem. — Proszę tu nie śpiewać!

Doktor zamilkł, poruszony tonem tego głosu.

Ale niemal zaraz, zszedłszy kilka stopni niżej, odezwał się:

— Co to takiego?

Schyliwszy się podniósł szablę o szerokiej klindze.

Był to dwuręczny miecz, który Jacquemin zabrał, jak sam oświadczył, 29 lipca 1830 roku z Muzeum Artylerii. Na klindze widniała krew.

Komisarz policji wziął tę szablę z rąk doktora.

— Poznajecie tę szablę? — zapytał więźnia.

— Tak — odparł Jacquemin. — Szybciej, szybciej! Skończmy już z tym!

Był to pierwszy dowód morderstwa, jaki napotkano.

Wszyscy zeszli do piwnicy w poprzedniej kolejności.

Lekarz i komisarz policji pierwsi, następnie pan Ledru i Jacquemin, dalej dwie osoby, które były u mera, żandarmi i wreszcie uprzywilejowani — w ich liczbie i ja.

Stanąwszy na siódmym stopniu zapuściłem spojrzenie w głąb piwnicy, ogarniając nim straszliwy widok, który postaram się opisać.

Mój wzrok zatrzymał się przede wszystkim na bezgłowym trupie, leżącym w pobliżu beczki. Kurek pozostał niedokręcony, tak że ciekła z niej bez przerwy strużka wina żłobiąc brzdęk, która ginęła pod legarem beczki.

Trup był na pół skręcony, jak gdyby przedśmiertne skurcze ogarnęły leżący na grzbiecie tułów, ale nie zdołały objąć nóg. Spod zadartej z jednej strony spódnicy wyglądała podwiązka.

Ofierze zadano, jak widać, cios w chwili gdy klęcząc przy beczce napełniała winem butelkę, która wysunąwszy się z jej rąk upadła obok.

Cała górna część ciała tonęła w kałuży krwi.

Na worku z gipsem, opartym o ścianę, sterczała — jak popiersie na postumencie — głowa, choć można się było jej tylko domyślić pod gęstwiną włosów. Krwawa smuga znaczyła worek od góry aż do połowy.

Lekarz i komisarz policji zdążyli już obejść zwłoki dookoła i stali na wprost schodów.

Pośrodku piwnicy znajdowali się dwaj przyjaciele pana Ledru oraz kilku ciekawych, którzy skwapliwie tam dotarli.

Przy samych schodach tkwił Jacquemin, który w żaden sposób nie chciał posunąć się ani o krok dalej. Za nim stali obaj żandarmi.

W głębi, na schodach, skupiło się pięć, sześć osób — wśród nich i ja.

Całe to ponure wnętrze rozświetlał chybotliwy blask świecy, stojącej na beczce z winem, obok której leżały zwłoki żony Jacquemina.

— Stół, krzesło i protokołujmy! — zarządził komisarz policji.

Rozdział III

PROTOKÓŁ

Gdy przyniesiono potrzebne sprzęty, komisarz ustawivszy równo stół zasiadł przy nim i zażądał świecy, którą doktor zabrał z beczki, ominąwszy zwłoki. Następnie wydobył z kieszeni kałamarz, pióra, papier i przystąpił do protokołowania.

W trakcie pisania wstępu doktor, wiedziony ciekawością, posunął się ku stojącej na worku głowie. Ale komisarz powstrzymał go.

— Niech pan niczego nie dotyka — rzekł. — Stosujmy się do przepisów.

— Zupełnie słusznie — odparł lekarz i wrócił na swoje miejsce.

Przez kilka minut trwało milczenie, przerywane tylko skrzypieniem pióra na chropowatym urzędowym papierze, który zapełniał się pismem z szybkością, jaką daje nawyk i rutyna.

Po pewnej chwili komisarz podniósł głowę, rozglądając się wokół.

— Kto zechce wystąpić w charakterze świadka? — zapytał zwracając się do mera.

— Przede wszystkim ci panowie — odparł pan Ledru wskazując swoich dwóch przyjaciół, którzy stali obok siedzącego komisarza.

— Dobrze.

Potem komisarz odwrócił się w moją stronę.

— Następnie pan, jeżeli nie sprawia mu przykrości figurowanie w protokole.

— Bynajmniej — odparłem.

— Może więc podejdzie pan tutaj — rzekł komisarz.

Konieczność zbliżenia się do trupa napełniała mnie odrazą. Z odległości pewne szczegóły, nie uchodząc mej uwagi, wydawały się mniej ohydne. Półmrok, w jakim były pograżone, zasnuwał ich grozę jakby mgłą tajemniczości.

— Czy to konieczne? — zapytałem.

— Co?

— Abym się zbliżył.

— Nie. Proszę pozostać tam, jeśli pan woli.

Skinąłem głową, co miało znaczyć: „Pragnę być tam, gdzie jestem.”

Komisarz policji zwrócił się do jednego z bliżej stojących przyjaciół pana Ledru.

— Pańskie nazwisko, imiona, wiek, tytuł, zawód i adres? — zapytał z wprawą człowieka nawykłego do zadawania podobnych pytań.

— Jan Ludwik Alliette — brzmiała odpowiedź — pseudonim Etteilla, literat, zamieszkały przy ulicy Ancienne-Comédie nr 20.

— Zapomniał pan podać swój wiek — odezwał się komisarz.

— Mam powiedzieć, ile mam lat naprawdę czy też, ile mi dają?

— Powiedz mi pan, dalibóg, swój wiek! Ma się tylko jeden!

— To znaczy, panie komisarzu, że niektóre osoby, na przykład Cagliostro, hrabia de Saint-Germain, Żyd- tułacz...

— Chciałby się pan podać za Cagliostra, hrabiego de Saint-Germain czy Żyda-tułacza? — zapytał komisarz marszcząc brwi na myśl, że ktoś drwi sobie z niego.

— Nie, ale...

— Siedemdziesiąt pięć lat — wtrącił pan Ledru. — Proszę napisać, panie Cousin, siedemdziesiąt pięć lat.

— Niech będzie! — rzekł komisarz zapisując podany wiek.

— A pan? — zwrócił się następnie do drugiego z przyjaciół mera. Powtórzył przy tym te same pytania co poprzednio.

— Piotr Józef Moulle, lat sześćdziesiąt jeden, duchowny, przynależny do kościoła Saint-Sulpice, zamieszkały przy ulicy Servandoni nr 11 — odparł łagodnym głosem zapytany.

— A pan? — zapytał mnie.

— Aleksander Dumas, autor dramatyczny, dwadzieścia siedem lat, zamieszkały w Paryżu, ulica Université nr 21.

Pan Ledru odwrócił się w moją stronę z ujmującym uśmiechem, na który odpowiedziałem jak mogłem najuprzejmiej.

— A więc! — odezwał się komisarz. — Posłuchajcie, panowie, czy tak jest dobrze. Może będziecie mieli jakieś uwagi.

Po czym głosem nosowym i monotonnym, właściwym tylko urzędnikom państwowym, odczytał:

„W dniu dzisiejszym, pierwszego września 1831 roku, o godzinie drugiej po południu, będąc powiadomiony, że w gminie Fontenay-aux-Roses niejaki Piotr Jacquemin dokonał morderstwa na osobie Marii Joanny Ducoudray, swojej żony, i że udał się do mieszkania pana Jana Piotra Ledru, mera wspomnianej gminy, aby samorzutnie podać się za sprawcę tej zbrodni, pośpieszyliśmy we własnej osobie do domu wyżej wymienionego Jana Piotra Ledru przy ulicy Diane nr 2, do którego to domu przybyliśmy w asyście pana Sebastiana Robert,

doktora medycyny, zamieszkałego we wspomnianej gminie Fontenay-aux-Roses, i zastaliśmy tamże pod strażą żandarmerii wyżej wymienionego Piotra Jacquemin, który powtórzył wobec nas, że jest sprawcą morderstwa swojej żony. Na skutek tego wezwaliśmy go, aby poszedł z nami do domu, gdzie dokonał zbrodni, czemu sprzeciwił się z początku, ale potem ustąpił wobec perswazji pana mera, tak że udaliśmy się do zaułka Sierżantów, gdzie znajduje się dom zamieszkały przez Piotra Jacquemin. Po przybyciu tam i zamknięciu bramy, aby nie dopuścić do wtargnięcia ludności, wkroczyliśmy najpierw do pierwszego pokoju, gdzie nic nie świadczyło o dokonanej zbrodni. Następnie, na propozycję samego Jacquemina, przeszliśmy z pierwszej izby do drugiej, gdzie spostrzegliśmy w rogu obok schodów otwartą zapadnię. Dowiedziawszy się, że schody prowadzą do piwnicy, w której miały się znajdować zwłoki ofiary, zaczęliśmy schodzić na dół. Na pierwszych stopniach doktor znalazł szablę z rękojeścią w kształcie krzyża, o szerokiej i ostrej kłindze, którą to szablę wymieniony Jacquemin zabrał, jak sam przyznaje, podczas rewolucji lipcowej z Muzeum Artylerii i posłużył się potem dla dokonania zbrodni. W piwnicy znaleźliśmy na podłodze ciało żony Jacquemina, leżące na wznak w kałuży krwi — głowa odłączona od tułowia sterczała na worku gipsu opartym o ścianę. Gdy wymieniony Jacquemin stwierdził wyraźnie, że to jest ciało i głowa jego żony, wówczas przystąpiliśmy w obecności pana Jana Piotra Ledru, mera gminy Fontenay-aux-Roses, pana Sebastiana Robert, doktora medycyny, zamieszkałego w Fontenay-aux-Roses, pana Jana Ludwika Alliette, zwanego Etteilla, literata, lat siedemdziesiąt pięć, zamieszkałego w Paryżu przy ulicy Ancienne-Comédie nr 20, pana Piotra Józefa Mouille, lat sześćdziesiąt jeden, duchownego, przynależnego do kościoła Saint-Sulpice, zamieszkałego w Paryżu, przy ulicy Servandoni nr 11, pana Aleksandra Dumas, autora dramatycznego, lat dwadzieścia siedem, zamieszkałego w Paryżu, ulica Université nr 21 — do badania oskarżonego, jak poniżej.”

— Czy tak, panowie? — zapytał komisarz policji, zwracając się do nas z widocznym zadowoleniem.

— Doskonale! — zawołaliśmy zgodnym chórem.

— A więc, zbadajmy oskarżonego!

Odróciwszy się do więźnia, który przez cały czas oddychał ciężko jak człowiek maltretowany, komisarz rzekł:

— Oskarżony, wasze nazwisko, imiona, wiek, adres i zawód?

— Długo to wszystko będzie jeszcze trwało? — zapytał więzień, jak gdyby doszedł do kresu sił.

— Odpowiedzcie: nazwisko i imiona?

— Piotr Jacquemin.

— Wiek?

— Czterdzieści jeden lat.

— Miejsce zamieszkania?

— Przecież wiadomo, skoro tu jesteście.

— To jest nieistotne. Prawo wymaga, abyście odpowiedzieli.

— Zaułek Sierżantów.

— Zawód?

— Kamieniarz.

— Przyznajecie się do popełnienia zbrodni?

— Tak.

— Powiedzcie, co was do tego skłoniło i w jakich okolicznościach to się stało?

— Co mnie do tego skłoniło... Czy to nie wszystko jedno — rzekł Jacquemin. — To pozostanie tajemnicą między mną a nią.

— Jednakże nie ma skutku bez przyczyny.

— Przyczyny, powiadam, nie dowiecie się. A co do okoliczności, jak mówicie...

Chcielibyście je znać?

— Tak.

— No to wam powiem. Gdy się pracuje pod ziemią, tak jak to my pracujemy, w ciemnościach, i kiedy człowieka coś gryzie i gnębi, no to wtedy nachodzą go różne złe myśli.

— Ho, ho! — przerwał komisarz. — Przyznajecie się do premedytacji.

— Przecież mówię, że się przyznaję do wszystkiego! Nie dość jeszcze?

— Owszem... Mówcie!

— No więc, naszła na mnie taka zła myśl: zabić Joannę... Cały miesiąc chodziło mi to po głowie, serce buntowało się... Ale w końcu jedno słowo kolegi przeważało wszystko.

— Jakież to słowo?

— O, to pana nie obchodzi. Z rana powiedziałem do Joanny: „Nie idę dzisiaj do pracy, zabawię się tak jak w święto. Zagram sobie w kręgle z kolegami. Postaraj się, żeby obiad był na pierwszą.” — „Ale...” — „No dosyć, nie gadaj!... Obiad o pierwszej, słyszysz?” — „Dobrze!” — powiedziała Joanna i poszła po zakupy.

Wtedy ja, zamiast iść pograć sobie w kręgle, wziąłem tę oto szablę. Sam ją naostrzyłem na kamieniu. Poszedłem do piwnicy i ukryłem się za beczkami. Powiedziałem sobie, że będzie przecież musiała zejść do piwnicy po wino, wtedy zobaczymy. Nie wiem sam, ile czasu tu byłem, przykucnąwszy za stojącą beczką. Miałem gorączkę, serce biło mi mocno i wszystko wydawało mi się w ciemnościach czerwone. A jakiś głos powtarzał wciąż we mnie i dokoła mnie to jedno słowo, które kolega powiedział mi wczoraj.

— Ale koniec końcem, co to za słowo? — nalegał komisarz.

— Wszystko jedno! Powiedziałem już, że się go nigdy nie dowiecie... Usłyszałem szelest spódnicy, zbliżające się kroki. Zobaczyłem migotliwy blask, dolną część ciała schodzącej, a potem górną, potem głowę... Dobrze było widać jej głowę... W rękę trzymała świecę. — No, powiedziałem sobie, dobra!... I powtórzyłem szeptem słowo, usłyszane od kolegi. Joanna tymczasem schodziła... Na honor! Można by powiedzieć, że spodziewała się jakiegoś nieszczęścia... Bała się i rozglądała na wszystkie strony. Ale ja byłem dobrze ukryty, ani drgnąłem. Ukłękła obok beczki, przysunęła butelkę i odkręciła kurek. Rozumiecie, panowie, ona klęczała. Wino lalo się z pluskiem do butelki tak że nawet gdyby był jakiś hałas, nie mogłaby go usłyszeć. Ale ja wcale nie hałasowałem. Joanna, klęcząc, wyglądała jak winowajczyni, jak skazana. Podniosłem szablę i... trach! Nie wiem nawet, czy zdołała krzyknąć... Głowa jej potoczyła się. W owej chwili nie chciałem umrzeć, chciałem uciec. Miałem zamiar wykopać w piwnicy dół i pochować ją. Skoczyłem, aby chwycić głowę, która toczyła się, podczas gdy ciało Joanny drgało kurczowo. Przygotowałem sobie worek po gipsie, żeby nie zostało śladów krwi. Chwyciłem głowę, a raczej głowa mnie chwyciła... Patrzcie!

Jacquemin pokazał swą prawą rękę. Ugryzienie było bardzo głębokie, kciuk został poważnie okaleczony.

— Jak to? Głowa was chwyciła? — zapytał doktor. — Co też wy tu nam, do licha, opowiadacie!

— Mówię, że mnie uczciwie ugryzła... Sami widzicie... — Powiadam, że nie chciała mnie puścić. Postawiłem głowę na worku z gipsem, oparłem o mur lewą rękę próbując wyrwać prawą. Ale zaraz zęby same się rozluźniły. Cofnąłem rękę. I wtedy... No tak, może to było szaleństwo, ale zdawało mi się, że ta głowa żyje: oczy miała szeroko otwarte. Widziałem je dobrze, skoro świeca stała na beczce... Wargi poruszyły się... Poruszyły się mówiąc: „Nędzniku, byłam niewinna...”

Nie wiem, jakie wrażenie wywarła ta relacja na innych... Co do mnie jednak, wiem, że pot spływał mi po czole.

— No, tego już za wiele! — zawołał doktor. — Jej oczy spojrzały na ciebie, jej usta przemówiły!

— Proszę posłuchać, panie doktorze... Pan jest lekarzem i w nic nie wierzy... No, tak,

pewnie... Ale ja powtarzam... Widzi pan tam tę głowę?... Słyszysz mnie pan?... Otóż te zęby mnie ugryzły a usta powiedziały: „Nędzniku, byłam niewinna!” A najlepszy tego dowód, że po zabójstwie chciałem uciec... Prawda, Joanno? — Ale zamiast uciekać pobiegłem do pana mera, żeby się samemu oskarżyć. Było tak, panie merze, co?! Proszę odpowiedzieć.

— Tak, Jacquemin — odparł z całą dobroduszością pan Ledru. — Tak było.

— Niech pan zbada głowę, doktorze — rzekł komisarz policji.

— Ale dopiero wtedy, gdy mnie nie będzie! — zawołał Jacquemin. — Dopiero wtedy!

— Czy się boisz, durniu, że znowu coś ci powie? — zapytał doktor, który ze świecą w ręku zbliżył się do worka z gipsem,

— Panie Ledru, na miłość boską! — wykrzyknął Jacquemin. — Proszę im powiedzieć, żeby mi pozwolono odejść! Proszę, błagam pana!

— Panowie — rzekł mer, gestem powstrzymując doktora. — Nie uda wam się wyciągnąć nic więcej z tego nieszczęśnika. Pozwólcie, że każę odprowadzić go do więzienia. Ustawa o konfrontacji przewidywała, że oskarżony zdoła ją znieść.

— Ale przecież protokół... — rzekł komisarz.

— Jest już prawie ukończony.

— Oskarżony musi go podpisać.

— Podpisze go w więzieniu.

— Tak, tak! — zawołał Jacquemin. — W więzieniu podpiszę wszystko, co tylko chcecie!

— Dobrze wiec! — zgodził się komisarz.

— Żandarmi, odprowadźcie tego człowieka! — nakazał pan Ledru.

— Ach, dzięki, panie merze, dzięki! — zawołał Jacquemin z wyrazem głębokiej wdzięczności.

Uczepiwszy się ramion obu żandarmów, pociągnął ich na schody z nadludzką wprost siłą.

Po odejściu tego człowieka znikło też i dramatyczne napięcie. W piwnicy pozostały jedynie dwie ohydne rzeczy: trup bez głowy i głowa bez tułowia.

Teraz i ja zwróciłem się do pana Ledru.

— Czy mi wolno stąd odejść? Będę oczywiście do pańskiej dyspozycji w celu podpisania protokołu.

— Owszem, ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Że dla podpisania protokołu zgłosi się pan do mnie.

— Z największą przyjemnością. Ale kiedy?

— Mniej więcej za godzinę. Pokażę panu mój dom. Niegdyś należał do Scarrona... To pana zainteresuje.

— Będę u pana za godzinę.

Skłoniwszy się pośpieszyłem ku wyjściu. Gdy się znalazłem u wylotu piwnicy, rzuciłem na nią ostatnie spojrzenie.

Przy blasku świecy doktor Robert odgarniał włosy z uciętej głowy. Była to głowa kobiety jeszcze pięknej, o ile mogłem sądzić, chociaż oczy miała zamknięte, a usta zaciśnięte i sine.

— Co za dureń z tego Jacquemina! — wykrzyknął doktor. — Twierdzić, że ucięta głowa może mówić! Chyba że to sobie wymyślił, chcąc uchodzić za wariata. Nie byłaby to wcale kiepska gra: znalazłyby się okoliczności łągodzące.

Rozdział IV

DOM SCARRONA

W godzinę potem byłem u pana Ledru. Przypadek sprawił, że spotkałem go na podwórzu.

— A, jest pan! — rzekł na mój widok. — Tym lepiej. Będę zadowolony mogąc trochę pogawędzić z panem, zanim go przedstawię naszym współbiednikom. Bo przecież zjemy razem obiad, prawda?

— Ależ, wybaczy pan...

— Nie przyjmuję tłumaczeń. Trafił pan właśnie na czwartek, trudno! Czwartek jest moim dniem. Ktokolwiek znajdzie się tego dnia u mnie, stanowi moją własność. Po obiedzie wolno panu zostać lub odjechać. Gdyby nie tamto wydarzenie, zastałby mnie pan przy stole, gdyż zawsze jadam obiad o drugiej. Dziś wyjątkowo siądziemy do stołu o wpół do czwartej lub czwartej. Pyrrus, którego pan tu widzi — pan Ledru wskazał na wspaniałego doga — skorzystał z emocji matki Antoine i porwał mięso. To jego psi przywilej... Ale postaraliśmy się u rzeźnika o inne. Wskutek tego mam czas nie tylko przedstawić pana moim gościom, ale również udzielić mu o nich kilku informacji.

— Kilku informacji?

— Tak. Są to osobistości, które należy poprzedzić, podobnie jak postacie z *Cyrulika Sewilskiego* i *Figara*, wyjaśnieniem dotyczącym stroju i charakteru. Ale zacznijmy od samego domu.

— Powiedział mi pan, zdaje się, że należał do Scarrona?

— Tak. Tu właśnie przysłała małżonka Ludwika XIV pielęgnowała biednego beznogiego kalekę, swego pierwszego męża, zanim spróbowała zabawić człowieka nie poddającego się zabawie. Zobacz pan jej pokój.

— Pani de Maintenon?

— Nie, pani Scarron. Nie mieszajmy różnych rzeczy: pokój pani de Maintenon znajduje się w Wersalu albo w Saint-Cyr. Chodźmy.

Wielkimi schodami dostaliśmy się na korytarz wychodzący na podwórze.

— Proszę, oto coś dla pana, panie poeto — powiedział do mnie mer. — To najczystszej wody napuszony styl, jaki kwitł w roku 1650.

— Ach! Kraina Czułości!

— Trasa wytyczona przez Scarrona w obie strony — tam i z powrotem — z własnoręcznymi komentarzami jego żony. Tyle tylko.

Rzeczywiście, w przerwach między oknami wisiały dwie mapy, wykreślone piórkiem na dużym arkuszu papieru, naklejonym na karton.

— Widzi pan — ciągnął dalej pan Ledru — ten długi niebieski wąż to Rzeka Czułości. Te małe gołębniczki to są wioski: Względy, Czułe Liściki, Tajemnica. Oto Oberża Pragnień, Dolina Słodkich Słówek, Most Westchnień, Las Zazdrości, zapełniony całkowicie potworami, tak jak gaj Armidy. A wreszcie, pośrodku jeziora, skąd rzeka bierze początek, jest Pałac Doskonałego Zadowolenia. To kres podróży, cel wędrówki.

— Do licha! Cóż to ja widzę! Wulkan?

— Tak. Wywraca on niekiedy wszystko do góry nogami. To Wulkan Namiętności.

— Nie ma go na mapie panny de Scudéry?

— Nie, to wynalazek pani Scarron.

— A druga mapa?

— Druga to powrót. Widzi pan, rzeka wylała, wezbrała łzami tych, co wędrują wzdłuż

brzegów. Oto Wioska Nudy, Oberża Żalów, Wyspa Skruchy. Trudno o coś bardziej wymyślnego.

— Czy mi pan to łaskawie zezwoli przerysować?

— Och, jeśli tylko panu się podoba! A chciałby pan teraz zobaczyć pokój pani Scarron?

— Oczywiście!

— To ten. — Pan Ledru otworzył drzwi i przepuścił mnie pierwszego. — Wygląda tak, jak za czasów swej sławnej właścicielki, nie było tylko książek, które go teraz przepełniają. Ta sama alkowa, to samo łóżko i meble. A to jej gotowalnia.

— A pokój Scarrona?

— O, pokój Scarrona znajdował się na drugim końcu korytarza. Ale musi pan zrezygnować z obejrzenia go. Nie wolno tam wchodzić. To pokój sekretny, gabinet Sinobrodego.

— O, do licha!

— Ha, co robić! Ja też mam swoje tajemnice, chociaż jestem merem. Ale proszę za mną, pokażę panu coś innego.

Pan Ledru poszedł pierwszy. Zeszliśmy na dół do salonu.

Jak wszystko w tym domu, salon odznaczał się również szczególnym charakterem. Obicia były papierowe, ale z trudem dałoby się określić ich pierwotną barwę. Wzdłuż ścian ciągnął się podwójny rząd foteli i szereg krzeseł, obitych starą materią, a tu i ówdzie stały stoliki do gry oraz gerydony. Pośrodku zaś niby lewiatan w otoczeniu oceanicznych ryb, olbrzymie biurko, oparte jednym końcem o ścianę, zajmowało trzecią część salonu. Zarzucone było stertą książek, broszur i dzienników. Tutaj dominował, niczym król, *Constitutionnel*, ulubiona lektura pana Ledru.

Salon był pusty, goście przechadzali się po ogrodzie, który roztaczał się przed oknami w całej swej okazałości.

Mer skierował się prosto do biurka i otworzył olbrzymią szufladę, wypełnioną mnóstwem paczek, podobnych do torebek z nasionami. Każdy ze znajdujących się tu przedmiotów był zawinięty w papier z etykietą.

— Proszę — rzekł do mnie pan Ledru. — Dla pana, miłośnika historii, jest tu coś ciekawszego niż mapa Krainy Czułości. To kolekcja relikwii wprawdzie nie świętych, ale królów.

Rzeczywiście, każde z tych zawiniątek zawierało kość, włosy lub brodę. Była tu rzepka Karola IX, kciuk Franciszka I, szczątek czaszki Ludwika XIV, zebro Henryka II, krąg Ludwika XV, broda Henryka IV i włosy Ludwika XIII. Każdy z nich był tu reprezentowany jakimś szczątkiem. Z tych wszystkich kości udałoby się prawdopodobnie utworzyć całość doskonale symbolizującą szkielet monarchii francuskiej, któremu od dawna brak było głównych części.

Był tam ponadto ząb Abelarda oraz ząb Heloizy, dwa białe siekacze. Może zetknęły się z sobą w pocałunku wówczas, kiedy jeszcze osłaniały je tętniące życiem usta.

Skąd pochodziło to zbiorowisko kości?

Pan Ledru kierował pracami nad ekshumacją królów w Saint-Denis i z każdego z grobowców wziął to, co mu się podobało.

Dano mi kilka chwil na zaspokojenie ciekawości. Mer widząc, że dokonałem niemal całkowitego przeglądu napisów, rzekł:

— No, dosyć już zajmowaliśmy się zmarłymi. Chodźmy trochę do żywych.

Zaprowadził mnie do jednego z okien, skąd — jak już powiedziałem — wzrok sięgał w głąb ogrodu.

— Ma pan uroczy ogród — rzekłem.

— Proboszczowski z szachownicą lip, kolekcją dalii i róż, altanami winogrodu oraz szpalerami brzoskwiń i moreli. Wszystko to pan obejrzy. Ale na razie zajmijmy się nie ogrodem, lecz tymi, co się tam przechadzają.

— Ach, najpierw proszę mi powiedzieć, kto to jest ów pan Alliette, zwany Etteilla, co to się pytał, czy chodzi o jego wiek rzeczywisty, czy też o ten, na jaki wygląda. Zdaje mi się, że doskonale doń pasuje siedemdziesiąt pięć lat, które pan mu dawał.

— Słusznie — odparł pan Ledru. — Od niego właśnie chciałem rozpocząć. Czytał pan Hoffmanna?

— Owszem... A dlaczego pan pyta?

— Otóż to jest hoffmanowska postać. Przez całe życie próbował z pomocą kart i liczb odgadywać przyszłość. Wszystko, co posiada, traci na loterię. Z początku wygrał raz terno i na tym też się skończyło. Znał Cagliostro i hrabiego de Saint-Germain. Twierdzi, że pochodzi z ich rodu i jak oni posiada tajemnicę eliksiru życia. Zapytany o swój wiek rzeczywisty, podaje dwieście siedemdziesiąt pięć lat. Żył początkowo przez sto lat — od panowania Henryka II do Ludwika XIV — w zupełnym zdrowiu. Następnie, choć rzekomo zmarł w oczach pospólstwa, żył dzięki swej tajemnicy przez trzy dalsze okresy, po pięćdziesiąt lat każdy. W chwili obecnej rozpoczyna czwarty, ma więc tylko lat dwadzieścia pięć. Ubiegłe dwieście pięćdziesiąt lat liczy się jedynie jako wspomnienie. W ten sposób będzie żył — i mówi to głośno — aż do Sądu Ostatecznego. W wieku XV spalono by go i niesłusznie. Dziś poprzestają na tym, że go żałują, również niesłusznie. Alliette to najszcześliwszy w świecie człowiek. Rozprawia wciąż o taroku, kartach, czarach, wiedzy egipskiej Thota, tajemnicach Izydy. Na wszystkie owe tematy pisze broszury pod pseudonimem a raczej anagramem Etteilla. Broszur tych nikt nie czyta, ale za to je wydaje pewien zwariowany jak i on księgarz. Ma zawsze w kapeluszu mnóstwo tych pisemek. O, proszę spojrzeć! Trzyma kapelusz pod pachą, tak bardzo się lęka, żeby mu ktoś nie zabrał jego cennych książek. Niech pan przypatrzy się temu człowiekowi, jego twarzy, ubraniu, i zobaczy, jak natura zawsze zachowuje harmonię rzeczy: jak dokładnie kapelusz pasuje do głowy, człowiek do stroju, kaftan do modelu — wy, romantycy, tak to nazywacie.

Rzeczywiście, nic nad to prawdziwszego. Przyjrzałem się dokładnie oryginałowi. Ubranie miał zatłuszczone, zakurzone, wytarte, pełne plam. Kapelusz o rondzie lśniącym, niczym lakierowana skóra, rozszerzał się niepomiarownie ku górze. Spodnie krótkie, czarne, z grubego sukna, pończochy czarne, zrudziałe, a trzewiki zaokrąglone, jakie nosili królowie, za których panowania rzekomo przyszedł na świat.

Jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, był to człowiek gruby, krępy, o twarzy sfinksa, przekrwionej, szerokich bezzębnych ustach skrzywionych głębokim grymasem. Włosy miał rzadkie, długie i żółte, rozwiewające się na kształt aureoli wokół jego głowy.

— Rozmawia z księdzem Moulle — powiedziałem do pana Ledru — który towarzyszył panu w porannej wyprawie. Chyba jeszcze do niej powrócimy, prawda?

— A dlaczego mielibyśmy do niej powrócić? — zapytał mer patrząc na mnie z ciekawością.

— Dlatego że... Przepraszam, ale pan, zdaje mi się, uwierzył, że tamta głowa mogła przemówić.

— Fizjonomista z pana. A więc tak, wierzę w to. Zresztą, pomówimy o tym wszystkim. I jeżeli pan ciekaw tego rodzaju spraw, to nie zabraknie tu rozmówców. Ale wracajmy do księdza Moulle.

— Musi to być człowiek czarujący w obcowaniu. Zaskoczył mnie łagodny głos, jakim odpowiadał na pytania komisarza.

— Otóż i tym razem odgadł pan trafnie. Moulle jest moim przyjacielem od lat czterdziestu, a liczy ich sobie sześćdziesiąt. Jak pan widzi, jest tak schludny i staranny, jak Alliette niedbały, niechlujny i brudny. To światowiec w najwyższym stopniu, bardzo ustosunkowany w sferach arystokratycznych. Udziela ślubów synom i córkom parów Francji i przy tej sposobności wygłasza przemówienia, które potem rodziny nowożeńców drukują i pieczołowicie przechowują. Ksiądz Moulle omal nie został biskupem w Clermont. A wie pan, co mu za-

szkodziło? Że swego czasu przyjaźnił się z Cazotte'em. Tak jak Cazotte, wierzy on w istnienie duchów wyższych i niższych, dobrych i złych geniuszów. Podobnie jak Alliette, kolekcjonuje książki. Znajdzie pan tam wszystko, co napisano o widzeniach i zjawach, o widmach, larwach i upiorach. Rozprawia niechętnie — czasem tylko wśród przyjaciół — o wszystkich tych rzeczach, które bynajmniej nie są prawowierne, lecz, mimo to, jest człowiekiem głębokiej wiary i dyskretnym. Wszystkie niezwykle wydarzenia na świecie przypisuje mocy piekielnej bądź też interwencji duchów niebiańskich. Widzi pan, teraz słucha w milczeniu słów Alliette'a, dostrzega coś, czego nie widzi jego rozmówca. Odpowiada mu czasem poruszeniem warg lub skinieniem głowy. Niekiedy, w naszym gronie, zapada nagle w jakąś ponurą zadumę, drży, odwraca głowę, zaczyna chodzić po salonie. I wtedy trzeba go pozostawić w spokoju. Byłoby niebezpieczne obudzić go. Mówię, obudzić, gdyż sądzę, że jest on właśnie w stanie somnambulicznym. Zresztą, budzi się sam i zobaczy pan, że to wygląda uroczo.

— Och! Proszę spojrzeć! — odezwał się. — Zdaje się, że ksiądz wywołał właśnie jednego z tych duchów, o których pan dopiero co wspominał!

Wskazałem gospodarzowi palcem istne widmo wędrowne, które zbliżało się do obu rozmawiających, krocząc ostrożnie pośród kwiatów. Wydawało się, że potrafi po nich stapać, nie deptając ich wcale.

— Jest to również jeden z moich przyjaciół — odparł pan Ledru. — Kawaler Lenoir...

— Założyciel muzeum Petits-Augustins?...

— Właśnie on. Umiera wprost z rozpaczy na skutek ruiny swego muzeum, za które omal dziesięciokrotnie nie postradał życia w latach 1792 i 1794. Restauracja, z właściwą sobie inteligencją, uwięziła go nakazując zwrócić pomniki gmachom, do których należały, oraz rodzinom mającym do nich prawo. Na nieszczęście, większość pomników uległa zniszczeniu, a większość rodzin już wygasła. W ten sposób najcenniejsze zabytki naszej starożytnej rzeźby, a tym samym naszej historii, rozproszyły się i przepadły. Tak to znika wszystko, co było starą Francją. Pozostały już tylko szczątki, a i z nich nic już wkrótce nie ocaleje. A któż to niszczy? Ci właśnie, którym najbardziej powinno zależeć na ich zachowaniu.

Tu pan Ledru, aczkolwiek taki liberalny, jak mówiono w tej epoce, westchnął.

— Czy to już wszyscy pańscy biesiadnicy? — zapytałem.

— Może będzie jeszcze doktor Robert. O nim nic nie powiem, przypuszczam, że go pan ocenił. Człowiek ten przez całe życie eksperymentował na mechanizmie ludzkim, jakby to był manekin, nie domyślając się nawet, że ten mechanizm posiada duszę, zdolną rozumieć cierpienia, oraz nerwy, aby je odczuć. Oddany uciechom życia, wyprawił mnóstwo ludzi na tamten świat. Na szczęście dla siebie, nie wierzy w duchy. Umysł przeciętny, który uważa się za dowcipnego, gdyż jest hałaśliwy, i za filozofa, bo jest ateistą. To jeden z tych ludzi, których się przyjmuje nie po to, by ich widzieć u siebie, ale dlatego, że sami przychodzą. Nikomu by jednak nie przyszło do głowy, aby ich zaprosić.

— Och, jakże znam dobrze ten gatunek ludzi!

— Powinien tu się znaleźć jeszcze jeden z moich przyjaciół, młodszy od tamtych trzech. Potrafi on im wszystkim stawiać czoło w kartomancji, demonologii i wiedzy o starożytności. Jest to żywa biblioteka, katalog oprawny w skórę chrześcijanina — zna go pan z pewnością.

— Bibliofil Jacob?

— Właśnie.

— I co? Nie przyjdzie?

— W każdym razie, nie przyszedł. Ponieważ zaś wie, iż jemy obiad o drugiej, a jest już blisko czwarta, jego przybycie wydaje się mało prawdopodobne. Zapewne szuka jakiejś książki tłoczzonej w Amsterdamie w roku 1570, wydanie pierwsze, mającej trzy błędy drukarskie: na stronie pierwszej, na siódmej i na ostatniej.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi do salonu i ukazała się w nich matka Antoine.

— Podano do stołu, proszę pana — oznajmiła.

— A więc, panowie — rzekł mer otwierając z kolei drzwi prowadzące do ogrodu. — Proszę do stołu! — Następnie zwrócił się do mnie i dodał: — W tej chwili musi być w ogrodzie jeszcze jedna osoba, której pan nie widział, ja zaś z nazwiska dotychczas nie wymieniłem. Jest ona zbyt oderwana od spraw tego świata, aby usłyszeć zwykłe wezwanie, któremu, jak pan widzi, okazali się posłuszni wszyscy moi przyjaciele. Proszę jej poszukać, to pana powinno zainteresować. A gdy pan już odnajdzie tę istotę niematerialną, eteryczną, zjawiskową, proszę się jej przedstawić. Spróbuje pan przekonać ją, że warto czasem coś zjeść, choćby po to, aby żyć. Poda jej pan ramię i przyprowadzi do nas. Niech pan idzie!

Posłuchałam pana Ledru, domyślając się, że urocza istota, o której zdołałem sobie w ciągu paru minut wyrobić pojęcie, sprawi mi przyjemną niespodziankę. Poszedłem więc, rozglądając się wokół po ogrodzie. Poszukiwania nie trwały długo i niebawem spostrzegłem tę, której szukałem.

W cieniu szachownicy lip siedziała kobieta, której twarzy ani postaci nie mogłem zobaczyć, twarz miała bowiem zwróconą w stronę wioski, całą zaś postać spowijał długi szal. Kobieta była w czerni.

Zbliżyłem się, ale ona nawet nie drgnęła. Szelest moich kroków nie dotarł, jak widać, do jej uszu. Wyglądała jak posąg. Dostrzegłem, że cechował ją pełen wytworności wdzięk.

Z daleka zauważyłem już, że jest blondynką. Promień słońca, przedzierając się przez listowie lip, igrał na jej włosach, tworząc złotą aureolę. Z bliska stwierdziłem, że ich delikatność mogłaby rywalizować z jedwabistością nitek babiego lata, jakie pierwszy podmuch jesieni odrywa od szaty Marii Panny. Przechyliwszy szyję — może nieco za długą, choć i w tym kryło się wiele powabu i wdzięku, jeśli już nie piękna — kobieta wsparła głowę na prawej ręce, łokieć jej spoczywał na poręczy krzesła. Lewa ręka zwisała bezwładnie, a koniuszki wysmukłych palców trzymały białą różę. Łabędzia krągłość szyi, zgięta ręka, zwisające ramię, miały matową biel marmuru z Paros, nie prześwietloną ani jedną żyłką, która by pulsowała podskórną. W więdnącej róży było więcej barwy i życia niż w ręce, która ją trzymała.

Patrzyłem przez chwilę, a im dłużej to trwało, tym bardziej uległem wrażeniu, że mam przed oczyma nie istotę żywą. Zważyłem już nawet, czy odwróci się na dźwięk mego głosu. Parokrotnie otwierałem usta, ale zamykałem je nie wypowiedziawszy ani słowa. Wreszcie zdecydowałem się.

— Pani — rzekłem.

Kobieta drgnęła, odwróciła się i spojrzała na mnie zdziwiona, jak człowiek, który ocknąwszy się ze snu zbiera swe myśli. Jej duże czarne oczy — przy opisanych już blond włosach — wpatrywały się we mnie ze szczególnym wyrazem. Przez kilka chwil trwaliśmy oboje w milczeniu — ona mi się przyglądała, ja ją obserwowałem.

Była to kobieta trzydziestodwuletnia, niegdyś cudownie piękna, bo teraz policzki jej zapadły, a cera pobraźnia. Zresztą uważałem, że jest niezwykle piękna z tą opalową, bez najlżejszego zaróżowienia karnacją zarówno twarzy jak ramion. Nadawało to oczom barwę agatu, wargom zaś — koralu.

— Pani — powtórzyłem — pan Ledru sądzi, że widząc przed sobą autora *Henryka III*, *Krystyny* oraz *Antony* zechcesz uważać to z mojej strony za prezentację i udać się do jadalni, wsparta na moim ramieniu.

— Przepraszam — rzekła — pan jest tu już od jakiejś chwili, prawda? Czułam pańską obecność, ale nie mogłam się odwrócić. To mi się nieraz zdarza, gdy spoglądam na pewne rzeczy. Pan przemówił i czar prysł. Proszę mi podać ramię i chodźmy.

Powstawszy wsunęła rękę pod moje ramię, ale nie czułem prawie jej dotknięcia. Nie zdradzała jednak wcale zażenowania. Można by rzec, że obok mnie posuwał się cień.

Przybyliśmy do jadalni nie zamieniwszy z sobą ani słowa więcej. Przy stole były zarezerwowane dwa miejsca. Jedno po prawej stronie pana Ledru — dla niej. Drugie, na

przeciwko — dla mnie.

Rozdział V

POLICZEK CHARLOTTY CORDAY

Podobnie jak wszystko, co było u pana Ledru, stół również odznaczał się swoistym charakterem.

Miał on kształt wielkiej podkowy sięgającej okien od strony ogrodu, tak że trzy czwarte olbrzymiej sali tworzyło przestrzeń, dogodną do obsługi. Przy tym stole mogło się pomieścić zupełnie swobodnie dwadzieścia osób. Tak jadano zawsze niezależnie od tego, czy pan Ledru przyjmował jednego gościa, dwóch, czterech, dziesięciu lub dwudziestu, czy też był sam. Tego dnia zasiadło nas tylko sześć osób i zajmowaliśmy zaledwie trzecią część stołu.

Czwartkowe menu nigdy nie ulegało zmianom. Pan Ledru uważał, że w ciągu pozostałych dni tygodnia biesiadnicy mogli jeść co innego bądź u siebie, bądź też tam, gdzie byli zaproszeni. Mieli więc pewność, że co czwartek będzie u pana Ledru zupa, wołowina, kurczę przyprawione dragankiem, pieczony udziec, fasola i sałata. Podawanie kurcząt zależało od apetytu biesiadników.

Bez względu na to, czy gości było dużo, czy mało, pan Ledru zawsze rezydował przy jednym z końców stołu, zwrócony tyłem do ogrodu, a twarzą w stronę dziedzińca. Siedział w dużym fotelu, tkwiącym od dziesięciu lat w tym samym miejscu. Tam z rąk swego ogrodnika Antoine, przemienionego jak mistrz Jakub w lokaja, otrzymywał prócz zwykłego wina kilka butelek starego burgunda. Przynoszono mu go z czcią religijną, a on otwierał i nalewał swym gościom z nie mniej uroczystym pietyzmem.

Przed laty osiemnastu jeszcze w coś wierzono, za lat dziesięć nikt w nic nie będzie wierzył, nawet w stare wino. Po obiedzie goście przechodzili do salonu na kawę. Obiad minął — jak to zazwyczaj bywa — wśród pochwał dla kucharki i słów uznania dla wina.

Tylko owa młoda kobieta zjadła kilka okruchów chleba i wypila szklanekę wody, nie odzywając się ani jednym słowem.

Przypominała mi upiora z Tysiąca i jednej nocy, który zasiadł wraz z innymi do stołu, lecz jedynie po to, aby posługując się wykałaczką przełknąć kilka ziarenek ryżu.

Po obiedzie przeszliśmy, jak zwykle, do salonu.

Ja, oczywiście, pośpieszyłem podać ramię naszej milczącej współbiedniczce. Ona ze swej strony skierowała się ku mnie.

W ruchach miała tę samą miękkość, ten sam wdzięk w postaci, tę samą niemal, zda się, niematerialność ciała. Zaprowadziłem ją do szezlongu, na którym się położyła.

Podczas obiadu wprowadzono do salonu dwie osoby: doktora i komisarza policji. Komisarz przyniósł nam do podpisania protokół, na którym Jacquemin złożył już w więzieniu swój podpis.

Na papierze widniała nieduża krwawa plama.

Podpisując protokół zapytałem:

— Co to za plama? Czy to krew żony, czy męża?

— To krew ze zranionej ręki zabójcy — odparł komisarz. — Nie można jej zatamować.

— Czy pan sobie wyobraża, panie merze? — powiedział doktor. — Ta bestia upiera się przy twierdzeniu, że głowa kobiety przemówiła!

— A pan, doktorze, uważa to za niemożliwe?

— Dalibóg!

— Uważa pan nawet za niemożliwe, żeby otworzyła oczy?

— Tak jest!

— Nie wierzy pan, że krew, zatamowana warstwą gipsu, który pozamykał natychmiast wszystkie arterie i naczynia, mogła na chwilę przywrócić tej głowie życie i czucie?

— Nie wierzę!

— Ja zaś — rzekł pan Ledru — wierzę!

— I ja — powiedział Alliette.

— I ja — dodał ksiądz Moulle.

— I ja — odezwał się kawaler Lenoir.

— Ja również — rzekłem.

Tylko komisarz policji i blada dama nic nie powiedzieli. On zapewne dlatego, iż cała ta historia bynajmniej go nie interesowała, ona — bo się nią zbytnio interesowała.

— Ach, skoro wszyscy jesteście przeciwko mnie, no to cóż — macie rację. Ale gdyby któryś z panów był lekarzem...

— Doktorze — odezwał się pan Ledru — przecież pan wie, że prawie nim jestem.

— W takim razie — odparł doktor — powinien pan wiedzieć, że nie ma bólu tam, gdzie nie ma czucia, a czucie znikło na skutek przecięcia kręgosłupa.

— A któż to panu powiedział?

— Któż by, rozum!

— Pyszna odpowiedź! Czyż to nie rozum właśnie mówił sędziom, którzy skazali Galileusza, że słońce krąży, a ziemia jest nieruchoma? Rozum, drogi doktorze, to głuptas. Czy sam pan dokonywał doświadczeń na uciętych głowach?

— Nie, nigdy!

— Czytał pan rozprawy Sommeringa? A protokoły doktora Sue? A oświadczenia Oelchera?

— Nie.

— Wierzysz zatem, doktorze, na podstawie raportu pana Guillotina, że jego maszyna jest najpewniejszym, najszybszym i najmniej bolesnym środkiem przerywania życia?

— Wierzę.

— Otóż myli się pan, drogi przyjacielu — i tyle!

— No, coś podobnego!

— Posłuchaj mnie pan, doktorze. Skoro apeluje pan do nauki, będę mówił naukowo. I każdy z nas, proszę mi wierzyć, jest dość z tymi sprawami obeznany, by mógł przyłączyć się do rozmowy.

Doktor miał co do tego wątpliwości.

— Mniejsza o to! Więc sam pan się przekona.

Zbliżyliśmy się do pana Ledru — ja przysłuchiwałem się uważnie. Sprawa kary śmierci przez powieszenie bądź też zadanej żelazem czy trucizną zawsze absorbowała mnie w szczególny sposób jako zagadnienie humanitaryzmu.

Prowadziłem nawet, ze swej strony, badania nad odczuwaniem bólu, jaki poprzedza poszczególne rodzaje śmierci, towarzyszy mu lub po nim następuje.

— Dobrze, niech pan mówi — rzekł doktor niedowierzająco.

— Każdemu, kto ma choćby najmniejsze pojęcie o budowie i siłach żywotnych naszego ciała — ciągnął pan Ledru — łatwo dowiedzieć, że tortury nie niszczą całkowicie czucia. A to twierdzenie, doktorze, opieram nie na hipotezach, lecz na faktach.

— Niech pan nas z nimi zapozna.

— Proszę. A więc ośrodkiem czucia jest mózg, prawda?

— Przypuszczalnie.

— Czynność odczuwania trwa dalej, choćby nawet krążenie krwi przez mózg uległo

zahamowaniu, osłabieniu lub zostało częściowo zniweczone, prawda?

— Możliwe.

— Jeśli więc mózg jest ośrodkiem odczuwania, to skazaniec ma świadomość swego istnienia, dopóki mózg zachowuje swą siłę żywotną.

— Dowody?

— Są, proszę. W swoich *Elementach fizyki*, tom czwarty, strona 35, Haller pisze:

„Ucięta głowa otworzyła oczy i spojrzała na mnie, ponieważ końcem palca dotknąłem jej rdzenia kręgowego.”

— Haller, dobrze! Ale Haller mógł się mylić.

— Przypuśćmy, że się mylił. Przejdźmy do innego. Weycard, *Umiejętności filozoficzne*, strona 221, powiada:

„Widziałem, jak poruszyły się wargi człowieka, któremu obcięto głowę.”

— Dobrze! Ale od „poruszać się” do „mówić”...

— Chwileczkę, już się zbliżamy! Teraz Sommering — są tu jego dzieła, może pan poszukać. Sommering oświadcza:

„Wielu lekarzy, moich kolegów, zapewniało mnie, że widzieli, jak głowa oddzielona od ciała zgrzytała zębami z bólu. Ja zaś jestem przekonany, że gdyby powietrze krążyło jeszcze w organach głosu — głowy przemówiłyby!”

— Otóż, doktorze — kontynuował pan Ledru poblądłszy — jestem w lepszej sytuacji niż Sommering, gdyż do mnie głowa przemówiła!

Zadrżeliśmy wszyscy. Błada dama uniosła się na szeszlunku.

— Do pana?

— Tak, do mnie! Czy powie pan, że i ja jestem wariat?

— No cóż! — odparł doktor. — Skoro słyszę, że panu samemu...

— Tak, mówię panu, że to się wydarzyło mi samemu. Zapewne, jest pan, doktorze, zbyt grzeczny, aby oświadczyć mi wprost, że ze mnie wariat. Ale tak pan sobie pomyśli i właściwie wyjdzie na jedno.

— A więc, proszę, niech pan nam to opowie — odezwał się doktor.

— Łatwo to panu mówić! Czy pan wie, że od trzydziestu siedmiu lat, jak przytrafiła mi się ta historia, nie opowiadałem jej nikomu? Przecież nie mogę ręczyć, czy w trakcie opowiadania nie zemdleję, jak wówczas gdy ta głowa przemówiła, utkwivszy we mnie gasnące spojrzenie.

Dialog ten stawał się coraz bardziej interesujący, a sytuacja coraz bardziej dramatyczna.

— Ledru, odwagi! — wtrącił Alliette. — Opowiedz nam pan!

— Opowiedz — dodał kawaler Lenoir.

— Panie... — szepnęła blada kobieta.

— Szczególna rzecz, jak zdarzenia wpływają na siebie — odezwał się w zamyśleniu pan Ledru, nie odpowiadając nam. A zwróciwszy się do mnie, dodał: — Pan wie, kim jestem.

— Wiem — odparłem — że jest pan człowiekiem niezmiernie wykształconym i bardzo dowcipnym, człowiekiem, który wydaje wyborne przyjęcia i piastuje w Fontenay-aux-Roses godność mera.

Pan Ledru uśmiechnął się, dziękując mi skinieniem głowy.

— Miałem na myśli swoje pochodzenie, swą rodzinę — wyjaśnił.

— Nic nie wiem o pana pochodzeniu ani nie znam pana rodziny.

— A więc, posłuchajcie państwo! Opowiem wam wszystko i może w ciągu mego opowiadania wyłoni się historia tak przez was upragniona, historia, której nie mam odwagi wyjawić. Jeśli do tego dojdzie, poznacie ją od razu. Jeżeli zaś nie, nie żądajcie, abym wam ją opowiedział. Będzie to znaczyło, że zabrakło mi sił, by się nią z wami podzielić.

Wszyscy rozsiedli się wygodnie, gotowi słuchać.

Zresztą salon nadawał się doskonale do tego rodzaju opowieści czy legend — był wielki

i mroczny. Ciężkie portierey tłumiły światło gasnącego dnia i po kątach zalegał już gęsty mrok. Tylko zarysy okien i drzwi lśniły jeszcze ostatnim blaskiem.

W jednym z tych kątów siedziała blada dama. Czern jej sukni stapiała się z otaczającą ciemnością. Widać było jedynie jasną głowę, nieruchomo opartą na poduszce sofy.

— Jestem synem słynnego Comusa — rozpoczął pan Ledru — lekarza pary królewskiej. Ojciec mój, którego dzięki temu zabawnemu przydomkowi zaliczono do kuglarzy i szarlatanów, był wybitnym uczonym ze szkoły Volty, Galvaniego i Mesmera. Pierwszy we Francji zajmował się dziedziną hipnotyzmu i elektrycznością, i urządził przy dworze seanse magnetyzmu.

Nieszczęsna Maria Antonina przepadała za nim. Widziałem ją ze dwadzieścia razy, wkrótce po jej przybyciu do Francji, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Niejednokrotnie, witając się ze mną, ścisła mnie serdecznie. Cesarz Józef II, bawiąc przejazdem w Paryżu w roku 1777, oświadczył, że nie widział nic równie ciekawego jak Comus.

Pośród tych spraw ojciec zajmował się wychowaniem mojego brata i moim, wtajemniczając nas w znaną sobie wiedzę tajemną, podając równocześnie mnóstwo wiadomości z zakresu galwanizmu, fizyki i magnetyzmu. Dziś stały się one dostępne dla wszystkich, ale w owej epoce były tajemnicą, przywilejem nielicznych tylko. Tytuł lekarza królewskiego zaprowadził mojego ojca w roku 1793 do więzienia, ale dzięki węzłom przyjaźni, jakie łączyły mnie z Górą *, udało mi się wydostać go stamtąd.

Wówczas ojciec usunął się w zacisze domu, w którym mieszkam obecnie, i zmarł w roku 1807 przeżywszy lat siedemdziesiąt sześć.

Powróćmy jednak do mnie.

Wspomniałem o swej przyjaźni z Górą. Rzeczywiście, byłem w zażyłych stosunkach z Dantonem i Kamilem Desmoulins. Znałem Marata, ale raczej jako lekarza niż bliskiego mi człowieka. Słowem, znałem go. I w rezultacie tej, krótkotrwałej co prawda, znajomości postanowiłem asystować przy egzekucji panny Corday, w dniu kiedy zaprowadzono ją na szafot.

— Chciałem właśnie — wtrąciłem — przyjść panu z pomocą w dyskusji z panem doktorem Robert o trwaniu życia, podając fakt, jaki historia przekazała w związku z Charlottą Corday.

— Zbliżamy się do niego — przerwał pan Ledru. — Pozwólcie mi mówić. Byłem tego świadkiem, możecie więc wierzyć, w to, co powiem.

Od godziny drugiej po południu zajmowałem swój posterunek w pobliżu posągu Wolności. Był upalny dzień lipcowy, powietrze parne, a pokryte chmurami niebo zapowiadało burzę.

Rozszalała się o godzinie czwartej, kiedy właśnie — jak opowiadają — Charlotta wsiadała do wózka.

Zabrano ją z więzienia w chwili, gdy pewien młody malarz robił jej portret. Zawistna śmierć jakby nie chciała, aby cośkolwiek pozostało po tej młodej dziewczynie, nawet jej wizerunek.

Malarz ledwie naszkicował głowę na płótnie i — rzecz szczególna — kiedy kat wszedł do celi, rysował właśnie szyję, którą miał przeciąć nóż gilotyny.

Błyskało się, padał deszcz, huczały gromy, ale nic nie zdołało rozproszyć ciekawego pospólstwa. Bulwary, mosty, place były zatłoczone. Wrzawa na ziemi niemal zagłuszała łoskot w górze. Kobiety, które zwano dosadnie chłeptaczkami gilotyny, obrzucały Charlottę gradem przekleństw. Ryki te docierały do mnie niby huk spiętrzonych wód. Tłum zakotłosał się, zanim można było cokolwiek zobaczyć. Wreszcie ukazał się wózek, jakby złowieszczy okręt prujący fale, i mogłem ujrzeć skazaną, której nie znałem i nigdy przedtem nie widziałem.

* Góra — nazwa rewolucyjno-demokratycznego ugrupowania w Konwencie (Montagne). Członkowie ugrupowania znani są pod nazwą „montagnards”.

Była to piękna dwudziestosiedmioletnia dziewczyna o cudownych oczach, regularnych rysach i niezwykle kształtnych ustach. Stała prosto, z podniesioną głową — nie dlatego, że chciała górować nad tłumem, lecz że związane do tyłu ręce zmuszały ją do takiej postawy.

Deszcz przestał padać. Ponieważ jednak chłostał ją przez trzy czwarte drogi, ociekający wodą upiór znaczył wyraźnie zarysy jej uroczej postaci. Wydawało się, że wyszła z kąpieli. Czerwona koszula, w którą przywdział ją kat, nadawała tej głowie, pełnej dumy i energii, wyraz jakiejś złowrogiej wspaniałości.

Gdy przybyto na plac, deszcz ścichł, a promień słońca, który przedarł się przez chmury, zaigrał na jej włosach, które załśniły blaskiem aureoli.

Zaprawdę, przysięgam wam, choć na tej dziewczynie ciążyło zabójstwo, czyn straszliwy, nawet jeśli jest zemstą w imieniu ludzkości, choć nienawidziłem tego mordu, nie zdołałbym powiedzieć, czy to, co widziałem, było apoteozą czy też kaźnią.

Spostrzegłszy szafot zbladła. Bładość jej odbijała szczególnie od czerwonej koszuli, sięgającej aż do samej szyi. Zaraz jednak przemogła się i spojrzała już na szafot z uśmiechem.

Wózek zatrzymał się. Skazana zeskoczyła na ziemię sama, nie chcąc przyjąć pomocy, i weszła na śliskie od deszczu stopnie szafotu tak szybko, jak tylko na to pozwalała bardzo długa koszula oraz związane ręce. Poczawszy na ramieniu rękę oprawcy, który chciał zerwać chustkę, kryjącą jej szyję, Charlotta zbladła po raz drugi. Ale natychmiast bładości tej zadał kłam ostatni już uśmiech. Samorzutnie, nie czekając, aż ją przywiążą do haniebnej huśtawki, we wzniosłym, niemal radosnym porywie wsunęła głowę w ohydny otwór. Nóż prześliznął się, głowa odcięta od tułowia spadła na pomost i podskoczyła. I wówczas — posłuchaj pan tylko, doktorze, i pan, poeto! — jeden z pomocników katowskich, imieniem Legros, pochwycił tę głowę za włosy i w odruchu niskiego pochlebstwa wobec tłumu, wymierzył jej policzek. Twarz Charlotty — mówię to wam — oblała się rumieńcem. Cała twarz, sam widziałem! Nie tylko policzek — słyszyście? — nie tylko uderzony policzek, ale obydwie zaczerwieniły się jednakowo, gdyż czucie żyło w tej twarzy, która zapalała oburzeniem na skutek obelgi sprzeczej z brzmieniem wyroku.

Lud również widział ten rumieniec i stanął po stronie zmarłej przeciwko żywemu, skazanej przeciwko oprawcy. Zażądano natychmiastowej kary za tę hańbę i natychmiast też oddano nędznika w ręce żandarmów, którzy zaprowadzili go do więzienia.

— Chwileczkę — rzekł pan Ledru widząc, że doktor chce coś wtrącić. — Chwileczkę, to jeszcze nie wszystko.

Chciałem się dowiedzieć, co mogło popchnąć tego człowieka do podobnie haniebnego czynu. Dowiedziałem się, gdzie przebywa, i poprosiłem, aby mi pozwolono odwiedzić go w Abbaye. Uzyskawszy zgodę, poszedłem.

Trybunał rewolucyjny skazał właśnie Legros na trzymiesięczne więzienie. Ale on nie mógł zrozumieć, że spotkała go kara za rzecz tak bardzo naturalną.

Zapytałem go, czym się w swym postępku kierował.

— No, wiecie — odparł — także pytanie! Jestem maratystą! Poniosła karę w imieniu prawa, ale ja chciałem ją ukarać w swoim własnym.

— Czy tego nie rozumiecie — rzekłem — że bezczeszcząc w taki sposób śmierć dopuszczacie się niemal zbrodni?

— Ech! — zawołał Legros utkwivszy we mnie wzrok. — I pan wierzy, że oni umarli, ponieważ ich zgilotynowano?

— Oczywiście.

— No to widać, że pan nie zagląda do koszyka, kiedy są tam wszyscy razem! Że pan nie widział, jak przewracają oczami i zgrzytają zębami jeszcze z pięć minut po egzekucji. Musimy co trzy miesiące zmieniać koszyki, bo są przez nich całkiem pogryzione. Widzi pan, takie to już są głowy tych arystokratów, co to nie chcą zdecydować się umrzeć. I wcale bym się nie dziwił, gdyby pewnego dnia któraś z nich krzyknęła: „Niech żyje król!”

Wiedziałem już wszystko, na czym mi zależało. Wyszedłem pod wrażeniem jednej myśli: że te głowy naprawdę żyły — i postanowiłem upewnić się o tym.

Rozdział VI

SOLANGE

Podczas opowiadania pana Ledru zapadła zupełna noc. Zebrani w salonie goście sprawiali wrażenie cieni — siedzieli niemi i jakby zastygli w bezruchu, pełni obawy, ażeby pan Ledru nie poprzestał na tym opowiadaniu. Wszyscy bowiem rozumieli dobrze, że poza straszliwą, dopiero co usłyszaną opowieścią kryje się inna, jeszcze okropniejsza.

Nie było słyhać nawet oddechu, tylko doktor próbował coś powiedzieć. Ale pochwyciłem go za rękę, aby mu przeszkodzić, i doktor rzeczywiście zrezygnował.

Po kilku chwilach pan Ledru podjął dalej swą opowieść.

— Wyszedłszy z Abbaye skierowałem się przez plac Taranne, aby udać się na ulicę Tournon, gdzie mieszkałem. Nagle dobiegł mnie głos kobiety wzywającej pomocy.

Nie mogła to być napaść złoczyńców, gdyż była zaledwie dziesiąta wieczór. Pobiegłem w kierunku placu, skąd dochodził krzyk. W blasku księżyca, który wyłonił się zza chmury, ujrzałem kobietę szamocącą się z patrolem sankiulotów.

Ta kobieta również mnie spostrzegła, a wnioskując z mego stroju, że raczej nie jestem człowiekiem z ludu, rzuciła się ku mnie wołając:

— O, proszę! Idzie tu właśnie pan Albert. On wam powie, że jestem naprawdę córką praczki, matki Ledieu.

Jednocześnie biedaczka, blada i cała drżąca, chwyciła mnie za ramię, czepiając się go jak rozbitek ostatniej deski ratunku.

— Córką matki Ledieu, owszem, proszę bardzo! Ale nie masz karty obywatelskiej, ślicznotko, i pójdziesz z nami do kordegardy!

Młoda kobieta ścisnęła moje ramię. Wyczułem całą grozę i błaganie, jakie wyrażał ten ruch. Zrozumiałem.

A że nazwała mnie pierwszym lepszym imieniem, jakie jej przyszło do głowy, więc i ja zrobiłem zupełnie tak samo.

— Co, to ty, moja biedna Solange! — rzekłem. — A cóż ci się przytrafiło?

— No, widzicie, panowie! — powiedziała.

— Zdaje mi się, że mogłabyś chyba powiedzieć: obywatele.

— Proszę posłuchać, panie sierżancie. To wcale nie moja wina, że tak mówię — rzekła dziewczyna. — Moja matka miała klientelę z wielkiego świata i nauczyła mnie grzeczności. Więc nabrałam złego zwyczaju, arystokratycznego, ja wiem. No, ale co robić, panie sierżancie... Jakoś nie mogę go się pozbyć.

W tych słowach, wypowiedzianych głosem drżącym, kryła się ledwie uchwytna drwina, którą tylko ja wyczuwałem. Zastanawiałem się, kim była owa kobieta, ale jedno tylko nie budziło wątpliwości — że to nie jest córka praczki.

— Co mi się przytrafiło? — powtórzyła. — Ano taka właśnie historia, obywatelu Albe-rcie. Proszę sobie wyobrazić, że odnosiłam pranie. Ale pani domu nie zastałam i musiałam poczekać na pieniądze, aż wróci. No co! Pieniądze w dzisiejszych czasach potrzebne są każdemu. Tymczasem zrobiło się ciemno, myślałam, że wrócę za dnia. Nie wzięłam z sobą karty obywatelskiej i wpadłam na tych panów, przepraszam, chciałam powiedzieć, na tych

obywateli. Zapytali mnie o kartę, powiedziałam, że nie mam, więc chcieli mnie zaprowadzić do kordegardy. Zaczęłam krzyczeć, pan nadbiegł — na szczęście ktoś znajomy. Więc się uspokoiłam. Powiedziałam sobie, skoro pan Albert wie, że nazywam się Solange, skoro wie, że jestem córką matki Ledieu, więc poręczy za mną. Prawda, panie Albercie?

— Naturalnie, że poręcę za ciebie, no i — rękę.

— Dobra — rzekł dowódca patrolu. — Ale któż mi poręczy za ciebie, panie elegancie?

— Danton! Odpowiedni dla ciebie? Dobry z niego patriota?

— A, jeżeli Danton ręczy za ciebie, to nie ma o czym gadać.

— Dziś właśnie jest posiedzenie w klubie kordelierów. Chodźmy tam.

— Chodźmy tam! — powtórzył sierżant. — Obywatele sankiuloci, naprzód, marsz!

Klub mieścił się w dawnym klasztorze Braci Mniejszych, przy ulicy Observance. Znalezliśmy się tam po chwili. Przy bramie wydarłem z notesu kartkę i skreśliwszy kilka słów ołówkiem wręczyłem ją sierżantowi, prosząc, aby ją zaniósł Dantonowi. My mieliśmy pozostać pod strażą kaprała oraz patrolu.

Sierżant wszedł do środka i wrócił z Dantonem.

— Jak to! — zawołał. — Ciebie zatrzymują! Ciebie, mojego przyjaciela, przyjaciela Kamila! Ciebie, jednego z najlepszych republikanów! Cóż znowu! Obywatelu sierżancie — dodał zwracając się do dowódcy sankiulotów — rękę za niego! Czy to ci wystarcza?

— Ręczysz za niego. Ale czy ręczysz za nią? — zapytał uparty sierżant.

— Za nią? O kim mówicie?

— Dalibóg, o tej kobiecie!

— Za niego, za nią, za wszystko, co jego dotyczy! Jesteś zadowolony?

— Tak, jestem zadowolony — odparł sierżant. — Szczególnie, że widział ciebie.

— Ach, dalibóg, możesz mieć tę przyjemność za darmo. Napatrz mi się do woli, póki tu jestem.

— Dzięki! Broń tak jak dotąd interesów ludu, a lud, możesz być pewny, będzie ci wdzięczny.

— O, tak! Liczę przecież na to! — rzekł Danton.

— Uściśniesz mi rękę? — zapytał znów sierżant.

— Czemuż by nie?

Danton podał mu dłoń.

— Niech żyje Danton! — krzyknął sierżant.

— Niech żyje Danton! — powtórzył cały patrol.

I zaraz oddalił się ze swym dowódcą, który uszedłszy dziesięć kroków odwrócił się. Potrząsając czerwoną czapką zawołał raz jeszcze: „Niech żyje Danton!” — a jego ludzie podchwycili ten okrzyk.

Chciałem podziękować Dantonowi, kiedy wewnątrz klubu zabrzmiało kilkakrotnie wykrzykiwane jego imię.

— Danton! Danton! — wołano chóralnie. — Na trybunę!

— Wybacz, mój drogi — rzekł. — Słyszysz! Daj rękę i pozwól mi odejść. Prawą podałem sierżantowi, a tobie daję lewą. Kto wie, może godny patriota miał świerzb. — Odwróciwszy się krzyknął głosem potężnym, zdolnym rozpętać i uspokoić uliczną burzę: — Jestem! Już idę!

I znikł wewnątrz klubu, a ja zostałem przy bramie razem z nieznaną.

— A teraz — zapytałem — dokąd mam panią odprowadzić? Jestem do usług.

— Dokąd? Do matki Ledieu — odparła śmiejąc się. — Przecież pan wie, że to moja matka.

— Ale gdzie ona mieszka?

— Ulica Férou 27.

— Chodźmy do matki Ledieu, ulica Férou 27.

Poszliśmy ulicą Fossés-Monsieur-le-Prince aż do ulicy Fossés-Saint-Germain, następnie ulicą Petit-Lion, wreszcie przez plac Saint-Sulpice dotarliśmy do ulicy Férou.

Przez całą drogę nie zamieniliśmy z sobą ani jednego słowa. Mogłem jednak przypatrzyć się nieznamemu do woli w blasku księżyca, który świecił w całej swej wspaniałości.

Była to urocza dwudziestodwuletnia kobieta, brunetka, o dużych niebieskich oczach, raczej figlarnych niż melancholijnych, cienkim i prostym nosie, drwiących ustach. Zęby miała jak perły, ręce królewskie, stopy dziecięce. Ale pod prostym ubiorem córki matki Ledieu wszystko to zachowało arystokratyczny wygląd, który słusznie wzbudził podejrzliwość dzielnego sierżanta i jego wojowniczego patrolu.

Stanęliśmy przed bramą domu, spoglądając na siebie przez chwilę w milczeniu.

— No i cóż mi pan powie, mój drogi panie Albercie? — zapytała z uśmiechem nieznajoma.

— Chciałem pani powiedzieć, moja droga panno Solange, że nie warto było się spotkać, aby tak prędko się rozstać.

— O, po stokroć przepraszam pana! Odwrotnie, myślę, że właśnie było warto, zważywszy, iż w przeciwnym razie zaprowadzono by mnie do kordegardy. Tam by stwierdzono, że nie jestem córką matki Ledieu, a wykrywszy we mnie arystokratkę najprawdopodobniej ucięto by mi szyję.

— Więc pani przyznaje, że jest arystokratką?

— Nic nie przyznaję.

— Proszę mi przynajmniej powiedzieć swoje imię.

— Solange.

— Przecież imię to, nadane najzupełniej przypadkowo, nie jest pani imieniem.

— Mniejsza o to! Lubię je i zatrzymuję, przynajmniej dla pana.

— Po cóż zatrzymywać je dla mnie, jeśli mam pani nie zobaczyć.

— Tego nie mówię. Twierdzę tylko, że o ile się zobaczymy, nie potrzebuje pan znać mojego imienia, podobnie jak ja pańskiego. Nazwałam pana Albertem, proszę zatrzymać to imię, tak jak ja zatrzymałam imię Solange.

— A więc, dobrze! Ale niech mnie pani posłucha, Solange — rzekłem.

— Słucham pana, Albercie — odparła.

— Przyznaje pani, że jest arystokratką?

— Gdybym nawet nie przyznała, odgadłby pan, prawda? W ten sposób zasługa mego przyznania się staje się dużo mniejsza.

— Jako arystokratce grozi pani niebezpieczeństwo?

— Coś w tym rodzaju.

— I aby go uniknąć, kryje się pani?

— Przy ulicy Férou 24, u matki Ledieu, której mąż był stangretem u mojego ojca. Jak pan widzi, nie mam sekretów.

— A pani ojciec?

— Nie mam sekretów, drogi panie Albercie, o ile dotyczą mojej osoby. Ale sekrety mego ojca nie należą do mnie. Ojciec mój, ze swej strony, kryje się czekając na sposobność emigrowania. To wszystko, co mogę panu powiedzieć.

— A pani co zamierza zrobić?

— Wyjechać z ojcem, jeśli to możliwe. Jeśli zaś nie, wyprawić go samego, a potem spotkać się z nim.

— Wracła pani od ojca, kiedy ją dzisiaj zatrzymano?

— Tak.

— Proszę mnie posłuchać, droga Solange.

— Słucham pana.

— Widziała pani, co się dziś stało?

— Tak, i to mi dało miarę pańskiego kredytu.
 — Niestety, kredyt mój nie jest duży. Mam jednak kilku przyjaciół.
 — Poznałam dziś jednego z nich.
 — I to nie najmniej potężnego spośród ludzi naszej epoki.
 — Zamierza pan skorzystać z jego wpływu dla ułatwienia mojemu ojcu ucieczki?
 — Nie, zachowuję go dla pani.
 — A dla mego ojca?
 — Dla pani ojca mam inny sposób.
 — Ma pan inny sposób? — zawołała Solange chwytając mnie za rękę i patrząc z niepokojem.
 — W razie ocalenia ojca, zachowa pani o mnie dobre wspomnienie?
 — Och, będę panu wdzięczna do końca życia!
 Słowa te powiedziała z cudownym wyrazem okazanej już przed chwilą wdzięczności.
 Po czym spojrzawszy na mnie błagalnie, zapytała:
 — Ale czy to panu wystarczy?
 — Tak — odparłem.
 — Więc nie omyliłam się — ma pan szlachetne serce! Dzięki w imieniu ojca i własnym. Jeśli nawet nie powiedzie się panu w przyszłości, jestem panu zobowiązana za przeszłość.
 — Kiedy zobaczymy się, Solange?
 — A kiedy powinniśmy się zobaczyć?
 — Przypuszczam, że będę miał jutro dobre nowiny dla pani.
 — A więc, zobaczymy się jutro!
 — Gdzie?
 — Tu, jeśli pan chce.
 — Tu, na ulicy?
 — Och, mój Boże! Tu jeszcze, jak pan widzi, najbezpieczniej. Podczas naszej półgodzinnej rozmowy przy tych drzwiach nie pokazała się ani jedna osoba.
 — Czemu nie miałbym przyjść do pani lub też pani do mnie?
 — Gdyż zjawiając się u mnie, naraziłby pan tych poczciwców, którzy mnie schronili, moje zaś przyście skompromitowałyby pana.
 — Dobrze więc! Wezmę kartę jednej z moich krewnych i przyniosę pani.
 — Chyba po to, aby zgilotynowano pańską krewną, w razie gdyby mnie zatrzymano.
 — Ma pani słuszość. Przyniosę kartę na imię Solange.
 — Cudownie! Zobaczy pan, że Solange pozostanie moim jedynym i rzeczywistym imieniem.
 — Godzina?
 — Ta sama, o której spotkaliśmy się dziś. Dziesiąta, jeśli pan chce.
 — Dobrze, dziesiąta. A jak się spotkamy?
 — O, to nie jest trudne. Za pięć dziesiąta będzie pan przy drzwiach, a o dziesiątej ja zejdę.
 — A więc, jutro o dziesiątej, droga Solange.
 — Jutro o dziesiątej, drogi Albercie.
 Chciałem ucałować jej rękę, podała mi czoło.
 Nazajutrz, o wpół do dziesiątej wieczór byłem już na ulicy.
 Za kwadrans dziesiąta Solange otwierała drzwi.
 Oboje stawiliśmy się przed umówioną godziną.
 Jednym susem znalazłem się przy niej.
 — Widzę, że pan ma dobre nowiny — rzekła z uśmiechem.
 — Doskonałe! Najpierw pani karta.

- Najpierw mój ojciec! — Solange odsunęła swoją rękę.
- Pani ojciec będzie uratowany, jeżeli zechce.
- Jeżeli zechce, powiada pan. Co powinien zrobić?
- Powinien mieć zaufanie do mnie.
- Już je ma.
- Widziała go pani?
- Tak.
- Naraża się pani.
- Cóż, trzeba... Ale Bóg czuwa.
- Powiedziała pani wszystko swemu ojcu?
- Powiedziałam, że wczoraj ocalił mi pan życie, a jutro może ocali jemu.
- Jutro... Tak, słusznie. Jutro, jeżeli zechce, uratuję mu życie.
- Jak? Proszę niechże pan mówi! Jakież to byłoby cudowne spotkanie, gdyby wszystko się powiodło!
- Ale... — rzekłem z wahaniem.
- Co takiego?
- Pani nie będzie mogła wyjechać razem z nim.
- O, to... Czyż nie wyjawiałam panu swej decyzji?
- Jestem zresztą pewny, że i dla pani uzyskam później paszport.
- Mówmy najpierw o moim ojcu, a dopiero potem o mnie.
- A więc mówiłem pani, że mam przyjaciół, prawda?
- Tak.
- Dziś widziałem się z jednym z nich.
- Co dalej?
- Tego człowieka zna pani z nazwiska. Daje ono gwarancję odwagi, lojalności i honoru.
- To nazwisko...
- Brzmi: Marceau.
- Generał Marceau?
- Właśnie.
- Ma pan słusność. Jeżeli on przyrzekł, to dotrzyma.
- On przyrzekł!
- Boże, uszczęśliwia mnie pan! Co przyrzekł? Miech pan mówi!
- Przyrzekł, że nam pomoże.
- W jaki sposób?
- To bardzo proste. Kleber mianował go naczelnym wodzem armii zachodniej. Wyrusza jutro wieczór.
- Jutro wieczór? Nie będziemy mieli czasu na przygotowania...
- Nie trzeba nic przygotowywać.
- Nie rozumiem.
- Marceau zabiera z sobą pani ojca.
- Mojego ojca?
- Tak, jako sekretarza. Przybywszy do Wandei, pani ojciec zaręczy generałowi Marceau słowem, że nie będzie walczył przeciwko Francji. Którejś nocy dotrze do obozu wandejskiego. Z Wandei przedostanie się do Bretanii, a potem do Anglii. Znalazłszy się w Londynie, przyśle wiadomości, ja dostarczę paszport i pani spotka się z ojcem w Londynie.
- Jutro! — wykrzyknęła Solange. — Mój ojciec ma wyjechać jutro!
- Ale nie ma czasu do stracenia.
- Ojciec nie jest uprzedzony.
- Niech go pani uprzedzi.

— Dziś?

— Dziś.

— Ale jak? O tej porze?

— Ma pani kartę i moje ramię.

— Prawda! A moja karta?

Dałem Solange kartę, którą włożyła za stanik.

— A teraz pańskie ramię.

Podaliśmy jej ramię i ruszyliśmy.

Doszliśmy do placu Taranne, to znaczy do miejsca, gdzie spotkałem Solange poprzedniego dnia.

— Niech pan zaczeka na mnie — powiedziała.

Skłoniłem się i czekałem.

Solange znikła za węgłem dawnego pałacu Matignon, ale po upływie kwadransa zjawiała się z powrotem.

— Chodźmy —> rzekła. — Ojciec chce pana zobaczyć i podziękować.

Wzięła mnie znów pod ramię i poprowadziła na ulicę Saint-Guillaume, na wprost pałacu Mortemart.

Po przybyciu na miejsce wyjęła z kieszeni klucz i otworzywszy małą bramę wzięła mnie za rękę. Kiedyśmy stanęli na drugim piętrze, Solange zapukała w umówiony sposób.

Drzwi otworzył nam mężczyzna pięćdziesięcioletni. Ubrany był jak rzemieślnik, wyglądał na introligatora. Ale już pierwsze słowa, jakie wypowiedział, i pierwsze skierowane do mnie podziękowania zdradziły jego pochodzenie.

— Opatrzność zesłała nam pana — rzekł — toteż przyjmuję go jako jej wysłannika. Czy to prawda, że pan może mnie ocalić? A przede wszystkim, czy pan chce mnie ocalić?

Opowiedziałem mu wszystko. Powtórzyłem, że Marceau podjął się zabrać go jako sekretarza, i że jednego tylko żądał — aby nie walczył przeciwko Francji.

— Przyrzekam to panu z całego serca i również jemu to przyrzeknę.

— Dziękuję panu w imieniu generała i własnym.

— Kiedy Marceau odjeżdża?

— Jutro.

— Czy mam udać się do niego tej nocy?

— Kiedy pan zechce. On czeka.

Ojciec i córka spojrzeli po sobie.

— Sądzę, ojcze, że byłoby roztropniej pójść tam jeszcze dziś wieczór — rzekła Solange.

— Dobrze. A jeśli mnie zatrzymają? Nie mam karty obywatelskiej...

— Oto moja.

— A pan?

— Och, mnie znają.

— Gdzie mieszka Marceau?

— Przy ulicy Université 40, u swej siostry, panny Dégraviers-Marceau.

— Czy pójdzie pan ze mną?

— Będę szedł z tyłu, aby potem odprowadzić panią do domu.

— A skąd Marceau będzie wiedział, że to jestem ja?

— Doręczy mu pan tę trójkolorową odznakę, tak zostało umówione.

— Co mogę uczynić dla mego zbawcy?

— Powierzy mi pan ocalenie swej córki, tak jak ona powierzyła mi pańskie.

— Chodźmy.

Włożył kapelusz i zgasił światło.

Zeszliśmy przy blasku księżyca, którego promień przesączał się przez okna na scho-

dach.

Na dole ojciec wziął córkę pod ramię, skręcił na prawo i przez ulicę Saints-Péres dotarł do ulicy Université. Postępowałem za nimi w odległości dziesięciu kroków.

Przybyliśmy na miejsce nie napotkawszy nikogo. Zbliżyłem się do nich.

— To dobra wróżba — rzekłem. — A teraz, czy państwo chcą, żebym zaczekał, czy też mam wejść na górę?

— Nie. Nie może pan narażać się więcej. Zaczeka pan tu na moją córkę.

Skłoniłem się.

— Raz jeszcze dzięki i żegnam — rzekł podając mi rękę. — Brak mi słów, by wypowiedzieć uczucia, jakie żywię dla pana. Mam nadzieję, że któregoś dnia Bóg zezwoli mi wyrazić panu całą moją wdzięczność.

Odpowiedziałem mu prostym uściskiem dłoni.

Ojciec Solange wszedł do domu, ona za nim. Przedtem jednak uściśniła mi rękę.

Po upływie dziesięciu minut otworzyła się brama.

— A więc? — zapytałem.

— A więc — rzekła — jest to człowiek ze wszech miar godny pana przyjaźni, to znaczy na wskroś subtelny. Rozumie, jak byłabym szczęśliwa pozostając z ojcem aż do wyjazdu, polecił więc swej siostrze posłać mi w jej pokoju. Jutro o trzeciej po południu ojciec mój będzie wolny od wszelkiego niebezpieczeństwa. Proszę przyjść jutro o godzinie dziesiątej, tak jak dziś, na ulicę Férou... O ile warto się fatygować, aby otrzymać podziękowanie od dziewczyny wdzięcznej za ocalenie ojca.

— Przyjdę z pewnością! Czy ojciec nic nie mówił?

— Dziękuję panu za kartę, którą zwracam, i prosi, aby pan wysłał mnie do niego jak można najprędzej.

— Zrobię to, kiedy tylko pani zechce, Solange — odparłem ze ściśniętym sercem.

— No, ale przecież muszę wiedzieć, gdzie mam się spotkać z ojcem — rzekła. — O, jeszcze się pan mnie nie pozbył!

Ująłem jej rękę i przycisnąłem do swego serca. A ona, nachyliwszy ku mnie czoło, tak jak poprzedniego dnia, dodała: — Do jutra!

Dotykając ustami czoła Solange, przycisnąłem do serca nie tylko jej rękę, ale i drżącą pierś, i bijące gwałtownie serce.

Wróciłem do domu pełen nieznaney dotychczas radości. Czy było to poczucie spełnienia dobrego uczynku, czy może — już kochałem tę cudowną istotę?

Nie wiem, czy spałem, czy czuwałem. Wiem tylko, że rozśpiewały się we mnie wszystkie melodie świata. Wiem, że noc wydała mi się bezkresna, a dzień ogromny. Wiem, że choć chciałem, aby czas upływał, pragnąłem jednocześnie go powstrzymać i nie stracić ani jednej z chwil, jakie miałem jeszcze przeżyć.

Nazajutrz byłem na ulicy Férou już o godzinie dziewiątej, o wpół do dziesiątej zjawiała się Solange. Zbliżywszy się do mnie, zarzuciła mi ręce na szyję.

— Ocalony! — zawołała. — Ojciec mój ocalony! Tobie to zawdzięczam! Och, jak ja cię kocham!

Po dwóch tygodniach Solange otrzymała list z wiadomością, że ojciec jej znajduje się w Anglii.

Nazajutrz przyniosłem jej paszport. Biorąc go, Solange zalała się łzami.

— Więc mnie nie kochasz? — zapytała.

— Kocham cię ponad życie. Ale dałem twemu ojcu słowo, muszę go więc dotrzymać.

— W takim razie — rzekła Solange — ja nie dotrzymam swojego. Jeżeli masz odwagę, aby rozstać się ze mną, ja nie mam jej, Albercie, aby cię opuścić.

Została, niestety!

Rozdział VII

ALBERT

I znów zapanowała chwila ciszy, jak podczas pierwszej przerwy w opowiadaniu pana Ledru, ciszy głębszej jeszcze niż poprzednia, wszyscy bowiem czuli zbliżający się koniec opowieści. A przecież pan Ledru uprzedził, że nie wie, czy zdoła jej dokończyć. Zaraz jednak podjął dalej:

— Trzy miesiące upłynęły od owego wieczora, kiedy mówiliśmy o wyjeździe Solange i przez ten cały czas nie padło ani jedno słowo o rozstaniu.

Tak jak Solange tego pragnęła, wynająłem przy ulicy Taranne mieszkanie na jej imię. Innego nie znałem, podobnie jak ona znała tylko imię Albert. Wyrobiłem jej miejsce wychowawczyni w zakładzie dla dziewcząt, aby tym skuteczniej uchronić ją przed poszukiwaniami rewolucyjnej policji, szczególnie wówczas aktywnej.

Niedziele i czwartki spędzaliśmy razem w małym mieszkanku przy ulicy Taranne. Z okna sypialni widzieliśmy plac, na którym spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Codziennie otrzymywaliśmy listy: ona na imię Solange, ja — na imię Alberta.

Były to trzy najpiękniejsze miesiące w moim życiu.

Nie zrezygnowałem jednak z planu, jaki powziąłem po owej rozmowie z pomocnikiem katowskim. Zabiegałem i uzyskałem zgodę na prowadzenie badań, dotyczących możliwości życia organizmu po egzekucji. Doświadczenia moje wykazały, że ból może przetrwać kaźń i musi być straszliwy.

— Otóż ja temu przeczę! — wykrzyknął doktor.

— A czyż zaprzeczy, pan, że gilotyna uderza w najwrażliwsze miejsce naszego ciała ze względu na znajdujące się tam nerwy? Zaprzeczy pan, że właśnie w szyi skupiają się wszystkie nerwy jak również stos pacierzowy, będący ich źródłem? Czy także pan zaprzeczy, że strzaskanie czy zmiżdżenie kręgosłupa sprawia najokropniejszy ból, jakiego może doznać istota ludzka?

— Zgoda — rzekł doktor. — Ale ten ból trwa zaledwie kilka sekund.

— O, temu to ja stanowczo zaprzeczę! — zawołał pan Ledru z głębokim przekonaniem. — A gdyby nawet trwał on tylko parę sekund, to c z u c i e, o s o b o w o ś ć, j a pozostają żywe. Głowa słyszy, widzi, czuje i uświadamia sobie oderwanie od ciała. A kto powie, że krótkotrwałość bólu może być kompensatą za straszliwą intensywność tego bólu?

— A więc, pańskim zdaniem, dekret Konstytuanty, zastępując szubienicę gilotyną, był omyłką filantropijną, i uważa pan, że lepiej być powieszonym niż ściętym?

— Bez wątpienia, wielu powieszonych lub wisielców odzyskało życie. Otóż mogli oni opowiedzieć o doznanym wrażeniu. Jest to piorunująca apopleksja, to znaczy głęboki sen bez jakiegoś szczególnego bólu, bez odczucia jakiegokolwiek udreki. Jest to jakby płomień, który wybucha przed oczami i przechodzi stopniowo w barwę niebieską, a potem w czarną, gdy następuje omdlenie. Pan zresztą, doktorze, chyba wie najlepiej. Człowiek, któremu naciska się mózg palcem zupełnie nie odczuwa bólu, tylko zasypia. Otóż to samo się dzieje, kiedy przyływ krwi uciska mózg. Właśnie u powieszonego krew gwałtownie wtłacza się do mózgu przez arterie kręgowe, które przechodząc przez kostne kanały szyi nie mogą ulec nadwężeniu. Następnie zaś usiłując cofnąć się przez żyły szyi, znajduje przeszkodę w więzi łączącej szyję z żyłami i powoduje omdlenie.

— Dobrze — zgodził się doktor. — Ale powróćmy do eksperymentów. Pilno mi dotrzeć do owej sławetnej głowy, która mówi.

Zdawało mi się, że z piersi pana Ledru wymknęło się jakby westchnienie. Ale twarzy

jego nie można było dostrzec. Otaczała nas zupełna ciemność.

— Tak, rzeczywiście, odbiegam od tematu, doktorze — powiedział. — Powróćmy do eksperymentów.

Na nieszczęście, materiału mi nie brakło. Egzekucje osiągały maksimum, gilotynowano dziennie około czterdziestu osób, a na placu Rewolucji płynęły takie strumienie krwi, że trzeba było wykopać dokoła szafotu rów, głęboki na trzy stopy.

Rów ten przykryto deskami. Jedna z nich obsunęła się pod nogami jakiegoś dziesięcioletniego dziecka, które wpadło do tej ohydnej fosy i utonęło.

Rzecz zrozumiała, że ani słowem nie wspomniałem Solange, jakie to sprawy absorbują mnie wtedy, kiedy się nie widzimy. Muszę zresztą wyznać, że z początku wzdrygałem się na widok tych nieszczęsnych szczątków ludzkich. Przerażała mnie myśl o bólu, mogącym na skutek doświadczeń spotęgować ich cierpienia.

Ostatecznie jednak powiedziałem sobie, że moje badania mają na celu dobro całego społeczeństwa. Gdyby bowiem udało mi się natchnąć mymi poglądami zebranie prawodawców, może bym zyskał zniesienie kary śmierci.

W miarę jak prowadzone doświadczenia przynosiły rezultaty, notowałem je w memoriale.

Po dwóch miesiącach dokonałem wszelkich możliwych eksperymentów dotyczących trwania życia po egzekucji. Postanowiłem posunąć się w swych badaniach, o ile tylko można, jeszcze dalej, posługując się galwanizmem i elektrycznością.

Na cmentarzu Clamart pozwolono mi prowadzić doświadczenia, oddając do dyspozycji głowy i ciała wszystkich skazańców. Kapliczkę, zbudowaną na skraju cmentarza, przekształcono dla mnie w laboratorium. Wiecie państwo, że wypędziwszy królów z ich pałaców, wygnano też Boga z kościołów.

Miałem tam maszynę elektryczną i kilka instrumentów zwanych ekscytatorami.

Około piątej przybywał straszliwy transport. Ciała leżały bezładnie na wózku, głowy wciśnięte były byle jak do worka.

Brałem na chybił trafił kilka głów oraz ciał, resztę rzucano do wspólnego grobu. Szczątki, na których eksperymentowałem, dołączano nazajutrz do dziennego transportu. W tych doświadczeniach prawie zawsze pomagał mi brat.

W przerwach między kontaktami ze śmiercią miłość moja do Solange potęgowała się z każdym dniem. Ze swej strony, biedactwo kochało mnie całą mocą swego serca.

Myślałem bardzo często o małżeństwie z nią, wiedzieliśmy oboje, ile szczęścia przyniosłby nam podobny związek. Ale by zostać moją żoną, Solange musiałaby wyjawić swoje nazwisko, a to nazwisko — nazwisko emigranta, arystokraty, wygnańca — niosło z sobą śmierć.

Ojciec Solange pisał do niej kilka razy, aby przyśpieszyła wyjazd, ale ona wyznała mu naszą miłość. Uzyskała również jego zgodę na małżeństwo, tak że pod tym względem wszystko układało się pomyślnie.

Z wielu okropnych procesów jeden, straszliwszy od innych, głęboko poruszył nas oboje — proces Marii Antoniny.

Rozpoczęty czwartego października prowadzony był energicznie: czternastego października królowa stanęła przed trybunałem rewolucyjnym, szesnastego o czwartej rano zapadł wyrok skazujący, a o jedenastej Maria Antonina wstąpiła na szafot.

Z rana otrzymałem list od Solange, która pisała, że nie chce w takim dniu być z dala ode mnie. Około drugiej zjawiłem się w naszym mieszkaniu przy ulicy Taranne i zastałem Solange we łzach. Ja również byłem głęboko przejęty tą egzekucją. Królowa okazywała mi, w okresie mej młodości, tyle dobroci, że zachowałem ją głęboko w pamięci.

Och, nie zapomnę nigdy tego dnia! Była środa, w Paryżu panował nastrój nie tylko

smutku, ale i grozy.

Ja odczuwałem jakieś szczególne przygnębienie, będące jakby przecuciem wielkiego nieszczęścia. Próbowałem podnieść na duchu Solange, płaczącą w moich ramionach, ale brak mi było słów pociechy, gdyż sam nie miałem spokoju w sercu.

Jak zwykle, noc spędziliśmy razem, ale upłynęła jeszcze smutniej niż dzień. Pamiętam, że pies, zamknięty w mieszkaniu nad nami, wył do godziny drugiej nad ranem.

Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że właściciel psa wyszedł, zabierając z sobą klucz. Na ulicy zatrzymano go i zaprowadzono przed trybunał rewolucyjny. Skazany o godzinie trzeciej, o czwartej już nie żył.

Trzeba było się rozstać. Lekcje rozpoczynały się o dziewiątej rano. Zakład Solange znajdował się w pobliżu Ogrodu Botanicznego. Długo się wahałem, czy pozwolić jej pójść, ona także nie mogła się zdecydować na rozstanie ze mną. Ale dwudniowa nieobecność mogła narazić Solange na poszukiwania, zawsze niebezpieczne w jej sytuacji.

Przywołałem fiakra i dojechałem z nią do rogu ulicy Fossés-Saint-Bernard. Tam wysiadłem, ona zaś miała dalej jechać sama. Przez całą drogę trwaliśmy w uścisku, nie wymówiwszy ani słowa. Nasze łzy mieszały się z sobą, a spływając na usta sączyły swą gorycz do słodczy naszych pocałunków.

Wysiadłszy z fiakra stałem w miejscu jak wryty, zamiast pójść w swoją stronę. Chciałem jak najdłużej widzieć unoszący ją pojazd. Ujechałszy dwadzieścia kroków fiakier zatrzymał się. Solange wysunęła głowę przez okno jak gdyby odgadłszy, że się jeszcze nie odzaliłem. Pobiegłem ku niej, wsiałem z powrotem i podniosłem szybę. Raz jeszcze wziąłem Solange w ramiona. Ale dziewiąta bila na Saint-Étienne-du-Mont. Otarłszy łzy zamknąłem jej usta trzykrotnym pocałunkiem i wyskoczywszy z fiakra pobiegłem pędem.

Zdawało mi się, że Solange przywołuje mnie, a bałem się, że może to zwrócić czyjąś uwagę. Miałem tyle desperackiej odwagi, że się nie odwróciłem.

Wracałem do domu zrozpaczony. Cały dzień spędziłem na pisaniu listu do Solange, który posłałem jej wieczorem.

Ledwie wrzuciłem go na pocztę, otrzymałem list od Solange. Zburczano ją, zasypano mnóstwem pytań i zagrożono, że nie będzie miała wolnego dnia.

Przypadał on w najbliższą niedzielę, Solange jednak przysięgała, że zobaczy się ze mną, choćby miała nawet zerwać z kierowniczką zakładu.

Ja również to sobie przysięgałem. Wydawało mi się, że oszaleję, jeśli nie zobaczę jej przez cały następny tydzień. Tym bardziej że Solange odczuwała niepokój. List od ojca, jaki zastała przybywszy na swoją pensję, wyglądał tak jakby go otwierano.

Noc spędziłem źle, a dzień następny jeszcze gorzej. Napisałem, jak zwykle, do Solange, a ponieważ był to dzień moich doświadczeń, wstąpiłem około trzeciej do brata, aby go zabrać z sobą do Clamart.

Brata nie zastałem, poszedłem więc sam.

Pogoda była okropna. Wszystko, jak gdyby zdjęte rozpaczą, tonęło w zimnym i ulewnym deszczu zapowiadającym zimę. Przez całą drogę słyszałem, jak heroldowie wykrzykiwali ochryple nazwiska skazanych tego dnia. Było ich wielu, zarówno mężczyzn jak kobiet i dzieci. Krwawe żniwo! Nie zabraknie mi materiału do pracy, jaką miałem wykonać wieczorem.

Dzień kończył się wcześniej. Kiedy przybyłem o czwartej do Clamart, niemal zapadła już noc. Cmentarz wyglądał ponuro, ohydnie — duże, świeżo zasypane groby, rzadkie drzewa, szeleszczące na wietrze niczym szkielety. Tam, gdzie ziemi nie ruszano, rosła trawa, chwasty lub pokrzywy, a gdzie ją skopano, zieleni z każdym dniem ubywało.

Pośród tych wszystkich nierówności terenu ział świeżo przygotowany dół, czekając na nowe ofiary. W przewidywaniu licznych skazańców grób był większy niż zazwyczaj.

Zbliżyłem się machinalnie. Dół wypełniała woda. Nieszczęsne trupy, nagie i zimne,

będą wrzucone do lodowatej jak i one wody!

Stanąwszy nad rowem pośliznąłem się, tak że omal nie wpadłem do środka. Włosy zjeżyły mi się na głowie. Przemoczony i wstrząsany dreszczem skierowałem się do swego laboratorium.

Była to, jak wspomniałem, dawna kapliczka. Rozglądałem się jakby czegoś szukając. Dlaczego? Sam nie wiem. Patrzyłem, czy na murach lub na miejscu, gdzie był ołtarz, nie przetrwał jakiś ślad religii. Ściany świeciły nagością, ołtarz zrównano z ziemią. Tam, gdzie było przedtem tabernaculum, widniała czaszka bez ciała i włosów, a więc śmierć, czyli nicość.

Zapaliwszy świecę postawiłem ją na mym stole do badań, pełnym różnych narzędzi o osobliwych kształtach, mego własnego pomysłu. Usiadłem dumając — o czym? O biednej królowej, którą znałem tak piękną, szczęśliwą i kochaną! Poprzedniego dnia, ścigana przez kłenstwami całego narodu, przywieziona na wózku wstąpiła na szafot. Teraz zaś, bezgłowe ciało spoczywa w trumnie nędzarzy — ciało tej, która sypiała pośród złociń Tuileries, Wersalu i Saint-Cloud!

Kiedy tak trwałem pogrążony w ponurych myślach, deszcz wzmagął się, porywisty wiatr dał gwałtownie, wybuchając posepną skargą wśród konarów drzew i kołyszących się traw.

Do tego hałasu przyłączył się niebawem jakby ponury łoskot grzmotu. Ale zamiast przetaczać się w chmurach, grzmot ten rozlegał się na ziemi, która głucho dudniła.

Był to turkot czerwonego wózka, który wyruszywszy z placu Rewolucji wtaczał się do Clamart.

Drzwi kapliczki otworzyły się i weszło dwóch ludzi z workiem, ociekając wodą. Jednym z nich był ów Legros, którego odwiedziłem w więzieniu, drugim — grabarz.

— No, panie Ledru — rzekł pomocnik katowski — jest tu wszystko, czego panu potrzeba. Nie ma z tym dzisiaj gwałtu. Zostawimy tu ten cały majdan. Jutro ich się pochowa, za dnia. Nie zaziębią się od spędzenia jednej nocy na dworze.

Roześmiawszy się ohydnie, najemnicy śmierci złożyli worek w kącie naprzeciwko mnie, z lewej strony dawnego ołtarza. Wyszli nie zamykając drzwi, które zaczęły raz po raz trzaskać. Podmuchy wiatru, wtargnąwszy do wnętrza kapliczki, chybotwały płomieniem świecy, który wydłużał się blado nad szerniałym knotem, jakby zamierając.

Słyszałem, jak wyprzęgano konia i zamykano cmentarz. Tamci odeszli, pozostawiając wózek ze stosem trupów.

Miałem wielką ochotę pójść razem z nimi, ale — nie wiem dlaczego — coś zatrzymywało mnie na miejscu. Wstrząsał mną dreszcz. Nie był to z pewnością lęk. Jednakże zawrodoenie wiatru, chłoszczący deszcz, skrzypienie rozkołysanych drzew, podmuchy, chybotające płomieniem świecy — wszystko to przenikało na wskroś nieokreśloną grozą, która ogarnęła mnie całkowicie.

Wydało mi się nagle, że jakiś głos łagodny i pełen skargi wydobywa się gdzieś z kapliczki, szepcząc: „Albercie”. Och, tym razem zadrżałem do głębi. Jedna tylko osoba na całym świecie nazywała mnie tym imieniem.

Błędnym wzrokiem potoczyłem z wolna, po kapliczce, której ścian, mimo iż tak szczupła, nie rozjaśniała moja świeca. Spojrzenie moje zatrzymało się na sterzącym w rogu ołtarza worku. Skrwawione i wzdęte płótno wskazywało na jego ponurą zawartość.

W chwili gdy mój wzrok spoczął na worku, ten sam głos, ale słabszy jeszcze i żałośniejszy, powtórzył: „Albercie!”

Wyprostowałem się, zimny ze zgrozy: głos ten wydobywał się jakby z wnętrza worka.

Dotykałem swego ciała, aby stwierdzić, czy to sen, czy to jawa, po czym, wyciągnąwszy ramiona, skierowałem się sztywno, niczym kamienny posąg, w stronę worka. Wsunąłem do środka rękę. Wydało mi się wówczas, że dotknęły jej ciepłe jeszcze wargi.

Ogarnęła mnie groza tak wielka, że — jak to nieraz bywa — przywróciła mi nagle odwagę. Ująłem tę głowę i padłszy z powrotem na fotel, położyłem ją na stole.

— Och! — wydarł mi się straszliwy okrzyk. Głowa, której oczy były na pół przy-
mknięte, a usta wydawały się jeszcze ciepłe, była głową Solange.

Czułem, że szaleję. Krzyknąłem trzy razy:

— Solange! Solange! Solange!

Przy trzecim okrzyku oczy jej rozwarły się, spojrzały na mnie i uroniwszy dwie łzy za-
lśniły wilgotnym blaskiem, jak gdyby ulatywała z nich dusza. Potem zamknęły się na zawsze.

Zerwałem się oszalały, nieprzytomny, wściekły. Chciałem uciec, ale wstając, zaczepi-
łem połą ubrania o stół. Stół przewrócił się, pociągając z sobą świecę, która zgasła, głowę,
która się potoczyła, i mnie samego, półprzytomnego. Leżąc na podłodze miałem wrażenie, że
głowa zsuwa się ku mnie po spadzistych płytach, a wargi dotykają moich ust. Całe moje ciało
przeszył lodowaty dreszcz, z ust wydarł się jęk. Zemdlałem.

Nazajutrz, o szóstej rano, grabarze znaleźli mnie równie zimnego, jak płyty, na których
leżałem.

Solange, zdemaskowaną na podstawie listu ojca, aresztowano, skazano i stracono tego
właśnie dnia.

Głowa, która do mnie przemówiła, oczy, które na mnie spojrzały, usta całujące moje
usta — była to głowa, oczy i usta Solange.

— Ty wiesz, Lenoir — kończył mer zwracając się do przyjaciela — w tym właśnie
czasie byłem o krok od śmierci.

Rozdział VIII

KOT, WOŹNY I SZKIELET

Opowieść pana Ledru wstrząsnęła nami.

Kawaler Lenoir, zagadnięty przez pana Ledru, odpowiedział po prostu skinieniem
głowy. Błada dama, która uniosła się na chwilę z kanapy, opadła z powrotem na poduszki.
Tylko westchnienie świadczyło o jej obecności. Komisarz policji, nie widząc w tym wszy-
stkim materiału do protokołowania, nie odezwał się ani słowem. Co do mnie, notowałem w
pamięci wszystkie szczegóły tej tragedii, ażeby móc je odnaleźć, kiedy wypadnie mi opowie-
dzieć to któregoś dnia. Co się tyczy Alliette'a i księdza Moulle, to cała historia zbyt odpo-
wiadała ich poglądom, by próbowali oponować.

Przeciwnie, ksiądz Moulle pierwszy przerwał milczenie, streszczając w pewnej mierze
ogólną opinię.

— Wierzę najzupełniej w to, coś nam opowiedział, drogi panie Ledru — rzekł. — Ale
jak wytłumaczy pan ten fakt, mówiąc językiem konkretnym?

— Ja go sobie nie tłumaczę — odparł pan Ledru. — Ja tylko podaję, to wszystko.

— Właśnie, jak go pan tłumaczy? — zapytał doktor. — Bo koniec końcem, jakkolwiek
ma się rzecz z trwaniem życia po śmierci, nie sądzi pan chyba, aby ucięta głowa mówiła po
upływie dwóch godzin?

— Gdybym to sobie wytłumaczył, drogi doktorze, nie przechorowałbym tak okropnie
owego wydarzenia.

— Ale, ostatecznie, doktorze — odezwał się kawaler Lenoir — w jaki sposób pan to
tłumaczy? Bo chyba nie uważa pan, że opowiedziano nam tu zmyśloną historię, ot, tak sobie?

Choroba pana Ledru jest również faktem konkretnym.

— Dalibóg, a to dopiero! Tłumaczę to halucynacją! Pan Ledru uważał, że widzi, pan Ledru uważał, że słyszy — dla niego było to tak, jakby widział i słyszał. Organa przekazujące bodźce do sensorium, to znaczy do mózgu, mogą je odbierać fałszywie na skutek różnych okoliczności. W takim wypadku przekazują je również fałszywie. Człowiek uważa, że słyszy, więc słyszy, uważa, że widzi, więc widzi.

Zimno, deszcz, ciemność wywarły tego rodzaju wpływ na pana Ledru, to wszystko. Szaleniec też widzi i słyszy to, co wydaje mu się, że widzi i słyszy. Halucynacja to chwilowe szaleństwo; po jej zniknięciu zachowuje się pamięć o niej. I tyle!

— A jeżeli nie zniknie? — zapytał ksiądz Moulle.

— Wtedy choroba staje się nieuleczalna i pociąga za sobą śmierć.

— Czy pan, doktorze, leczył już tego rodzaju choroby?

— Nie, ale znałem kilku lekarzy, mających z tym do czynienia. Między innymi jednego, który towarzyszył Walter Scottowi w jego podróży do Francji.

— I on panu opowiedział?...

— Podobną historię do tej, którą nas uraczył nasz gospodarz. Może nawet jeszcze bardziej niezwykłą.

— I pan to tłumaczy w sposób konkretny? — zapytał ksiądz Moulle.

— Oczywiście!

— Czy może nam pan opowiedzieć historię owego lekarza-Anglika?

— Naturalnie.

— Och, proszę opowiedzieć, doktorze!

— Koniecznie?

— Ależ oczywiście! — zawołali wszyscy.

— A więc dobrze. Lekarz, towarzyszący Walter Scottowi we Francji, nazywał się Sympson. Był to jeden z najwybitniejszych profesorów uniwersytetu edynburskiego, a co za tym idzie — był związany z najznacześniejszymi osobistościami w mieście.

W liczbie tych osób znajdował się nieznany mi z nazwiska sędzia trybunału karnego. Jego nazwisko stanowiło jedyną tajemnicę, jaką lekarz uważał za właściwe zachować w całej sprawie, ów sędzia, będący stałym pacjentem doktora Sympsona, nikł po prostu w oczach; choć nic na pozór nie zakłócało czynności jego organizmu. Trawiła go ponura melancholia. Rodzina sędziego wypytywała niejednokrotnie lekarza, a lekarz ze swej strony starał się wybadać pacjenta o przyczyny tego stanu. Nic jednak nie zdołał z niego wydobyć prócz mętnych odpowiedzi, które tylko zaostrzyły niepokój, świadcząc, że istnieje jakaś tajemnica, której chory nie chce zdradzić.

Wreszcie pewnego dnia doktor Sympson nalegał tak usilnie, żeby przyjaciel wyjawiał mu podłoże swojej choroby, iż ten, ujawszy go za rękę, rzekł ze smutnym uśmiechem:

— A więc tak, jestem chory. I moja choroba, doktorze, jest tym bardziej nieuleczalna, że tkwi całkowicie w mojej wyobraźni.

— Jak to, w pańskiej wyobraźni?

— Tak, wpadam w szaleństwo.

— Pan wpada w szaleństwo? W czym to się objawia, pytam? Wzrok ma pan jasny, głos spokojny, puls doskonały.

— Mój stan jest dlatego taki niepokojący, iż zdaję sobie z niego sprawę i mam o nim własny sąd.

— Ale, ostatecznie, na czym polega pańskie szaleństwo?

— Proszę zamknąć drzwi, doktorze, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Opowiem to panu. Doktor zamknął drzwi i usiadł obok swego przyjaciela.

— Pamięta pan — rzekł sędzia — ostatni proces kryminalny, w którym wydałem wyrok?

— Tak, dotyczył on pewnego szkockiego bandyty, którego pan skazał na powieszenie. I wyrok wykonano.

— Właśnie! Otóż w chwili gdy ogłaszałem wyrok, oczy skazańca rozblęły jakby płomieniem i pięść jego groźnie się zacisnęła. Nie zwróciłem na to uwagi, gdyż podobne groźby zdarzają się często. Ale nazajutrz po egzekucji zjawił się u mnie kat. Przepraszając uniżenie za tę wizytę oświadczył mi, iż uważał za swój obowiązek przestrzec mnie. Przed śmiercią bandyta rzucił jakieś zaklęcia, skierowane przeciwko mnie, mówiąc, że nazajutrz o godzinie szóstej — godzinie jego egzekucji — da mi o sobie znać.

Spodziewałem się jakiejś napaści ze strony jego współników, jakiejś zbrojnej zemsty. Z nastaniem więc godziny szóstej zamknąłem się w swoim gabinecie, położywszy na biurku parę pistoletów.

Zegar na kominku wydzwonił szóstą. Przez cały dzień byłem pod wpływem słów kata. Kiedy jednak na brązowym zegarze zabrzmiał ostatni dźwięk, usłyszałem tylko mruczenie, nie orientując się, skąd ono pochodzi. Odwróciwszy się spostrzegłem dużego, czarno-rudego kota. Skąd się tu wziął? Nie potrafiłem sobie tego wytłumaczyć. Drzwi i okna były zamknięte, mógł się więc dostać do pokoju tylko w ciągu dnia.

Byłem jeszcze przed podwieczorkiem. Zadzwoiłem. Przyszedł mój służący, ale nie mógł się dostać, gdyż zamknąłem drzwi. Otworzyłem je i powiedziałem o czarno-rudym kocie. Ale szukaliśmy go na próżno — kot znikł.

Nie interesowałem się nim już więcej. Minał wieczór, nadeszła noc, potem ranek, mijał dzień i — wybiła godzina szósta. W tej samej chwili usłyszałem za sobą znany mi już szmer i znów ujrzałem kota. Tym razem wskoczył mi na kolana.

Nie czuję bynajmniej antypatii do kotów, ale ta poufałość nie była mi zbyt przyjemna. Spędziłem kota ze swych kolan, ale po chwili znów do mnie wrócił. Zrzuciłem go precz, lecz tak samo bezskutecznie jak i przedtem. Wstałem więc i zacząłem chodzić po pokoju. Kot nie odstępował mnie ani na krok. Zniecierpliwiony tą natarczywością, zadzwoniłem na służącego, tak jak poprzedniego dnia. Ale kot umknął pod łóżko i poszukiwania okazały się daremne. Znikł.

Wieczorem wyszedłem. Odwiedziłem paru przyjaciół, następnie wróciłem do domu.

Nie mając z sobą światła, szedłem powoli po schodach, ażeby na nic nie wpaść. Stając na ostatnim stopniu usłyszałem, jak służący rozmawia z pokojówką mojej żony.

Na dźwięk mego nazwiska nadstawiłem ucha i dowiedziałem się, że służący opowiada całą historię minionego wieczora i dnia. W końcu zaś dodał:

— Pan z pewnością traci rozum. Tego czarno-rudego kota nie było ani w pokoju, ani w ogóle nigdzie.

Te słowa przeraziły mnie. Moje widzenie było więc albo rzeczywiste, albo urojone. Jeżeli rzeczywiste, to przytłaczał mnie ciężar jakichś nadnaturalnych mocy. Jeżeli zaś urojone, skoro wydawało mi się, że widzę coś nie istniejącego, jak twierdził mój służący — to znaczy, że traciłem rozum.

Domyśla się pan, drogi przyjacielu, z jaką niecierpliwością oraz lękiem oczekiwałem godziny szóstej. Nazajutrz zatrzymałem służącego przy sobie, pod pretekstem jakiejś sprawy. Wraz z ostatnim uderzeniem zegara usłyszałem znany szmer i znowu ujrzałem kota. Siedział obok mnie.

Przez chwilę nic nie mówiłem, spodziewając się, że służący zauważy go i sam mi o nim powie. Ale John krzątał się tu i tam, jak gdyby nic nie widząc.

Skorzystałem z pierwszej sposobności, aby służący, wykonując dane polecenie, musiał nieomal wejść na kota.

— Postaw, John, dzwonek na stole — rzekłem.

Służący stał obok mego łóżka, dzwonek znajdował się na kominku. Chcąc przejść od łóżka do kominka, John musiał koniecznie potraścić zwierzę. Gdy szedł po dzwonek, kot sko-

czył mi na kolana w chwili, gdy John miał już na niego nastąpić. John go nie spostrzegł, tak to przynajmniej wyglądało.

Przyznaję, że zimny pot zrosił mi czoło, a słowa: „Pan z pewnością traci rozum!” odżyły straszliwie w mej pamięci.

— John — powiedziałem — czy nic nie widzisz na moich kolanach?

Służący spojrział na mnie i z wyrazem człowieka, który powziął decyzję, odparł:

— Owszem, proszę pana. widzę kota.

Odetchnąłem. Wziętem kota mówiąc:

— W takim razie, proszę cię, zabierz go stąd.

John wyciągnął do mnie ręce, a ja podałem mu kota, z którym po chwili wyszedł.

Uspokoilem się nieco. Przez dziesięć minut rozglądałem się wokół niezupełnie jeszcze wolny od lęku. Nie widząc jednak nigdzie jakiegokolwiek żywej czworonożnej istoty, postanowiłem zobaczyć, co John zrobił z kotem.

Wyszedłem więc z pokoju, ażeby go o to zapytać. Ale stanąwszy w drzwiach do salonu usłyszałem głośny wybuch śmiechu, dochodzący z gotowalni mojej żony. Zbliżyłem się cichutko na palcach i usłyszałem głos Johna.

— Moja droga — mówił do pokojówki — właściwie to pan nie wariuje, on już zwariował. Wiesz, chodzi o to, że on widzi kota. Dzisiaj pytał mnie, czy nie widzę tego kota na jego kolanach.

— A coś ty mu odpowiedział? — zapytała pokojówka.

— Dalibóg, powiedziałem, że widzę — odparł John. — Pocziwie biedaczysko! Nie chciałem mu się sprzeciwiać. No i zgadnij, co zrobił?

— Jakże mam zgadnąć?

— Wziął więc tego niby kota ze swych kolan i podał mi go mówiąc: „Zabierz, zabierz!” Zabrałem śmiało kota i pan był zadowolony.

— No to kot musiał tam być, skoro go zabrałeś.

— Ech, nie! Kot istniał tylko w jego wyobraźni. Ale co by mu z tego przyszło, gdybym powiedział prawdę? Tyle, że wypędziłby mnie z domu. Nie, dalibóg, dobrze mi tu i chcę tu zostać. Otrzymuję dwadzieścia pięć funtów rocznie, żeby widzieć kota, więc widzę go. Niech mi da trzydzieści, a zobaczę dwa koty.

Nie miałem odwagi dłużej tego słuchać. Westchnąwszy wróciłem do pokoju.

Pokój był pusty...

Nazajutrz, jak zwykle o szóstej, mój towarzysz znalazł się obok mnie i znikł dopiero następnego ranka.

— Cóż mam panu powiedzieć? — mówił dalej chory. — W ciągu całego miesiąca ta sama zjawia przybywała co wieczór i zaczynałem się już przyzwyczajać do jej obecności. Ale trzydziestego dnia po egzekucji z wybiciem godziny szóstej kot się nie pokazał.

Sądząc, że go się już pozbyłem, z radości nie mogłem zasnąć. Przez cały następny ranek przyspieszałem, że tak powiem, czas. Pilno mi było doczekać się fatalnej godziny. Od piątej do szóstej nie odrywałem oczu od zegara. Śledziłem, jak wskazówka posuwa się minuta po minucie, aż wreszcie dotarła do cyfry 12. Zegar zadygotał a po chwili rozległo się pierwsze uderzenie, drugie, trzecie, czwarte, piąte, wreszcie szóste...

Przy ostatnim drzwi otworzyły się i ujrzałem, że wchodzi urzędnik sądowy, ubrany tak, jakby pozostawał na służbie u lorda-namiestnika Szkocji.

W pierwszej chwili pomyślałem, że lord-namiestnik przysłała mi jakieś pismo, wyciągnąłem więc do nieznanego rękę. Ale on nie zwracając najmniejszej uwagi na ten gest — stanął za moim fotelem.

Nie musiałem się odwrócić, aby go zobaczyć. Miałem przed sobą lustro, w którym odbijała się jego postać.

Wstałem i zacząłem chodzić, on postępował kilka kroków za mną. Wróciłem do stołu i

zadzwońnię. Zjawił się służący, ale nie zauważył urzędnika, podobnie jak przedtem — kota.

Odprowadziłem Johna i zostałem sam z tą dziwną postacią, którą mogłem obserwować do woli. Strój miał dworski, włosy ujęte w siatkę, szpadę u boku, kurtkę ręcznie haftowaną i pod pachą kapelusz.

O dziesiątej położyłem się. Gość usiadł wówczas w fotelu, na wprost mego łóżka, jak gdyby chcąc możliwie najwygodniej spędzić noc.

Odwrociłem głowę do ściany, ale nie mogąc w żaden sposób zasnąć, spoglądałem kilka razy w tamtą stronę i przy blasku nocnej lampki widziałem go wciąż na poprzednim miejscu.

On też czuwał.

Kiedy wreszcie pierwsze promienie słońca wdarły się przez szpary w żaluzjach do pokoju, odwróciłem się raz jeszcze w kierunku mego gościa. Znikł — fotel stał pusty.

Aż do wieczora byłem wolny od mojej zjawy.

Wieczorem miało się odbyć przyjęcie u wysokiego dostojnika kościelnego. Pod pretekstem przygotowania mego stroju galowego przywołałem Johna na pięć minut przed szóstą, nakazując mu zamknąć drzwi na klucz, co też uczynił.

Wraz z ostatnim uderzeniem zegara utkwilem wzrok w drzwiach. Otworzyły się i wszedł mój urzędnik.

Skierowałem się natychmiast ku drzwiom. Pozostały zamknięte, a zamki wydawały się nienaruszone. Odwróciłem się: urzędnik stał za moim fotelem, a John krzątał się po pokoju, nie okazując najmniejszego zainteresowania jego osobą. Było oczywiste, że zupełnie nie dostrzegął człowieka, tak jak przedtem nie widział zwierzęcia.

Zacząłem się ubierać.

Wówczas zaszło coś dziwnego. Nowy mój gość, pełen dla mnie względów, pomagał we wszystkim Johnowi, który zresztą wcale tego nie zauważył. Kiedy służący trzymał mój frak za kołnierz, widmo podtrzymywało poły. John podawał mi spodnie, zjawa trzymała je za nogawice. Nigdy jeszcze nie miałem równie usłużnego lokaja.

Nadeszła chwila wyjścia. Urzędnik, zamiast iść za mną, poszedł przodem, wysłiznął się z mego pokoju i pośpieszywszy na dół, stanął z kapeluszem pod pachą za Johnem, który mi otworzył drzwiczki karety. Kiedy zaś służący zamknął je i usiadł na ławeczce z tyłu, zjawa wskoczyła na kozioł obok stangreta, który posunął się na prawo, robiąc jej miejsce.

Przed domem dostojnika kościelnego kareta zatrzymała się. John otworzył drzwiczki, ale widmo stało już za mną, na swym posterunku. Ledwie wysiadłem, zjawa pobiegła pierwsza, przedzierając się przez ciżbę napelniających przedsiónek służących. Oglądała się przy tym, czy idę za nią.

Ogarnęła mnie wówczas chęć powtórzenia próby zrobionej już poprzednio z Johnem.

— Patryku — zapytałem — cóż to za człowiek siedział obok was?

— Jaki człowiek, wasza wielmożność? — zapytał z kolei stangret.

— Ten, co był obok was na kozle.

Patryk ze zdumieniem wywracał oczami, rozglądając się wokół.

— No, dobrze — rzekłem. — Zdawało mi się.

Wszedłem do środka. Zjawa stała na schodach, oczekując mnie.

Na mój widok pośpieszyła naprzód, jak gdyby chcąc mnie zaanonsować w sali przyjęć. A kiedy znalazłem się już wewnątrz, powróciła na właściwe miejsce w przedpokoju.

Zjawa pozostawała niewidzialna dla wszystkich, tak jak była niewidzialna dla Johna i Patryka.

Wówczas lęk mój zmienił się w grozę — zrozumiałem, że naprawdę wariuję. Od tego właśnie wieczora zauważono zachodzącą we mnie zmianę. Zapytywali mnie wszyscy — pan, tak jak i inni — co mnie absorbuje.

Zjawę odnalazłem w przedpokoju.

Kiedy wychodziłem, pobiegła przede mną, i wskoczyła na kozioł. Po powrocie do do-

mu, wsunęła się za mną do pokoju i — tak jak poprzedniego dnia — usadowiła się w fotelu.

Postanowiłem wtedy upewnić się, czy w moim widzeniu jest coś rzeczywistego. Przewyciężywszy się całą siłą woli, skierowałem się w stronę fotela, chcąc usiąść na nim. Nic nie poczułem, ale w lustrze ujrzałem stojące za mną widmo.

Położyłem się, jak poprzedniego dnia, ale dopiero o godzinie pierwszej w nocy. Będąc już w łóżku, zobaczyłem zjawę siedzącą znowu w fotelu. Nazajutrz rano znikła.

Trwało to przez cały miesiąc, po czym widmo, sprzeniewierzywszy się swym zwyczajom, nie pokazało się więcej.

Tym razem nie wierzyłem już, jak poprzednio, w zupełne jego zniknięcie, ale w jakąś straszliwą zmianę. Zamiast więc cieszyć się samotnością, oczekiwałem z uczuciem grozy następnego dnia.

Nazajutrz, po wybiciu godziny szóstej usłyszałem lekki szelest w kotarach za łóżkiem i w miejscu, gdzie zwykle się rozchylają, spostrzegłem szkielet.

Rozumie pan, drogi przyjacielu, tym razem był to — jeśli tak wolno się wyrazić — żywy obraz śmierci.

Szkielet stał tam nieruchomo, patrząc na mnie swymi oczodołami.

Wstałem i przemierzyłem kilkakrotnie pokój. Głowa szkieletu zwracała się za mną wszędzie, gdzie tylko się poruszyłem. Oczy tkwiące w oczodołach nie odrywały się ode mnie ani na chwilę, podczas gdy reszta szkieletu pozostawała nieruchoma.

Tej nocy nie miałem odwagi położyć się. Spałem, a raczej trwałem z zamkniętymi oczami w fotelu, gdzie zazwyczaj siadywała zjawa. Żałowałem wprost, że jej nie ma.

Z nastaniem dnia szkielet znikł.

Nakazałem Johnowi przestawić łóżko i zasunąć kotary. Gdy zegar wydzwonił szóstą usłyszałem szelest i spostrzegłem, że kotary zaczynają falować. Potem zauważyłem, jak kościste palce obu rąk rozsuwają zasłony i szkielet staje między nimi w tym samym miejscu, co poprzedniego wieczora.

Tym razem miałem odwagę położyć się spać. Wówczas głowa, która znowu zwracała się za mną, pochyliła się w moją stronę, oczy zaś, towarzyszące mi nieodstępnie, wpiły się we mnie badawczo.

Domyśla się pan, jak spędziłem noc! Otóż, drogi doktorze, takich nocy mam za sobą dwadzieścia! Wie pan już teraz, co mi jest. Czy podjąłby się pan jeszcze mnie wyleczyć?

— W każdym razie spróbuję — odparł doktor.

— A to w jaki sposób?

— Jestem przekonany, że owo widmo istnieje tylko w pańskiej wyobraźni.

— Mniejsza o to, czy istnieje, czy nie istnieje, skoro ja je widzę.

— Chce pan, abym i ja spróbował je zobaczyć?

— Niczego bardziej nie pragnę.

— A więc kiedy?

— Jak najprędzej. Jutro!

— Zgodna, jutro... A tymczasem, odwagi!

Chory uśmiechnął się smutno.

Nazajutrz o siódmej rano doktor zjawił się w pokoju przyjaciela.

— A więc? — zapytał.

— Szkielet dopiero co znikł — odparł słabym głosem sędzia.

— No to zrobimy tak, żeby nie powrócił wieczorem.

— Dobrze.

— Przede wszystkim... Mówi pan, że wchodzi o godzinie szóstej wraz z ostatnim uderzeniem zegara?

— Dokładnie.

— Zacznijmy od zatrzymania zegara. — Doktor zatrzymał wahadło.

— Co pan robi?

— Chcę panu odebrać możliwość mierzenia czasu.

— Proszę.

— A teraz zostawimy żaluzje zamknięte, zaciągniemy kotary przy oknach.

— Po co?

— Wszystko w tym samym celu: aby pan nie mógł orientować się w upływie czasu.

— Dobrze.

Zapuszczono żaluzje, ściągnięto kotary. Zapłonęły świece.

— John, proszę przygotować śniadanie i obiad — powiedział lekarz. — Nie chcemy jeść w określonych godzinach, ale wtedy, kiedy cię zawezwę.

— Słyszysz, John? — zapytał chory.

— Tak, proszę pana.

— A teraz daj nam karty, kości, domino i zostaw nas samych.

John przyniósł wszystko, co trzeba, i oddalił się.

Lekarz starał się, ile tylko mógł, rozerwać chorego bądź rozmową, bądź grając z nim. A kiedy byli głodni, zadzwonił. John, który wiedział, co oznacza ten dzwonek, przyniósł śniadanie.

Po śniadaniu gra ciągnęła się dalej, dopóki jej nie przerwał ponowny sygnał doktora John zjawił się wówczas z obiadem.

Obaj mężczyźni jedli i pili, następnie John podał kawę. I znów zasiedli do gry. Dzień spędzony w ten sposób, bez udziału osób trzecich, ciągnął się długo. Doktor obliczył w myśli ubiegły czas, tak że — jak mu się wydawało — fatalna godzina powinna już była minąć.

— A więc — rzekł wstając — zwycięstwo!

— Jak to, zwycięstwo? — zapytał chory.

— Bez wątpienia. Jest już chyba co najmniej ósma lub dziewiąta — no i szkielet nie zjawił się.

— Niech pan spojrzy na swój zegarek, doktorze, bo przecież on jeden w całym domu chodzi. I jeżeli krytyczna godzina już przeszła, to dalibóg zawołam wraz z panem: zwycięstwo!

Lekarz spojrział na zegarek, ale nic nie powiedział.

— Omylił się pan, doktorze, prawda? — rzekł chory. — Jest punkt szósta.

— Tak. Więc co?

— Więc szkielet właśnie wchodzi.

Z głębokim westchnieniem chory rzucił się w tył. Lekarz rozejrzał się na wszystkie strony.

— Gdzie go pan widzi? — zapytał.

— Na jego zwykłym miejscu, za moim łóżkiem, między kotarami.

Doktor wstał, odsunął łóżko, wszedł za nie i stanął za kotarą, gdzie miał znajdować się szkielet.

— A teraz — zapytał — widzi go pan jeszcze?

— Nie widzę już dolnej jego części, bo pan zaślania ją sobą, ale widzę jego czaszkę.

— Gdzie?

— Nad pana prawym ramieniem. Tak jakby pan miał dwie głowy: jedną żywą, drugą martwą.

Lekarz, mimo swego sceptycyzmu, wzdrygnął się cały. Odwrócił się, nic jednak nie zauważył.

— Drogi przyjacielu — rzekł smutno, zbliżając się do chorego — jeżeli ma pan poczynić jakieś dyspozycje testamentowe, to proszę nie zwlekać.

Po czym wyszedł.

Kiedy po dziewięciu dniach John wszedł rano do pokoju swego pana, znalazł go w

łóżku nieżywego.

Było to dokładnie w trzy miesiące po egzekucji bandyty.

Rozdział IX

GROBOWCE W SAINT-DENIS

— A więc, czegoż to dowodzi, doktorze? — zapyta! pan Ledru.

— To dowodzi, że organa przekazujące mózgowi otrzymane bodźce, mogą działać nieprawidłowo na skutek jakichś przyczyn. Przekazują więc umysłowi niewłaściwy obraz i w podobnym przypadku widzi się przedmioty i słyszy dźwięki, które nie istnieją. To wszystko.

— Jednakże — odezwał się kawaler Lenoir z nieśmiałością właściwą rzetelnemu uczo-
nemu — zdarzają się pewne rzeczy, pozostawiające jakiś ślad, oraz pewne prorocтва, które się spełniają. Jak wytłumaczy pan, doktorze, fakt, że ciosy, wymierzone przez widma, mogły powodować sińce na ciele? W jaki sposób wyjaśni pan, że widmo mogło przepowiadać przyszłość na dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat z góry? Czyż coś, co nie istnieje, może zadawać ciosy lub przepowiadać, co będzie?

— Ach — rzekł doktor — chce pan mówić o wizji króla szwedzkiego?

— Nie, chcę mówić o tym, co sam widziałem.

— Pan?

— Ja!

— Gdzie?

— W Saint-Denis.

— Kiedy?

— W roku 1794, kiedy profanowano groby.

— O właśnie. Posłuchaj pan tego, doktorze — rzekł pan Ledru.

— I cóż pan widział? Powiedz!

— Proszę! W 1793 roku mianowano mnie dyrektorem Muzeum Pomników Francji i jako taki asystowałem przy ekshumacji zwłok w opactwie Saint-Denis, którego nazwę świątli patrioci zmienili na Francjadę. Po latach czterdziestu mogę panom opowiedzieć dziwne rzeczy, które upamiętniły tę profanację.

Zaszczepiona ludowi nienawiść do Ludwika XVI, której nie zdołał nasycić szafot w dniu 21 stycznia, sięgnęła wstecz ku królom tego rodu. Chciano wytepić monarchię u samych jej korzeni, monarchów w ich grobach, rozrzucić na wszystkie strony prochy sześćdziesięciu królów.

Może też była w tym i ciekawość stwierdzenia, czy zachowały się wielkie skarby, jakoby ukryte w tych grobowcach.

Lud rzucił się więc na Saint-Denis. Od szóstego do ósmego sierpnia zniszczono pięćdziesiąt jeden grobów, historię dwunastu wieków.

Wówczas rząd postanowił uregulować tę sprawę, a więc przetrząsnąć grobowce na własny rachunek, stając się spadkobiercą monarchii, którą zmiążdżył w osobie Ludwika XVI, jego ostatniego przedstawiciela.

Ale chciano też zniszczyć samo imię, pamięć i szczątki królów, wykreślić z historii czternaście wieków monarchii.

Biedni szaleńcy! Nie rozumieją, że ludzie mogą czasem zmienić przyszłość... ale nigdy przeszłości!

Wykopano na cmentarzu wielki wspólny dół, taki jak dla nędzarzy. Do tego wylanego wapnem dołu miano wrzucić, niczym na śmietnisko, szczątki tych, którym Francja zawdzięczała swój prymat w świecie, od Dagoberta do Ludwika XV.

Dano więc zadośćuczynienie ludowi, ale przede wszystkim rozkosz prawodawcom, adwokatom, zawistnym dziennikarzom, drapieżnym ptakom rewolucji, których wzrok nie znosi przepychu, tak jak ptactwo nocne, ich krewniacy, nie znoszą światła.

Niszczenie stanowi dumę tych, co nie potrafią budować.

Mianowano mnie inspektorem wykopalisk, co mi dawało możliwość ocalenia mnóstwa cennych rzeczy. Zgodziłem się.

W sobotę, 12 października, kiedy odbywał się proces królowej, kazałem otworzyć grobowiec Burbonów od strony podziemnych kaplic. Najpierw wyciągnięto trumnę Henryka IV, zamordowanego 14 maja 1610 roku, w wieku 57 lat.

Co się tyczy posągu z Pont-Neuf, arcydzieła Jana z Bolonii oraz jego ucznia, to statuetkę przetopiono na bilon.

Ciało Henryka IV zachowało się nadzwyczajnie. Rysy twarzy pozostały zupełnie niezmienione, tak jak przetrwały we wdzięcznej pamięci ludu i na płótnie Rubensa. Wszystkich ogarnęło wielkie wzruszenie, kiedy, opuściwszy grobowiec, ukazał się w swoim całunie, tak samo dobrze zachowanym. Omalże nie zabrzmiął instynktownie pod stropem kościelnym okrzyk: „Niech żyje Henryk IV!”, tak we Francji popularny.

Widząc te oznaki czci, rzekłbym nawet miłości, kazałem oprzeć ciało o jedną z kolumn na chórze, gdzie każdy mógł je obejrzeć.

Król nosił, tak jak za życia, czarny aksamitny kaftan, od którego odcinała się biała kreza i mankiety, bufiaste aksamitne spodnie, czarne jedwabne pończochy i aksamitne pantofle.

Piękne szpakowate włosy okalały, niby aureola, jego głowę, a piękna biała broda opadała mu na piersi.

Rozpoczęła się wówczas olbrzymia procesja jak do świętego relikwiarza. Kobiety dotykały rąk dobrego króla, całowały kraj jego płaszcza. Inne znów kazały dzieciom swym uklęknąć szepcząc: „Ach, gdyby on żył, biedny naród nie byłby taki nieszczęśliwy!”

A mogłyby dodać: „...ani tak okrutny, bo to właśnie nędza doprowadza do okrucieństwa.”

Ta procesja trwała przez całą sobotę dwunastego października, niedzielę trzynastego i poniedziałek, czternastego. A tegoż dnia około godziny trzeciej, gdy robotnicy zjedli obiad, wznowiono ekshumację.

Po Henryku IV przyszła kolej na jego syna, Ludwika XIII. Ciało jego również zachowało się dobrze, a choć twarz miał już zapadniętą, można go było rozpoznać po wąsach. Następny był Ludwik XIV. Wyrazistość rysów nadała jego twarzy typową maskę Burbonów, była jednak czarna niczym atrament. Potem wydobyto zwłoki Marii Medycejskiej, drugiej żony Henryka IV, Anny Austriackiej, żony Ludwika XIII, Marii Teresy, żony Ludwika XIV, wreszcie — wielkiego Delfina.

We wtorek, 15 października, ekshumację prowadzono dalej.

Ciało Henryka IV stało wciąż oparte o kolumnę, niewzruszone w obliczu świętokradztwa dokonanego i na jego poprzednikach, i na potomnych.

W środę, 16 października, o jedenastej rano w chwili kiedy na placu Rewolucji ścięto Marię Antoninę, z grobowca Burbonów wyciągnięto trumnę Ludwika XV. Zgodnie z dawnym zwyczajem ceremoniału francuskiego, znajdowała się ona w przedniej części grobowca, gdzie miała stanąć następna, której nie było to jednak sądzone. Trumnę Ludwika XV zabrano i otwarto ją dopiero na cmentarzu, nad samym dołem.

Po wyjęciu z ołowianej trumny wydawało się, że ciało owinięte w całuny i opaski jest dobrze zachowane. Ale gdy wszystko usunięto, oczom zebranych ukazał się obraz na wskroś odrażającej zgnilizny i buchnął tak ohydny odór, że wszyscy uciekli i trzeba było spalić nie-

mało prochu, aby oczyścić powietrze.

Wrzucono czym prędzej do dołu na niegaszone wapno plugawe szczątki bohatera z Parc-aux-Cerfs, kochanka pani de Châteauroux, de Pompadour i du Barry, a potem przykryto je znowu warstwą wapna.

Pozostałem do końca przy tych ostatnich czynnościach, gdy dobiegł mnie z kościoła głośny krzyk. Poszedłem tam żywo i ujrzałem, że jakiś robotnik szamocze się z gromadą swych kolegów, a kobiety wygrażają mu pięściami.

Nędznik ten, zatrudniony przy ekshumacji, poszedł zobaczyć widowisko jeszcze posepniejsze — egzekucję Marii Antoniny. Podniecony okrzykami, które wznosił wraz z tłumem, i widokiem krwi, która tam się lała, powrócił do Saint-Denis. Zbliżywszy się do ciała Henryka IV, opartego o kolumnę i otoczonego nieustannie tłumem ciekawych, powiedziałbym niemal pobożnych, rzekł:

— Jakim prawem stoisz tu spokojnie, kiedy na placu Rewolucji ucina się królom głowy?

Z tymi słowy chwycił lewą ręką Henryka IV za brodę, a prawą wymierzył mu policzek. Ciało upadło na podłogę z suchym łoskotem, jakby to był worek kości.

Zewsząd rozległy się natychmiast głośne krzyki. Podobna obelga może uszłaby płazem wobec każdego innego króla, ale w stosunku do Henryka IV, króla ludu. był to niemal policzek wymierzony ludowi.

Robotnik-świętokradca narażał się więc na wielkie niebezpieczeństwo w chwili gdy nadbiegłem z pomocą.

Widząc, że może znaleźć we mnie oparcie, oddał mi się pod opiekę. Nie odmawiając mu jej, chciałem go przytłoczyć ciężarem ohydnygo czynu, jaki popełnił.

— Moi drodzy — rzekłem do robotników — zostawcie tego nędznika. Ten, którego zelżył, cieszy się dostatecznymi względami, aby uzyskać tam dla niego karę.

Wziąwszy brodę, którą wyrwał nieboszczykowi i trzymał wciąż w ręku, przepędziłem go z kościoła. Oznajmiłem, że przestał u mnie pracować, a krzyki i groźby jego kolegów ścigały go aż na ulicę.

Lękając się nowych obelg wobec Henryka IV, kazałem ciało jego zanieść do wspólnego dołu. Zwłokom króla towarzyszyły do końca oznaki szacunku. Zamiast go cisnąć, tak jak innych, na stos królewskich trupów, spuszczone go ostrożnie i ułożono starannie w dole z samego brzegu, i zbożnie przykryto warstwą ziemi, a nie wapna.

Po skończonej pracy robotnicy odeszli, pozostał tylko dozorca, pocziwy człek, którego tam umieściłem. Lękałem się, że mógłby ktoś wtargnąć nocą do kościoła i zbezczścić zwłoki lub też dokonać kradzieży. Ów dozorca spał w dzień, a w nocy czuwał od ósmej wieczór do siódmej rano.

Noc spędzał na nogach, przechadzając się dla rozgrzewki lub siedząc przy ognisku rozpalonym obok jednego z filarów blisko wejścia.

W bazylice wszystko tchnęło grozą śmierci, spotęgowaną jeszcze dokonanyimi spustoszeniami. Grobowce były otwarte, a płyty sterczały pod ścianami. Strzaskane posągi zaścielały posadzkę kościelną. Tu i ówdzie widać było rozbite trumny, którym wydarto zwłoki mające tam spoczywać aż do dnia Sądu Ostatecznego. Słowem, widok ten usposabiał człowieka o umyśle wzniosłym do rozmyślań, a poziomego napełniał grozą.

Dozorca, na szczęście, był człowiekiem o duszy przyziemnej i umyśle pospolitym. Spoglądał na królewskie szczątki tak jak na porębę leśną lub zżęte pole. Interesowało go tylko obliczanie upływających godzin nocy, monotony dźwięk zegara — jedno, co pozostało żywe w zniszczonej świątyni.

Gdy wybiła północ, a w ponurej głębi kościoła drgało jeszcze ostatnie echo, usłyszał on od strony cmentarza głośne krzyki. Wzywały one pomocy, skarżąc się przeciągle i boleśnie.

Ochłonawszy z pierwszego zdumienia, dozorca uzbrojony w oskard skierował się ku

drzwiom wiodącym z kościoła na cmentarz. Ale gdy je otworzył i nabrał pewności, że krzyki te wydobywają się z dołu ze szczątkami królów, nie śmiał iść dalej. Zaniknął drzwi i pobiegł do mojego mieszkania, aby mnie obudzić.

Z początku nie chciałem uwierzyć, aby to było możliwe. Wówczas dozorca otworzył moje okno, które wychodziło wprost na kościół. Wśród ciszy, przerywanej jedynie szumem zimowych podmuchów, usłyszałem rzeczywiście przeciągłe skargi, które nie wydawały mi się zawodzeniem wiatru.

Wstałem i wraz z dozorcą poszedłem do kościoła. Gdy zamknęły się za nami drzwi do przedsionka, usłyszeliśmy jeszcze wyraźniej skargi, o których mi mówił. Tym łatwiej można było odróżnić, skąd dobiegały, że nie domknięte przez dozorcę drzwi na cmentarz otworzyły się same. Owe biadania dochodziły rzeczywiście z cmentarza.

Zapalwszy dwie pochodnie, skierowaliśmy się ku wyjściu, ale przeciąg gasił je trzy razy, ilekroć zbliżaliśmy się do drzwi. Przypominało to walkę z kapryśnym wirem, ale wiedziałem, że gdy znajdziemy się na cmentarzu, walka ta będzie już zbyt ciężka. Zaświeciliśmy jeszcze latarnię, której płomień oparł się podmuchom, choć zagasty nam pochodnie. Gdy już pokonawszy przeszkody znaleźliśmy się na cmentarzu, ponownie zapalone pochodnie tym razem utrzymały się na wietrze.

W miarę jak posuwaliśmy się naprzód, wołanie coraz bardziej przycichało, a kiedy dotarliśmy na skraj dołu, niemal zupełnie zamilkło. Kołyszając pochodniami nad mogiłą dostrzegliśmy pośród szczątków, sterczących nad warstwą wapna i ziemi, jakąś szamoczącą się bezkształtną masę, podobną do człowieka.

— Co wam się stało i czego chcecie? — zapytałem tego cienia.

— Jestem owym nędznikiem, który spoliczkował Henryka IV — szepnął.

— Ale jak się tam znalazłeś? — pytałem dalej.

— Proszę mnie najpierw stąd wyciągnąć, panie Lenoir, bo już konam, a potem dowie się pan wszystkiego.

Gdy dozorca cmentarny przekonał się, że tu chodzi o człowieka żywego, jego prerażenie znikło. Podniósł drabinę leżącą w trawie i trzymając ją w ręku czekał na moje rozkazy.

Poleciałem spuścić drabinę do dołu, a robotnikowi — wydostać się po niej do góry. Rzeczywiście, jakoś przyczółkał się do niej, gdy jednak chciał wstać, aby wejść na stopnie, okazało się, że ma złamaną rękę i nogę.

Rzuciliśmy mu sznur z pętlą, którym opasał się pod pachami. Drugi koniec sznura trzymałem w rękach. Dozorca zszedł kilka stopni i dzięki wspólnemu naszemu wysiłkowi zdołaliśmy wyciągnąć owego człowieka z gromady nieboszczyków.

Ledwie znalazł się na ziemi — zemdłał. Położyliśmy go na słomie, a ja posłałem dozorcę po chirurga. Zdażył przybyć, zanim jeszcze ranny odzyskał przytomność i dopiero podczas operacji otworzył oczy. Podziękowawszy chirurgowi za zrobienie opatrunku, odprawiłem dozorcę, gdyż chciałem się dowiedzieć, na skutek jakich okoliczności profanator znalazł się w mogile królów. Po przebytych emocjach dozorca pragnął jak najszybciej pójść spać, tak że zostałem sam z robotnikiem. Usiadłem na kamieniu obok posłania ze słomy, na wprost ogniska, rozświetlającego migotliwym blaskiem tę część kościoła, w której się znajdowaliśmy. Reszta świątyni tonęła w mroku tym gęstszym, im jaśniej było w naszym kręgu. Ranny, wypytywany przeze mnie, opowiedział mi, co następuje:

Zwolnienie z pracy niezbyt go obeszło. Miał w kieszeni pieniądze i wiedział, że mu niczego nie zabraknie. Poszedł więc do szynku. Tam kazał sobie podać butelkę, ale przy trzeciej szklance zobaczył, że zbliża się do niego gospodarz.

— Prędko kończycie? — zapytał szynkarz.

— Bo co? — powiedział robotnik.

— Bo właśnie słyszałem, że to ty uderzyłeś Henryka.

— No tak, owszem, ja! — odparł zuchwale robotnik. — I co?

— Co? Nie chcę, żeby u mnie pił taki łotr jak ty. Ściągniesz przekleństwo na moją budę.

— Twoja buda należy do wszystkich. A skoro płacę, jestem u siebie.

— Tak, ale ty nie zapłacisz.

— A to dlaczego?

— Bo ja nie chcę twoich pieniędzy. Więc skoro nie zapłacisz, będziesz nie u siebie, ale u mnie. A ponieważ jesteś u mnie, mam prawo cię wyrzucić.

— Owszem, jeżeliś mocniejszy.

— Jeżeli nim nie jestem, zawołam swoich chłopców!

— No więc, zawołaj ich! Zobaczymy.

Na wołanie szynkarza weszło uprzedzonych zawczasu trzech chłopców z kijami w rękach. Musiał więc robotnik wynieść się bez słowa, mimo iż miał wielką ochotę pozostać.

Wyszedł i przez jakiś czas błąkał się po mieście. W porze obiadowej wstąpił do garkuchni, gdzie zwykle jadał robotnicy. Właśnie skończył jeść zupę, kiedy w drzwiach stanęli robotnicy, którzy wracali z pracy.

Spostrzegłszy go zatrzymali się na progu. Przywołali gospodarza i oświadczyli mu, że jeśli ten człowiek będzie tu jadał, żaden z nich nie pokaże się więcej.

Gospodarz chciał się dowiedzieć, co takiego zrobił człowiek, którego wszyscy w ten sposób potępiają. Wtedy usłyszał, że to właśnie on znieważył Henryka IV.

— W takim razie, jazda stąd! — zawołał zbliżając idę do robotnika. — A to, coś zjadł, niech ci się przemieni w truciznę!

W garkuchni było mu jeszcze trudniej pozostać niż w winiarni.

Napiętnowany wstał grożąc swym kolegom, a oni odsunęli się od niego, ale nie w obawie przed groźbami, lecz zdjęci obrzydzeniem wobec popełnionej profanacji. Wyszedł więc z wściekłością w duszy i przez część wieczoru wałęsał się w dzielnicy Saint-Denis, złorzecząc i bluźniąc. Około godziny dziesiątej skierował się do zajmowanego przez siebie pokoju.

Wbrew zwyczajom hoteliku, drzwi zastał zamknięte, Zapukał. Hotelarz wyjrzał przez okno, a ponieważ było zupełnie ciemno, nie poznał stukającego.

— Kto to? — zapytał.

Robotnik powiedział swe nazwisko.

— A — rzekł gospodarz — toś ty spoliczkował Henryka IV? Zaczekaj!

— Co? Na cóż to mam czekać? — zawołał zniecierpliwiony robotnik.

Jednocześnie obok jego nóg upadła jakaś paczka.

— Co to jest? — zapytał robotnik.

— Wszystkie twoje rzeczy, jakie tu są.

— Jak to! Wszystkie moje rzeczy?

— Tak. Możesz iść spać, gdzie ci się podoba. Ja nie chcę, żeby chałupa zwała mi się na głowę.

Robotnik, wściekły, chwycił kamień i cisnął nim w drzwi.

— Poczekaj no! — zawołał hotelarz. — Obudzę twoich kolegów i wtedy zobaczymy!

Robotnik zrozumiał, że nie spotka go tu nic dobrego. Oddalił się, a spostrzegłszy o jakieś sto kroków otwarte drzwi do szopy, wszedł tam. Znalazłszy słomę, położył się i zasnął.

Kwadrans przed dwunastą zdawało mu się, że ktoś dotknął jego ramienia. Obudził się i ujrzał przed sobą białą postać kobiecą, która skinęła na niego. Przypuszczał, że jest to jedna z owych nieszczęsnych kobiet, co to zawsze skłonne są zaofiarować dach oraz towarzystwo tym, którzy mogą sobie na to pozwolić. Ponieważ miał pieniądze i wolał spędzić noc pod dachem i w łóżku, niż w szopie na słomie, poszedł za ową nieznaną.

Kobieta przemykała się przez chwilę obok domów po lewej stronie Grande-Rue, następnie przeszła ją w poprzek i skręciła w uliczkę na prawo dając znak robotnikowi, aby za nią szedł. Przywykły do tych nocnych manewrów i znając z doświadczenia zaułki, gdzie zwykle

mieszkają tego rodzaju kobiety, szedł dalej bez sprzeciwu Uliczka prowadziła w pole i robotnik idąc za kobietą, pomyślał, że pewno mieszka w jakimś odosobnionym domu.

Uszedłszy ze sto kroków przeskoczył jakąś wyrwę. Nagle, podniósłszy wzrok, ujrzał przed sobą stare opactwo Saint-Denis z olbrzymią dzwonnica. Okna z lekka barwił płonący wewnątrz ogień, obok którego czuwał dozorca.

Kobieta znikła. Robotnik znajdował się na cmentarzu. Chciał przejść z powrotem przez wyrwę, ale zdawało mu się, że stoi tam ponure widmo Henryka IV, groźnie wyciągając ku niemu ramiona. Posunęło się o krok naprzód, a robotnik — o krok w tył. Przy czwartym z kolei kroku zabrakło mu gruntu pod nogami i wpadł tyłem do dołu.

Miał wtedy wrażenie, że wokół niego dźwignęli się wszyscy królowie, poprzedniej i potomkowie Henryka IV, i jak gdyby kierują przeciwko niemu — jedni berła, inni miecze, krzyżąc: „Biada świętokradcy!” Zdawało mu się wówczas, że dotknięcie tych berel i mieczy, ciężkich jak ołów, palących niczym ogień, łamie mu po kolei wszystkie członki.

W tej samej chwili wybiła północ i dozorca usłyszał lament.

Zrobiłem wszystko, co mogłem, aby uspokoić tego nieszczęśnika Ale dostał pomieszania zmysłów i po trzydniowym majaczeniu umarł krzyżąc: „Łaski!”

— Przepraszam — odezwał się doktor — ale nie widzę konsekwencji w pańskiej opowieści Wypadek tego robotnika dowodzi, że mając głowę zaprzątniętą tym, co mu się wydarzyło w dzień bądź na jawie, bądź w stanie somnambulicznym, zaczął błądzić po nocy. W trakcie tego zabrnął na cmentarz i spoglądając w górę zamiast patrzeć na dół — wpadł do rowu i całkiem naturalnie uległ złamaniu ręki i nogi. Otóż wspomniał pan o jakiejś przepowiedni, która się sprawdziła ale ja nie widzę w tym wszystkim najmniejszego jej śladu.

— Chwileczkę, doktorze — odparł kawaler Lenoir. — Historia, którą opowiedziałem, zawierająca tylko opis faktu prowadzi wprost do owej tajemniczej przepowiedni. Proszę jej posłuchać.

Około 20 stycznia 1794 roku, po zniszczeniu grobowca Franciszka I otworzono grób hrabiny Flandrii, córki Filipa Długiego. Były to dwa ostatnie grobowce, jakie jeszcze miano przetrząsnąć. Wszystkie inne uległy już rozbiciu i opróżnieniu, wszystkie szczątki wyrzucono na śmietnik.

Jeden tylko grób pozostał nierozpoznany — kardynała Retza, pochowanego jakoby w Saint-Denis. Wszystkie mniej więcej grobowce zamknięto z powrotem — i Walezjuszków, i Karolów. Trzeba było jeszcze zamknąć grobowiec Burbonów.

Dozorca spędzał ostatnią noc w kościele, gdzie nie było już nic do pilnowania. Pozwolono mu więc spać, z czego nie omieszkął skorzystać. O północy obudziły go dźwięki organów i religijne pień. Przecierając zaspane jeszcze oczy, odwrócił głowę w stronę chóru, skąd właśnie dochodziły śpiewy.

Spostrzegł ze zdumieniem członków kapituły Saint-Denis, którzy zapełniali stalle — arcybiskup odprawiał nabożeństwo, świece jarzyły się przy katafalku, a w ich blasku lśnił uroczysty złoty całun, jaki zazwyczaj okrywa tylko ciała królewskie.

W chwili gdy dozorca się obudził, msza była już skończona i rozpoczęła się ceremonia pogrzebowa.

Berło, korona i miecz sprawiedliwości, spoczywające na poduszce z czerwonego aksamitu, wręczono heroldom, którzy je podali trzem księżom, a ci je — z kolei — przyjęli.

Zaraz też wystąpili szambelanowie, sunąc raczej niż krocząc, tak że nie zbudzili w sali najmniejszego echa. Wzięli oni ciało i zanieśli je do grobowca Burbonów. Tylko on jeden był otwarty, wszystkie inne były zamknięte.

Wówczas zszedł do grobowca wielki giermek i stamtąd wezwał pozostałych giermków, aby przyszli i czynili swoją powinność. Razem było ich pięciu.

Z głębi grobowca wezwał on pierwszego giermka, który zszedł po chwili niosąc ostrogi. Następnie wezwał drugiego, który niósł rękawice. Trzeci trzymał tarczę, czwarty niósł hełm

uwieńczony koroną, piąty — płaszcz rycerski.

Z kolei wielki giermek przywołał pierwszego krajczego, niosącego chorągiew, dowódców: Szwajcarów, łuczników gwardii i dwustu szlachciców domu królewskiego, wielkiego koniuszego ze szpadą królewską, pierwszego szambelana ze sztandarem Francji, wielkiego marszałka dworu. Przesunęli się przed nim w grobowcu wszyscy marszałkowie dworu, rzucając swe białe laski i składając ukłon trzem książętom niosącym koronę, berło i miecz, w miarę jak defiladowali. W końcu przywołał on trzech książąt, którzy przynieśli berło, miecz i koronę.

Wówczas wielki giermek zawołał trzykrotnie donośnym głosem: „Król umarł, niech żyje król! Król umarł, niech żyje król! Król umarł, niech żyje król!”

Herold, który został na chórze, powtórzył ten trzykrotny okrzyk.

Wreszcie wielki marszałek złamał swoją laskę na znak, że dom królewski został już rozwiązany, a oficerowie królewscy mogą ubiegać się o urząd.

Zaraz też zabrzmiały trąbki i organy.

Potem, gdy dźwięki trąbek coraz bardziej słabły i jęk organów stawał się coraz bardziej głuchy, płomienie gromnic zbladły, zatarły się postacie obecnych i wraz z ostatnimi tonami muzyki wszystko znikło.

Nazajutrz dozorca ze łzami w oczach opowiadał o pogrzebie królewskim, który on, biedaczysko, jako jedyny świadek oglądał. Przepowiadał on, że okaleczone groby powrócą na swoje miejsce, a Francja — mimo dekretów Konwentu i działania gilotyny — ujrzy nową monarchię, a Saint-Denis nowych królów.

Ta przepowiednia zaprowadziła biedaka do więzienia i nieomal na szafot. A po trzydziestu latach, 20 września 1824 roku, stojąc za tą samą kolumną, gdzie miał niegdyś widzenie, pociągnąwszy mnie za poję surduta powiedział:

— No i co, panie Lenoir! Czy się myliłem mówiąc, że nasi nieszczęśliwi królowie wrócą pewnego dnia do Sainit-Denis?

Rzeczywiście, tego dnia chowano Ludwika XVIII z takim samym ceremoniałem, jaki ów dozorca oglądał przed trzydziestu laty.

— Niechże pan to wytłumaczy, doktorze,

Rozdział X

ARTIFAILLE

Doktor milczał. Został, być może, przekonany, bądź też — co jest prawdopodobniejsze — trudno mu było przeczyć takiemu człowiekowi jak kawaler Lenoir, Milczenie doktora pozostawiało otwartą drogę komentarzom. Pierwszy wystąpił na plac ksiądz Moulle.

— Wszystko to potwierdza moje poglądy — rzekł.

— A jakie są poglądy księdza? — zapytał doktor, wielce rad, że podejmie polemikę z przeciwnikiem mniej groźnym niż mer Ledru i kawaler Lenoir.

— Że żyjemy pośród dwóch niewidzialnych światów, duchów piekielnych i duchów niebiańskich. Ze w chwili naszych narodzin stają przy nas dwaj geniusze: dobry i zły. Towarzyszą nam przez całe życie podszeptując jeden dobro, drugi zło, a w godzinie śmierci bierze nas w posiadanie ten, który zwyciężył. Tak więc, ciało nasze staje się łupem demona lub przybytkiem anioła.

— Ale ostatecznie, proszę księdza, każdy system ma za podstawę jakieś przekonanie —

rzekł doktor.

— Bez wątpienia.

— Przekonanie zaś, aby było rzeczywiste, musi opierać się na fakcie.

— Moje również opiera się na fakcie.

— Na fakcie opowiedzianym księdzu przez kogoś, kto zasługuje w całej pełni na zaufanie.

— Na fakcie, jaki wydarzył się mnie samemu.

— Więc posłuchajmy, proszę księdza, opisu tego faktu,

— Chętnie. Urodziłem się w tej części dziedzictwa dawnych królów, która dziś zwie się departamentem Aisne, a dawniej Ile-de-France. Rodzice zamieszkiwali niewielką wioskę Fleury, położoną wśród lasów Villers-Cotteret. Przed moim przyjściem na świat mieli już pięcioro dzieci — trzech chłopców i dwie córki — które zmarły. Tak że moja matka, gdy zaszła znów w ciążę, przysięgła ubierać mnie białą aż do siódmego roku życia, a ojciec ślubował odbyć pielgrzymkę do Notre-Dame-de-Liesse.

Ślubowania takie nie są bynajmniej na prowincji rzadkością. Są one ze sobą ściśle związane, ponieważ biel jest kolorem Matki Boskiej, a Notre-Dame-de-Liesse to przecież Maria Panna.

Na nieszczęście, ojciec mój zmarł podczas ciąży matki. Ona jednak, będąc kobietą pobożną, postanowiła mimo to dotrzymać jak najściślej podwójnego ślubowania. Od chwili urodzenia ubierano mnie w biel od góry do dołu, a matka przedsięwzięła ową świątobliwą pielgrzymkę pieszo, gdy tylko mogła chodzić.

Na szczęście, Notre-Dame-de-Liesse była odległa od Fleury jakieś szesnaście mil. W trzech etapach matka dostała się na miejsce. Dopełniwszy tam aktów pobożności otrzymała z rąk proboszcza srebrny medalik, który zawiesiła mi na szyi.

Dzięki temu podwójnemu ślubowaniu uniknąłem wszelkich przypadków właściwych młodości. Kiedy zaś osiągnąłem wiek rozsądku, poczułem w sobie powołanie duchowne, może pod wpływem wychowania religijnego, a może też dzięki medalików. Po ukończeniu studiów w seminarium w Soissons otrzymałem w roku 1780 świecenia kapłańskie i zostałem wikarym w Étampes.

Przypadek zrządził, że z czterech kościołów w Étampes wyznaczono mnie do tego, który był pod wezwaniem Matki Boskiej. Jest to jeden z cudownych pomników, jakie epoka romańska przekazała średniowieczu. Wzniesiony przez Roberta Mocnego, został ukończony dopiero w wieku XII. Dziś jeszcze posiada wspaniale witraże, które w chwili wznoszenia świątyni musiały doskonale harmonizować z dziełami malarstwa i złoceniami, jakie pokrywały kolumny i wzbogacały kapitele.

Będąc jeszcze dzieckiem, bardzo lubiłem ów rozkwit granitowych cudów, jakie wiara dźwigała wzwyż między X i XVI stuleciem, pokrywając lasem kościołów głębę Francji, najstarszej córki Rzymu. Rozkwit ten uległ zahamowaniu, kiedy w sercach wygasła wiara, zniszczona trucizną Lutra i Kalwina.

Dzieckiem jeszcze, bawiłem się wśród ruin kościoła świętego Jana w Soissons. Cieszyłem wzrok swój widokiem fantastycznych rzeźb w kształcie skamieniałych kwiatów. Kiedy więc ujrzałem Notre-Dame w Étampes, byłem szczęśliwy, że przypadek, a raczej Opatrzność dała mi, niby jaskółce, takie właśnie gniazdo.

Toteż najszczęśliwsze chwile spędzałem w kościele. Nie chcę powiedzieć, że zatrzymywało mnie tam wyłącznie uczucie religijne. Nie, było to uczucie błogostanu, jakiego doznaje ptak, gdy wydostawszy się z zamknięcia, rozkoszuje się przestrzenią i wolnością. Moja przestrzeń rozciągała się od portalu do absydy, a wolność stanowiły rozmyślenia, którym oddawałem się przez dwie godziny, klęcząc przy grobowcu lub opierając się o kolumnę. O czym. marzyłem? Z pewnością nie było to jakieś mędrkowanie teologiczne, lecz rozmyślenia o wieczystej walce dobra ze złem. które szarpie człowieka od dnia grzechu. Rozmyślałem o

pięknych białoskrzydłych aniołach, o ohydnych, z czerwonymi gębami demonach, które w promieniach słońca roziskrzyły się na witrażach bądź rozjaśnione niebiańskim światłem, bądź rozplamione piekielnym ogniem. Słowem, kościół Notre-Dame był moją siedzibą. Tam żyłem, myślałem, modliłem się. Niewielki domek, jaki mi dano na probostwie, służył mi tylko dorywczo: jadłem tam i spałem — to wszystko.

Często opuszczałem swój piękny kościół dopiero o północy lub o godzinie pierwszej. Wiedzano o tym. Jeśli mnie nie było na plebanii, to znajdowałem się w kościele — szukano mnie tam nie na darmo.

Niewiele wieści docierało do mnie ze świata, żyłem bowiem odizolowany w swym sanktuarium religii, a raczej poezji. Ale jedna rzecz interesowała wszystkich: wielkich i małych, duchownych i laików. Okolice Étampes cierpiały skutkiem zbrodni następcy, a raczej rywala Cartouche'a i Poulaillera, a jego zuchwalstwo kroczyło, jak się zdaje, śladami poprzedników.

Ten bandyta porywający się na wszystko, a zwłaszcza na kościoły, zwał się Artifaille. Zwróciłem szczególną uwagę na występki tego złoczyńcy dlatego, że jego żona, zamieszkała na podgrodziu Étampes, była jedną z moich najgorliwszych penitentek. Dla tej poczciwej kobiety zbrodnie jej męża stanowiły źródło wyrzutów sumienia. Czując się odpowiedzialna wobec Boga jako żona, spędzała życie na modlitwie i praktykach religijnych, mając nadzieję, że swymi świątobliwymi uczynkami choć w części okupi bezbożność męża.

On zaś, jak już powiedziałem, był bandytą, który nie lękał się ni Boga, ni diabła. Uważał, że świat jest urządzony źle, a on został zesłany na ziemię, aby go naprawić. Dzięki niemu zapanuje równowaga majątkowa, powstanie związek, który głosić będzie to, co on wcielał w życie, to znaczy wspólnotę dóbr.

Dwudziestokrotnie chwymano tego bandytę i osadzano w więzieniu, ale zawsze po paru dniach znajdowano celę pustą. Ponieważ nikt absolutnie nie potrafił wytłumaczyć sobie tych ucieczek powiadano, że zdobył trawę, tnącą żelazo. Przypisywano więc temu człowiekowi zdolności czarownika.

Ja zaś, przyznaję, myślałem o nim tylko wtedy, kiedy ta biedaczka, żona, przychodziła spowiadać się u mnie, wyznając swój lęk i prosząc o radę.

Rozumiecie więc, państwo, radziłem jej użyć całego swego wpływu na męża, aby go sprowadzić na dobrą drogę. Ale wpływ tej kobiety był bardzo słaby. Pozostawało jej zatem uciekanie się nieustannie do łaski, jaką modlitwa zjednywa w obliczu Boga.

Zbliżała się Wielkanoc 1783 roku. Była noc z Wielkiego Czwartku na Piątek. W ciągu dnia wysłuchałem wielu spowiedzi, a około ósmej wieczór czułem się tak zmęczony, że zasnąłem w konfesjonale. Zakrystian zauważył to, ale świadom moich zwyczajów i wiedząc, że mam przy sobie klucz od kościoła, ani nawet myślał budzić mnie. Zdarzało mi się to już niejednokrotnie.

Spałem więc, gdy nagle w czasie snu usłyszałem jakby podwójny hałas. Sprawił go zegar bijący północ oraz szelest kroków na płytach.

Otworzywszy oczy zamierzałem wyjść z konfesjonatu. Nagle wydało mi się, że w blasku księżycy, wpadającym poprzez witraże jednego z okien, wsuwa się jakiś człowiek.

Człowiek ten szedł bardzo ostrożnie, rozglądając się dookoła. Za każdym krokiem. Zrozumiałem więc, że nie jest to żaden z pomocników ani kościelny czy organista, ani też nikt z tutejszych ludzi, ale jakiś intruz mający złe zamiary.

Nocny gość skierował się w stronę chóru. Tam zatrzymał się i po chwili usłyszałem suchy trzask żelaza pocieranego o krzesiwo, potem zamigotała iskra, zajęła się hubka i pełgający płomyk zbliżył się do stojącej na ołtarzu gromnicy.

W jej blasku dostrzegłem wówczas mężczyznę średniego wzrostu, z parą pistoletów i sztyltem za pasem, otwarty raczej drwiącej niż groźnej. Rzuciwszy badawcze spojrzenie w przestrzeń, rozjaśnioną płomieniem świecy, wydawał się zupełnie uspokojony dokonaną

lustracją.

Wyjął z kieszeni pęk wytrychów, zwany „słowikiem”, zapewne od owego osławionego Słowika, który chełpił się posiadaniem uniwersalnego wytrycha. Otworzywszy tabernakulum wydobył stamtąd święte cyboryum, wspaniale cyzelowany kielich ze starego srebra z czasów Henryka II, następnie — masywną monstrancję, dar Marii Antoniny dla miasta, a wreszcie dwie pozłacane karafki.

Ponieważ w tabernakulum nie było nic więcej, zamknął je starannie i ukląkł, ażeby otworzyć dół ołtarza, stanowiący relikwiarz. Znajdował się tam gipsowy posążek Matki Boskiej w złotej koronie z brylantami i obsypanej klejnotami szacie.

Po pięciu minutach złodziej otworzył wytrychem relikwiarz, którego szklane ściany mógł zresztą rozbić, i zamierzał już dołączyć nowy łup do poprzednich. Wyszedłem wówczas z konfesjonału, kierując się w stronę ołtarza, aby nie dopuścić do podobnego rabunku,

Na odgłos szmeru złodziej odwrócił się, Przechylony naprzód usiłował przeniknąć wzrokiem mroczną głąb kościoła. Ale że światło nie docierało do konfesjonału, więc ujrzał mnie dopiero w chwili, gdy znalazłem się w zasięgu chybotliwego blasku świecy.

Na widok mężczyzny rabuś oparł się o ołtarz i wyciągnawszy zza pasa pistolet, wymierzył go we mnie. Ale moja sutanna przekonała go zaraz, że jestem tylko skromnym nieszkodliwym księdzem, którego jedyną tarczę stanowi wiara, a broń — słowo.

Mimo groźby pistoletu posunąłem się ku stopniom ołtarza. Czulem, że gdyby wystrześlił, proch spaliłby na panewce albo kula przeszłaby obok. Rękę trzymałem na medaliku mając pewność, że chroni mnie wielkie miłosierdzie Matki Boskiej.

Ten spokój biednego wikarego jak gdyby wzruszył bandytę.

— Czego ksiądz chce? — zapytał głosem, któremu pragnął nadać wyraz zdecydowania.

— Ty jesteś Artifaille? — odezwałem się.

— Dalibóg! — zawołał. — A któż inny odważyłby się wtargnąć do kościoła, jak nie ja?

— Biedny, zatwardziały grzeszniku, chełpiący się swą zbrodnią — odparłem — czyż nie rozumiesz, że w tym przedsięwzięciu gubisz nie tylko ciało, ale i duszę?

— Ech! — powiedział. — Już tyle razy ocalałem swą skórę, że uda mi się to raz jeszcze. A moja dusza...

— Właśnie! A twoja dusza!

— To są sprawy mojej żony. Ona jest święta za dwoje i ocali, moją duszę razem ze swoją.

— Masz słuszność. Twoja żona to święta kobieta, przyjacielu. I z pewnością umarłaby ze zgryzoty, gdyby się dowiedziała, żeś dokonał tej zbrodni.

— Och, więc ksiądz myśli, że moja biedna stara umarłaby?

— Jestem tego pewien.

— Patrzajcie! No to zostanę wdowcem — powiedział rabuś wybuchając śmiechem, a jednocześnie wyciągnął ręce ku świętym naczyniom.

Ale ja, stanąwszy na stopniach ołtarza, powstrzymałem ramię tego człowieka.

— Nie — rzekłem — nie dopuścisz się świętokradztwa.

— A któż to mi przeszkodzi?

— Ja.

— Siłą?

— Nie, perswazją. Bóg zesłał swe sługi na ziemię nie po to, aby używali siły, co jest rzeczą ludzką, ale perswazji, będącej cnotą niebiańską. Nie chodzi tu, przyjacielu, o kościół, który może postarać się o inne naczynia, ale o ciebie, gdyż nie zdołasz okupić swego grzechu. Nie, nie dopuścisz się tego świętokradztwa.

— Ach, poczciwy księżę, czy ksiądz myśli, że to pierwsze?

— Nie! Wiem, że to dziesiąte, dwudzieste, może trzydzieste! Ale mniejsza o to! Twoje oczy były zamknięte, ale dziś otworzą się — to wszystko! Nie słyszałeś o człowieku imie-

niem Paweł, który pilnował płaszczów tych, co kamienowali świętego Stefana? Otóż ów człowiek miał łuskę na oczach, jak sam powiedział. Pewnego dnia łuska spadła z jego oczu i przejrzał. Był to święty Paweł.

— A niech mi ksiądz powie, czy świętego Pawła nie powieszono?

— Tak.

— No więc, na co mu się przydało, że przejrzał?

— Przydało mu się, aby nabrać przeświadczenia, że męka przynosi nieraz zbawienie.

Imię świętego Pawła czczone jest teraz na ziemi, a on sam zażywa w niebie wiecznej szczęśliwości.

— W jakim wieku święty Paweł przejrzał?

— W trzydziestym piątym roku życia.

— Spóźniłem się, mam już czterdzieści.

— Na skruchę nigdy nie jest za późno. Jezus na krzyżu mówił do łotra: „Jedno słowo modlitwy, a ja cię zbawię”.

— No, proszę, tak ci zależy na tych srebrach? — zapytał bandyta spoglądając na mnie.

— Nie. Zależy mi na twojej duszy, którą chcę ocalić.

— Na mojej duszy! Myślisz, że w to uwierzę! Kpij sobie zdrów!

— Chcesz, bym ci dowiódł, że chodzi mi tylko o twoją duszę?

— Tak, dowiedz. To mi sprawi przyjemność.

— Na ile oceniasz łup, jaki chcesz zagarnąć tej nocy?

— Hm — rzekł rabuś patrząc z upodobaniem na karafki, kielich, monstrancję i szatę Matki Boskiej — na tysiąc talarów.

— Tysiąc talarów?

— Wiem dobrze, że warte są podwójnie, ale trzeba stracić na tym przynajmniej dwie trzecie. Ci diabelscy przekupnie, to tacy złodzieje!

— Chodź do mnie!

— Do ciebie?

— Tak, do mnie, na plebanię. Mam tysiąc franków. Dam ci je jako zaliczkę.

— A resztę, dwa tysiące?

— Resztę? A więc przyrzekam ci, słowo kapłana, że pojedę do mojej wioski. Matka ma tam mająteczek, sprzedam parę morgów i będę miał dla ciebie resztę pieniędzy.

— Właśnie! Umówisz się ze mną, żebym wpadł w potrzask!

— Sam w to nie wierzysz — rzekłem wyciągając doń rękę.

— Tak, to prawda, nie wierzę — odparł ponuro. — Więc twoja matka jest bogata?

— Nie, biedna.

— W takim razie będzie zrujnowana?

— Jeśli jej powiem, że kosztem jej ruiny ocaliłem czyjąś duszę, matka pobłogosławi mnie. Zresztą, nie mając już nic, zamieszka ze mną. Zawsze starczy mi dla dwojga.

— Zgoda! — rzekł. — Chodźmy do ciebie,

— Dobrze, ale poczekaj.

— Co takiego?

— Włóż do tabernakulum wszystko, co stamtąd wzięłeś, i zamknij na klucz. To ci przyniesie szczęście.

Bandyta zmarszczył brwi, jak człowiek, którego przenika wiara, wbrew jego woli. Odstawił na miejsce święte naczynia.

— Chodź — powiedział.

— Przeżegnaj się przedtem.

Próbował zaśmiać się szyderczo, ale śmiech zastygł mu na ustach. Przeżegnał się.

— Teraz chodź ze mną — rzekłem.

Wyszliśmy małą bramką i po kilku minutach przybyliśmy do mnie.

Mimo iż droga była krótka, bandyta zdradzał żywy niepokój. Wciąż rozglądał się z obawą, że może stać się ofiarą zasadzki.

Po przybyciu stanął obok drzwi.

— No więc — zapytał — gdzie moje tysiąc franków?

— Zaczekaj.

Zapaliłem świecę przy dogasającym ognisku i otworzywszy szalę wyjąłem mieszek.

— Masz! — powiedziałem dając mu go.

— No, a kiedy dostanę resztę, dwa tysiące?

— Musisz na nie poczekać sześć tygodni.

— Zgoda, sześć tygodni.

— Komu mam je doręczyć?

Bandyta pomyślał chwilę.

— Mojej żonie — rzekł wreszcie.

— Dobrze!

— Ale ona nie dowie się, skąd są pieniądze i jak je zarobiłem?

— Nie dowie się. Ani ona, ani nikt. Ale i ty się już nigdy nie targniesz ani na kościół w Êtampes, ani na inny będący pod wezwaniem Matki Boskiej?

— Nigdy!

— Słowo?

— Słowo Artifaille'a!

— Idź, mój bracie, i nie grzesz więcej.

Skinąłem mu ręką, że może odejść. Przez chwilę jak gdyby wahał się, potem otworzywszy ostrożnie drzwi, znikł.

Ukląkłem i zacząłem się modlić, ale nie zdążyłem jeszcze powstać, kiedy usłyszałem pukanie do drzwi.

— Proszę — rzekłem nie odwracając się.

Istotnie, ktoś wszedł, ale widząc, że się modlę, zatrzymał się i czekał. Kiedy skończyłem modlitwę ujrzałem Artifaille'a stojącego bez ruchu przy drzwiach z mieszkem pod pachą.

— Masz — powiedział. — Odnoszę ci twoje tysiąc franków.

— Moje tysiąc franków?

— Tak. I zwalniam cię z reszty.

— Ale twoje przyrzeczenie trwa?

— Dalibóg!

— Więc żałujesz?

— Nie wiem, czy żałuję... Ale nie chcę twoich pieniędzy, to wszystko.

Położył mieszek na kredensie i czekał, jak gdyby chcąc o coś zapytać. Ale widać było, że to pytanie z trudem przechodzi przez gardło.

— Czego chcesz, przyjacielu? — powiedziałem. — Postąpiłeś dobrze. Nie wstydz się, chcąc uczynić jeszcze coś lepszego.

— Masz wielką cześć dla Matki Boskiej? — zapytał Artifaille.

— Wielką.

— I myślisz, że za Jej wstawiennictwem może być zbawiony, w godzinę śmierci, nawet człowiek bardzo grzeszny? Więc daj mi zamiast tamtych trzech tysięcy franków jakąś relikwię, różaniec, który mógłbym ucałować przed śmiercią.

Zdjąłem medalik ze złotym łańcuszkiem, który matka zawiesiła mi na szyi, kiedy się urodziłem. I choć nigdy dotąd nie rozstawałem się z nim ani na chwilę, dałem go temu rabusiowi. Dotknąwszy ustami medalika, uciekł.

Upłynął rok i przez ten czas nie słyszałem o Artifaille'u. Zapewne opuścił Êtampes, aby uprawiać gdzie indziej swój proceder.

A ja otrzymałem list od swego kolegi, wikarego z Fleury. Moja poczciwa matka zachowała i wzywała mnie do siebie. Dostałem urlop i pojechałem. Kilkutygodniowa troskliwa opieka i modlitwy przywróciły matce zdrowie. Rozstaliśmy się, ja — uradowany, ona — już wyleczona, i powróciłem do Étampes.

Przybyłem w piątek wieczorem i zastałem całe miasto bardzo poruszone. Schwymano w okolicach Orleanu osławionego bandytę Artifaille'a i tamtejszy sąd skazał go na powieszenie. Po wyroku odesłano skazańca do Étampes, gdyż te okolice były głównym terenem jego zbrodni.

Egzekucja odbyła się właśnie z rana.

O tym wszystkim dowiedziałem się jeszcze na ulicy, a wchodząc na plebanię otrzymałem jeszcze jedną wiadomość. Jakaś kobieta z przedmieścia przychodziła kilkakrotnie wieczorem i w ciągu nocy — to znaczy, od momentu przywiezienia Artifaille'a do Étampes na egzekucję — dopytując się bezustannie, czy już powróciłem.

Uporczywość ta nie zdziwiła mnie wcale. Zapowiedziałem listem swój powrót i oczekiwano mnie lada chwila. W podgrodziu znałem tylko ową biedną kobietę, która miała zostać wdową. Postanowiłem więc iść do niej, zanim jeszcze otrząsnąłem pył z trzewików.

Z plebanii na podgrodzie był jeden krok. Biła wprawdzie godzina dziesiąta, pomyślałem jednak, że wobec tak gorącej chęci widzenia się ze mną moja wizyta nie sprawi tej kobiecie kłopotu.

Udałem się więc na przedmieście i prosiłem o wskazanie mi jej domu. Ponieważ wszyscy uważali ją za kobietę bardzo pobożną, nikt nie obarczył jej zbrodniami męża ani hańbą, jaka go spotkała.

Stałem przed drzwiami domu. Okiennica była otwarta i przez szybę dostrzegłem kobietę, która modliła się klęcząc przy łóżku.

Widząc jej drgające ramiona można było się domyślić, że szlocha. Zapukałem do drzwi.

Kobieta powstała szybko, by mi otworzyć.

— Ach, przeczuwałam, że to ksiądz! — zawołała. — Słyszając pukanie, wiedziałam od razu. Niestety, przybywa ksiądz za późno! Mój mąż umarł bez spowiedzi.

— Czyż umarł nie pojednany z Bogiem?

— Nie, wprost przeciwnie. Jestem pewna, że w głębi serca był chrześcijaninem. Ale oświadczył, że nie chce innego kapłana i wyświadcza się tylko księdzu. A gdyby nie mógł, to będzie się spowiadał już tylko przed samą Matką Boską.

— Powiedział to pani?

— Tak. I mówiąc to całował medalik z Marią Panną zawieszony na łańcuszku na szyi. Prosił mnie nade wszystko, żeby mu nie zabrano tego medalika, bo jeśli go z nim pochowają, to zły duch nie będzie miał mocy nad jego ciałem.

— Czy to wszystko, co powiedział?

— Nie. Żegnając się ze mną przed śmiercią powiedział jeszcze, że ksiądz wróci dziś wieczór i zaraz mnie odwiedzi. Toteż dlatego czekałam

— On to pani powiedział? — zapytałem zdziwiony.

— Tak. I kazał mi powtórzyć swoją ostatnią prośbę.

— Do mnie?

— Tak, właśnie. Żebym poprosiła księdza, wszystko jedno, kiedy wróci... Ale, mój Boże, ja się nigdy nie ośmielę tego powiedzieć.

— Powiedz, poczciwa kobieto, powiedz...

— No więc, żeby ksiądz się udał na miejsce stracenia i tam zmówił przy jego zwłokach pięć „Ojcze nasz” i pięć „Zdrowaś” — za jego duszę. Zapewniał mnie, że ksiądz nie odmówi.

— Miał słuszość, zaraz tam pójde.

— Och, jaki ksiądz dobry!

Chwyciła mnie za rękę chcąc je pocałować, ale nie pozwoliłem na to.

- No, poczciwa kobieto, odwagi!
- Bóg mi ją daje, proszę księdza... Nie skarzę się.
- Czy mąż nie prosił o nic więcej?
- Nie.

— To dobrze. Jeżeli spokój jego duszy zależy tylko od spełnienia tego życzenia, to dusza jego zazna spokoju.

Wyszedłem. Dochodziło wpół do jedenastej, był koniec kwietnia, dał jeszcze rześki wiatr. Niebo wyglądało pięknie, zwłaszcza dla oka malarza, gdyż księżyc toczył się poprzez morze skłębionych posępnie chmur, nadając niebu wygląd pełen tajemniczości.

Krażyłem wokół starych murów miejskich i dotarłem do Bramy Paryskiej. Po godzinie jedenastej wieczór ona jedna w Étampes jest otwarta.

Celem mej wędrówki był plac, położony wysoko nad miastem. Ale z szubienicy, wzniesionej wówczas na tym placu, pozostały dziś jedynie trzy fragmenty obmurowania. Umacniały one trzy słupy połączone dwiema belkami, stanowiąc miejsce kaźni.

Aby dotrzeć do tej esplanady, położonej na lewo od drogi z Étampes do Paryża, trzeba było przejść obok wieży Guinette. Wygląda ona niby wysunięty na równinie posterunek, strzegący samotnie miasta.

Zna pan z pewnością, kawalerze Lenoir, tę wieżę, którą Ludwik XVI próbował bezskutecznie wysadzić w powietrze. Rozpruta wybuchem, jak gdyby spogląda na szubienicę dostrzegając tylko pusty oczodół jej wierzchołka. Za dnia jest to siedlisko kruków, w nocy — puszczyków i sów.

Pośród ich wrzasków i hukania skierowałem się ku esplanadzie drogą wąską, uciążliwą, wyboistą, drażoną w skale, przebitą wskroś zarośli. Nie mogę powiedzieć, że się bałem. Człowiek wierzący w Boga i ufny w Niego nie powinien bać się niczego, byłem jednak przejęty. Wokół słychać było tylko monotony plusk wody w pobliskim młynie, hukanie puszczyków i gwizd wiatru wśród drzew.

Księżyc skrył się za czarną chmurą, zdobiąc ją białą frędzlą. Serce mi biło. Przeczuałem, że ujrzę nie to, co miałem zobaczyć, lecz coś nieoczekiwanego. Szedłem wciąż pod górę. Dotarwszy do pewnego punktu, mogłem już dostrzec górną część szubienicy, składającej się z trzech słupów i podwójnej dębowej poprzeczki. Z niej to zwisają żelazne krzyże, do których przywiązuje się skazańców.

Ujrzałem, niby ruchomy cień, ciało nieszczęsnego Artifaille'a, które kołysało się na wietrze.

Nagle zatrzymałem się. Teraz widziałem już całą szubienicę, od podstawy aż do wierzchołka. Zauważyłem jakąś bezkształtną, ruszającą się masę, która wydawała się czworonożnym zwierzęciem. Było ono większe od psa i potężniejsze niż wilk. Przystanąwszy ukryłem się za głazem.

Nagle zwierzę podniosło się na tylnych nogach i wówczas stwierdziłem, że była to istota, nazwana przez Platona dwunogim stworzeniem bez piór, to znaczy — człowiek. Co mógł on czynić o tej porze pod szubienicą? Czy wiedziony zbożnym uczuciem przyszedł, aby się pomodlić, czy też w bezbożnych zamiarach świętokradzkich? W każdym razie postanowiłem spokojnie czekać.

W tej samej chwili księżyc wyjrzał zza kryjącej go przelotnie chmury i oblał szubienicę jasnym blaskiem. Mogłem więc zobaczyć dokładnie owego człowieka i obserwować jego ruchy. Podniósłszy leżącą na ziemi drabinę oparł ją o słup — jak najbliżej powieszzonego. Potem wszedł na nią, tak że tworzył wraz ze skazańcem osobliwą całość, w której żywy i nieboszczyk jak gdyby złączyli się w uścisku.

Nagle rozległ się okropny krzyk. Ujrzałem dwa poruszające się ciała. Usłyszałem zdławiony głos i wołanie o pomoc, które stało się po chwili niezrozumiałe. Zaraz też jedno z ciał oderwało się od szubienicy, podczas gdy drugie wisiało na sznurze wymachując rękami i

nogami. Nie sposób było odgadnąć, co działo się pod tą ohydną machiną. W każdym bądź razie — za sprawą człowieka czy szatana — działo się coś niezwykłego, coś, co wymagało pomocy i ratunku.

Pobiegłem tam. Na mój widok wiszący zaczął się miotać jeszcze gwałtowniej, pod nim leżało nieruchomo ciało skazańca. Zająłem się najpierw żywym Wszedłszy szybko na drabinę przeciąłem nożem sznur. Człowiek wiszący spadł na ziemię, ja zeskoczyłem na dół.

Ciało wisielca wiło się w okropnych konwulsjach. Zrozumiałem, że szyję nieszczęśnika dusiła jeszcze pętla. Unieruchomiwszy go, z wielkim trudem, rozluźniłem dławiący stryczek. Wpatrując się podczas tej czynności w twarz leżącego, stwierdziłem ze zdumieniem, że jest nim kat.

Oczy wyszły mu z orbit, twarz miał siną, szczękę niemal wywichniętą, a z piersi wydobywał się rżący oddech. Powoli jednak płuca zaczęły chwytać powietrze, a wraz z nim powracało życie.

Oparłem go o duży głaz, a kiedy po chwili odzyskał już zmysły, zakaszłał, odwrócił głowę w moją stronę i począł mi się przyglądać. Jego zdumienie było nie mniejsze od mojego.

— Och, ksiądz dobrodziej! — zawołał.

— Tak, to ja.

— Co ksiądz tu robi? — zapytał.

— No, a ty?

Wydawało się, że zbiera myśli. Raz jeszcze rozejrzał się wokół — wzrok jego zatrzymał się teraz na skazańcu.

— Ach! — wykrzyknął usiłując wstać. — Chodźmy stąd, proszę księdza! Na miłość boską, chodźmy!

— Idź, jeżeli chcesz, przyjacielu, ale ja mam tu do spełnienia obowiązek.

— Tu?

— Tu.

— A co takiego?

— Ten nieszczęsny, którego dziś powiesiłeś, pragnał, abym zmówił u stóp szubienicy pięć „Ojczy nasz” i pięć „Zdrowasiek” za zbawienie jego duszy.

— Za zbawienie jego duszy? Och, proszę księdza, ciężka to będzie sprawa. Toż to diabeł wcielony!

— Jak to, diabeł wcielony?

— No chyba! Czy ksiądz nie widział, co on mi zrobił?

— Jak to, co ci zrobił! A cóż takiego?

— Powiesił mnie, dalibóg!

— Powiesił cię? A mnie, odwrotnie, zdawało się, że to ty mu oddałeś tę smutną przysługę?

— Tak, rzeczywiście! I byłem pewny, że go powiesił jak się patrzy. Widać jednak, omyliłem się! Ale że też on nie skorzystał z tego, że ja sam zawisłem, i nie uciekł.

Zbliżyłem się do trupa, uniosłem go. Był sztywny i zimny.

— Dlatego że umarł — rzekłem.

— Umarł! — powtórzył kat. — Umarł! Ach, do licha, to jeszcze gorzej! Więc uciekajmy, proszę księdza, uciekajmy! — Wstał, ale zaraz powiedział: — Nie, dalibóg, wolę jednak zostać. Jeszcze by się zerwał i pobiegł za mną. A ksiądz, człowiek święty, przynajmniej mnie obroni.

— Przyjacielu — rzekłem do oprawcy patrząc nań badawczo — w tym musi coś być. Przed chwilą pytałeś mnie, co ja tu robię o tej porze. A teraz ja ciebie zapytuję: co ty tu robiłeś?

— Ach, doprawdy, proszę księdza, przecież i tak będę musiał kiedyś powiedzieć, na

spowiedzi czy inaczej. No więc, powiem księdzu teraz. Ale chwileczkę... — Cofnął się o krok.

— Co się stało?

— Czy on się nie rusza?

— Nie, bądź spokojny. Ten nieszczęsny umarł naprawdę.

— Umarł naprawdę... Naprawdę... Och, mniejsza o to! W każdym razie powiem księdzu, dlaczego tu przyszedłem. A jeżeli kłamię, on mi zaprzeczy. To wszystko!

— Mów.

— Muszę księdzu powiedzieć, że ten niedowiarek nie chciał nawet słyszeć o spowiedzi. Powtarzał tylko co jakiś czas: „Czy ksiądz Moulle już przyjechał?” Odpowiadano mu: „Nie, jeszcze nie”. Wtedy wzdychał, a kiedy mu proponowano kapłana, mówił: „Nie, księdza Moulle... Nie chcę innego.”

— Tak, słyszałem o tym.

— Obok wieży Guinette zatrzymał się: „Zobaczcie no — powiedział do mnie — czy nie widać księdza Moulle?” — „Nie” — mówię i ruszyliśmy dalej w drogę. Przy samej drabinie znów się zatrzymał. „Czy ksiądz Moulle nie nadchodzi?” — zapytał. „Nie, przecież wam mówię!” Nic tak nie denerwuje, jak człowiek, który wciąż powtarza jedno i to samo. „Dalejże!” — powiedział. Zarzuciłem mu sznur na szyję, do nóg przysunąłem drabinę i mówię: „Wchodź”. Wszedł nie dając się długo prosić. Ale na wysokości dwóch trzecich drabiny powiada: „Poczekajcie, muszę się upewnić, czy ksiądz Moulle nie nadchodzi.” — „Ano, patrzcie — mówię — to nie jest zabronione.” Wtedy spojrzał po raz ostatni na tłum. Ale nie widząc księdza, westchnął. Myślałem, że się już zdecydował i trzeba go tylko popchnąć. Zauważył mój ruch. „Zaczekaj” — mówi. „Co jeszcze?” — „Chcę pocałować medalik z Matką Boską, który mam na szyi.” — „Względem tego — mówię — to całkiem słusznie, pocałuj”. I przysunąłem mu medalik do ust. „Co tam jeszcze?” — zapytałem. „Chcę być pochowany z tym medalikiem.” — „Hm, hm — powiadam — zdaje mi się, że wszystkie graty powieszzonego należą do kata.” — „Nic mnie to nie obchodzi, chcę być pochowany z tym medalikiem.” — „Chcę, chcę! A to dobre sobie!” — „Chcę, no co!” Straciłem cierpliwość. Wszystko już było gotowe, miał pętlę na szyi, drugi koniec sznura był przywiązany do haka. „A idźże do diabła!” — krzyknąłem. I popchnąłem go. „Matko Boska, zmi...” — Dalibóg, tyle tylko zdążył powiedzieć. Sznur zdusił człowieka, no i to zdanie. W tej samej chwili — ksiądz wie, jak to się praktykuje — chwyciłem za sznur, skoczyłem mu na plecy i trach, trach! Koniec! Nie mógł mieć do mnie pretensji i ręczę księdzu, że nie cierpiało.

— Ale to wszystko nie tłumaczy mi jeszcze, dlaczego tu przyszedłeś.

— Och, to jest właśnie najtrudniejsze do powiedzenia.

— A więc ja ci powiem: przyszedłeś, żeby mu zabrać medalik.

— No tak, diabeł mnie skusił. Powiedziałem sobie: „Dobra, dobra, ty chcesz! Łatwo to się mówi. Ale jak zapadnie noc, bądź spokojny, zobaczymy!” Wtedy kiedy nastąpiła noc, wyszedłem z domu. Drabinę zostawiłem w pobliżu, wiedziałem, gdzie ją znaleźć. Wybrałem się na przechadzkę i wróciłem drogą okólną. Potem nie widząc już nikogo na równinie i nie słysząc żadnych hałasów, zbliżyłem się do szubienicy. Przystawiłem drabinę, dostałem się na górę i przyciągnąwszy do siebie skazańca, odpiąłem łańcuszek, i...

— I co?

— Dalibóg, może mi ksiądz wierzyć albo nie — w chwili gdy ściągnąłem medalik z szyi wisielca, ten chwycił mnie, uwolnił z pętli swoją głowę, a wsunął moją. I, pod słowem, popchnął mnie tak samo jak ja jego. Ot co!

— Niemożliwe! Mylisz się chyba!

— Ksiądz znalazł mnie na szubienicy, czy tak?

— Tak.

— No więc zapewniam księdza, że ja się sam nie powiesiłem. Tyle tylko mogę powie-

dzieć.

Przez chwilę zastanawiałem się.

— A gdzie jest medalik? — zapytałem.

— Dalibóg, trzeba go poszukać, musi tu leżeć gdzieś blisko. Wypuściłem go, czując, że jestem powieszony.

Wstałem i zacząłem szukać. Blask księżycy pomógł mi w tej pracy. Podniosłem medalik i zbliżywszy się do trupa Artifaille'a, zawiesiłem mu medalik na szyi.

W tej samej chwili ciałem jego wstrząsnął jak gdyby dreszcz, a z piersi wydarł się ostry, niemal bolesny okrzyk.

Kat skoczył do tyłu. Ten krzyk wyjaśnił mi wszystko. Wspomniałem, co Pismo święte mówiło o egzorcyzmach i demonach, które z krzykiem opuszczają ciała opętanych. Kat drżał jak liść.

— Chodź tu, przyjacielu — rzekłem. — Nie bój się niczego.

Oprawca zbliżył się do mnie z wahaniem.

— Czego ksiądz chce? — zapytał.

— Trzeba tego trupa umieścić tam z powrotem.

— Nigdy! Po to, żeby znowu mnie powiesił?!

— Nie ma obawy, przyjacielu. Odpowiadam za wszystko.

— Ależ księżę dobrodzieju...

— Chodźże, mówię.

Posunął się jeszcze o krok.

— Hm — szepnął — nie ufam mu.

— Niesłusznie, przyjacielu. Dopóki skazaniec nosi na szyi medalik, nie trzeba się niczego lękać.

— Dlaczego?

— Dlatego, że demon nie będzie miał nad nim mocy. Ten medalik chronił go. Tyś mu go zabrał i w tej samej chwili trupa opanował i pchnął do występku zły duch, któremu poprzednio przeszkadzał anioł stróż. Widziałeś dzieło owego złego ducha.

— Więc ten krzyk, który słyszeliśmy...

— On go właśnie wydał czując, że wymyka mu się zdobycz.

— No, patrzajcie — rzekł kat. — Tak mogło rzeczywiście być.

— Tak jest.

— W takim razie umieszczę go z powrotem na haku.

— Zrób to. Sprawiedliwości musi stać się zadość. Wyrok winien być dopełniony.

Kat wahał się jeszcze.

— Nie bój się — rzekłem. — Odpowiadam za wszystko.

— Wszystko jedno — podjął oprawca. — Niech ksiądz ma na mnie oko i w razie czego pośpieszy mi z pomocą.

— Bądź spokojny.

Zbliżywszy się do nieboszczyka, chwycił go pod pachy, uniósł ostrożnie w górę i pociągnął ku drabinie mówiąc:

— Nie bój się, Artifaille, ja ci wcale nie chcę zabrać medalika. Ksiądz nie traci nas z oczu, prawda?

— Nie, bądź spokojny, przyjacielu.

— Ja ci wcale nie chcę zabrać medalika — ciągnął oprawca jak najbardziej pojednawczo. — Nie, nie nie bój się. Będziesz pochowany z medalikiem, skoro tak chciałeś. Rzeczywiście, nie rusza się, proszę księdza.

— No więc widzisz.

— Będiesz z nim pochowany. Tymczasem wiem cię z powrotem na życzenie księdza dobrodzieja. Bo jeśli chodzi o mnie, rozumiesz!...

— Tak, tak, ale prędko — rzekłem, nie mogąc powściągnąć uśmiechu.
— Zrobione, dalibóg — odparł puszczając ciało, które umocował z powrotem na haku, i zeskoczył na ziemię.

Ciało zakołysało się w powietrzu, sztywne i martwe.

Ukląkłem i zacząłem odmawiać modlitwy, o które prosił mnie Artifaille.

— Proszę księdza — powiedział kat klękając obok mnie — może dobrodziej będzie łaskaw mówić słowa modlitwy głośno i wolno, abym mógł je powtarzać.

— Jak to, nieszczęsny, czyżbyś ich zapomniał?

— Chyba nigdy ich nie umiałem.

Zmówiłem pięć „Ojcze nasz” i pięć „Zdrowaś”, które oprawca powtarzał skrupulatnie za mną.

Skończywszy odmawiać modlitwy, powstałem.

— Artifaille — powiedziałem szeptem do skazańca — zrobiłem wszystko, co mogłem dla zbawienia twojej duszy. Resztę pozostawiam Najświętszej Marii Pannie.

— Amen! — dodał mój towarzysz.

W tej samej chwili blask księżyca, niby srebrzysta kaskada, oblał ciało skazańca. Północ wybiła na kościele Matki Boskiej.

— Chodźmy — rzekłem do oprawcy — nie mamy tu nic więcej do czynienia.

— Czy ksiądz byłby łaskaw wyświadczyć mi ostatnią już łaskę?

— Jaka?

— Odprowadzić mnie do domu. Nie uspokoję się, dopóki się nie odgradzę od tego zucha, zamykając drzwi na cztery spusty.

— Chodź.

Opuściliśmy równinę, ale mój towarzysz przystawał co dziesięć kroków oglądając się, czy wisielec jest na swoim miejscu.

Panowała tam absolutna cisza.

Weszliśmy do miasta. Odprowadziłem kata do samego domu, czekając, aż zapali światło. Gdy już drzwi zamknęły się za nim, dopiero mnie pożegnał i podziękował. Wróciłem do siebie, pełen spokoju i pogody ducha.

Z rana, po przebudzeniu, powiedziano mi, że żona złoczyńcy czeka na mnie w jadalni. Wydawała się spokojna, niemal radosna.

— Przychodzę podziękować księdzu — rzekła. — Wczoraj, kiedy północ biła na kościele Marii Panny, ukazał mi się mąż i powiedział: „Pójdiesz jutro rano do księdza Moulle i oświadczysz, że dzięki niemu i Matce Boskiej jestem uratowany.”

Rozdział XI

BRANSOLETKA Z WŁOSÓW

— Drogi proboszczu — rzekł Alliette — żywię dla księdza jak największy szacunek i jak największą cześć dla Cazotte'a. Godzę się całkowicie na wpływ owego złego ducha. Ale ksiądz zapomina o tym, czego przykładem ja właśnie jestem, a mianowicie, że śmierć nie zabija życia i jest tylko przemianą ciała ludzkiego. Śmierć zabija pamięć, to wszystko. Gdyby pamięć nie umierała, każdy pamiętałby o wędrówkach swej duszy od początku świata aż do dziś. Ów sekret tkwi właśnie w kamieniu filozoficznym. Sekret ten odkrył kiedyś Pitagoras, potem stosował hrabia de Saint-Germain i Cagliostro. Z kolei ja jestem posiadaczem tego

sekretu i za jego sprawą ciało moje umrze, tak jak — pamiętam dokładnie — już się to zdarzyło cztery czy pięć razy... Mylę się. Są ciała, które nie umierają i moje do nich należy.

— Panie Alliette — wtrącił doktor — da mi pan z góry zezwolenie?

— Jakie?

— Na otwarcie pańskiego grobu miesiąc po śmierci.

— Miesiąc, dwa, rok, dziesięć, kiedy pan zechce, doktorze! Ale... proszę uważać. Bo krzywda, jaką pan wyrządzi mojemu ciału, mogłaby zaszkodzić innemu, w które już weszła moja dusza.

— A więc pan wierzy w to szaleństwo?

— Muszę w nie wierzyć: widziałem je.

— Co pan widział?... Jednego z tych żywych nieboszczyków?

— Tak.

— No więc, panie Alliette, skoro każdy opowiada swoją historię, niechże i pan opowie swoją. Byłoby to interesujące, gdyby ona właśnie okazała się najbardziej prawdopodobna ze wszystkich.

— Prawdopodobna, doktorze, czy nie, oto ona w całej swojej prawdzie. Jechałem ze Strasburga do wód w Louesche. Zna pan tę drogę?

— Nie, ale mniejsza o to. Proszę mówić dalej.

— Udając się ze Strasburga do Louesche przejeżdżałem naturalnie przez Bazyleę, gdzie miałem przesiąść się z pojazdu publicznego na prywatny.

Przybywszy do hotelu „Pod Koroną”, który mi polecono, rozpytałem się o wehikuł i woźnicę. Poprosiłem gospodarza, aby się poinformował, czy ktoś z miasta nie wybiera się w tym samym kierunku. Miał wówczas zaproponować wspólne odbycie drogi, co by uprzyjemniło nawzajem podróż i zmniejszyło koszt.

Wieczorem gospodarz wrócił z wiadomością w tej sprawie. Zona jednego z kupców bazylejskich straciła niedawno trzymiesięczne dziecko, które sama karmiła, i w związku z tym wpadła w chorobę. Kobiecie zalecono kurację u wód Louesche. Było to pierwsze dziecko owego młodego małżeństwa, które pobrało się przed rokiem.

Gospodarz opowiedział mi, że z wielkim trudem udało się nakłonić kobietę do rozłąki z mężem. Chciała koniecznie bądź pozostać w Bazylei, bądź wyjechać do wód wraz z mężem. Ale stan jej zdrowia wymagał wyjazdu, a dobro interesów — jego pobytu w mieście. Zdecydowała się więc, że wyjedzie następnego dnia ze mną. Towarzyszyła jej pokojówka, a ponadto wybierał się z nami ksiądz parafii katolickiej z pobliskiej wioski, który był czwartym pasażerem.

Nazajutrz o ósmej rano pojazd stanął przed hotelem. Ksiądz już zajmował swoje miejsce. Wsiadłem i ja, i pojechaliśmy po tamte dwie kobiety. W wnętrzu wehikułu obserwowaliśmy pożegnanie małżonków. Rozpoczęło się ono w mieszkaniu, trwało dalej w magazynie, a skończyło się dopiero na ulicy. Kobieta miała widocznie jakieś złe przeczucie, gdyż była bardzo niespokojna. Wyglądało to tak, jakby wyjeżdżała nie na odległość pięćdziesięciu mil, lecz w podróż dookoła świata. Mąż wydawał się spokojniejszy, lecz był bardziej przejęty niż to się normalnie zdarza przy tego rodzaju rozłące. Wreszcie ruszyliśmy.

Obaj z księdzem odstąpiliśmy najlepsze miejsca obu kobietom, które usiadły w głębi pojazdu, a my z przodu. Skierowaliśmy się na Soleure i pierwszą noc spędziliśmy w Mundischwyll. Nasza towarzysząca zdradzała w ciągu całego dnia zdenerwowanie i niepokój. Wieczorem, widząc wyruszający do Bazylei pojazd, chciała powrócić. Pokojówce udało się jednak namówić ją do kontynuowania podróży.

Nazajutrz około dziewiątej rano ruszyliśmy w dalszą drogę. Dzień był krótki, liczyliśmy, że uda się nam dotrzeć tylko do Soleure. Pod wieczór, kiedy zaczęło się przed nami rysować miasto, chora nagle zadrżała.

— Ach! — zawołała. — Stańcie! Ktoś pędzi za nami.

Wychyliłem się z okna.

— Myli się pani — rzekłem. — Na drodze jest zupełnie pusto.

— To dziwne — nalegała — słyszę tętent konia.

Wysunąłem głowę jeszcze bardziej sądząc, że zawiódł mnie wzrok.

— Nie ma nikogo — stwierdziłem.

— Omyliłam się — rzekła cofając się w głąb pojazdu. A potem zamknęła oczy jakby chcąc skupić rozproszone myśli.

Nazajutrz wyjechaliśmy o piątej rano. Tym razem dzień był długi. Nasz woźnica chciał zdążyć do Berna na nocleg o tej samej porze co dnia poprzedniego, to jest o piątej. Nasza towarzyszka jakby ocknęła się ze snu, w którym była pogrążona, i wyciągając ręce zawołała do woźnicy:

— Proszę stanąć. Teraz jestem pewna, że ktoś pędzi za nami.

— Pani się myli — odparł woźnica. — Widzę tylko trzech chłopów, którzy nas minęli i teraz idą spokojnie drogą.

— Ależ ja słyszę tętent konia.

Powiedziała to z takim przekonaniem, że musiałem się obejrzeć.

Droga była, jak i poprzednio, absolutnie pusta.

— To niemożliwe, proszę pani — rzekłem. — Nie widzę jeźdźca.

— Jakże pan może nie widzieć jeźdźca, skoro ja widzę dwa cienie — i człowieka, i konia.

Spojrzałem w kierunku jej ręki i zobaczyłem rzeczywiście cień jeźdźca i konia. Ale daremnie szukałem postaci, do których należały owe cienie. Zwróciłem na to szczególne zjawisko uwagę księdza, który się przeżegnał.

Cień rozjaśniał się stopniowo, stawał się coraz mniej widzialny, aż wreszcie zupełnie znikł. Wjechaliśmy do Berna.

Zjawiska te wydawały się biedaczce fatalne. Powtarzała bez przerwy, że chce wracać, jednakże jechała dalej.

Po przybyciu do Thun kobieta poczuła się tak źle — czy to na skutek wewnętrznego niepokoju, czy też naturalnych postępów choroby — że musiała dalej podróżować w lektyce. W ten sposób odbyła drogę przez Khander-Thal i Gemmi. A w samym Louesche wywiązała się ostra róża i chora przez cały miesiąc nic nie widziała i nie słyszała.

Nie zawiódł jej, zresztą, przeczcucia. Ledwie zdążyła ujechać dwadzieścia mil od domu, jak mąż zachorował na zapalenie mózgu. Rozwijało się ono tak szybko, że chory, świadom swego stanu, wysłał konnego posłańca, aby zawiadomił żonę, zalecając jej powrót do domu.

Między Lauffen i Breinteinbach koń padł, a jeździec zwałił się, uderzając głową o kamień, i musiał pozostać w oberży. Nic nie załatwiwszy, zawiadomił tylko chorego o wypadku.

Wysłano więc drugiego kuriera. Ale widocznie ciążyło nad nimi jakieś fatum: na krańcach Khander-Thal jazdę konno przerwano i posłaniec miał wspiąć się z przewodnikiem na płaskowyż Schwalbach dzielący Oberland od Wallisu; w pół drogi jednak lawina śnieżna, tocząca się z góry Attels, porwała go z sobą w przepaść. Przewodnik ocalał wprost cudem.

Tymczasem choroba męża postępowała w zastraszający sposób. Trzeba było ogolić głowę choremu, mającemu bujną czuprynę, aby stosować okłady z lodu.

Od tej chwili umierający stracił już wszelką nadzieję i w nieco spokojniejszym momencie napisał do żony:

„Droga Berto!

Niedługo już umrę, ale nie chcę rozstać się z tobą zupełnie. Każ zrobić sobie bransoletkę z moich obciętych włosów, które poleciałem zachować. Noś ją zawsze i w ten sposób

List ten wręczył trzeciemu posłańcowi, któremu nakazał wyjechać zaraz po swojej śmierci. Wieczorem chory zmarł. W godzinę później posłaniec ruszył w drogę i, szczęśliwszy od swych poprzedników, przybył po pięciu dniach do Louesche.

Ale wdowę zastał ośleplą i głuchą. Dopiero po miesiącu to podwójne kalectwo zaczęło, dzięki działaniu wód, ustępować. Po upływie następnego miesiąca odważono się wyjawić kobiecie fatalną nowinę. Ponieważ nawiedzały ją różne wizje, była do niej w pewnym sensie przygotowana. W ciągu paru dalszych tygodni chora odzyskała całkowicie zdrowie i wreszcie po trzymiesięcznej nieobecności wyruszyła do Bazylei.

Ponieważ i moja kuracja była skończona, a dolegliwości reumatyczne minęły, zaofiarowałem się na towarzysza podróży, co zostało przyjęte z wdzięcznością. Wdowa mogła bowiem rozmawiać ze mną o swoim mężu, którego wprawdzie widziałem tylko przelotnie przed wyjazdem, ale go jednak znałem. Na piąty dzień po opuszczeniu Louesche przybyliśmy wieczorem do Bazylei.

Powrót biednej wdowy do domu był przejmująco smutny. Ponieważ młodzi małżonkowie nie mieli wcale krewnych, po śmierci męża zamknięto magazyn i firma zupełnie zamarła, podobnie jak zamiera ruch w zatrzymanym zegarze.

Posłano po lekarza, który leczył chorego, po rozmaite osoby, które były obecne przy jego śmierci. Dzięki nim udało się wskrzesić i odtworzyć ostatnie chwile zmarłego, jego śmierć nieomal już zapomnianą w sercach ludzi obojętnych.

Wdowa chciała przynajmniej odzyskać włosy, pozostawione jej przez męża. Lekarz przypomniał sobie, że kazał je choremu obciąć. Balwierz pamiętał, że chorego ogolił. I to wszystko. Nie zabezpieczone przez nikogo włosy zginęły.

Kobieta była w rozpacz. Nie mogła więc spełnić jedyne go życzenia zmarłego i nosić bransoletki z jego włosów. Minęło kilka nocy przeraźliwie smutnych, podczas których wdowa, błądząc po domu, wydawała się raczej cieniem niż żywą istotą.

Ledwie kładła się do łóżka i zapadała w sen, czuła zaraz, jak prawa jej ręka drętwieje, i budziła się w chwili, gdy — jak jej się zdawało — odrętwienie dochodziło do serca. Z początku ogarniało ono nadgarstek, tam gdzie się nosi bransoletkę, ale ucisk był tak silny, jak od zbyt ciasnej bransoletki żelaznej. A potem drętwota rozszerzała się w kierunku serca.

Zmarły, jak widać, okazywał żal, że nie uszanowano jego ostatniej woli. Wdowa rozumiała te płynące spoza grobu żale. Postanowiła otworzyć mogiłę i — gdyby na głowie męża zachowały się jeszcze włosy — uszczknąć z nich tyle, aby spełnić jego ostatnie życzenie.

Nie wtajemniczając nikogo w swoje zamiary, posłała po grabarza. Ale poprzedni grabarz już zmarł, a nowy, przyjęty dopiero od dwóch tygodni, nie wiedział, gdzie jest grób męża.

Wówczas wdowa, która na skutek swej podwójnej wizji: jeźdźca i konia, oraz ucisku bransoletki miała prawo wierzyć w cuda, udała się na cmentarz w nadziei jakiegoś objawienia. Usiadłszy na jednej z mogił, pokrytej bujną zielenią, jaka zwykle porasta groby, oczekiwała tam nowego znaku, który by jej dopomógł w poszukiwaniach.

Na murze cmentarnym wymalowany był taniec szkieletów. Wzrok kobiety zatrzymał się na Śmierci, długo obserwując tę postać szyderczą i straszliwą zarazem. Miała wrażenie, że Śmierć podnosi swe kościste ramię i końcem palca wskazuje jeden z ostatnich grobów. Wdowa skierowała się wprost ku owej mogile i stanąwszy tam widziała, zda się wyraźnie, jak Śmierć opuściła swe ramię. Kobieta oznaczyła to miejsce, a kiedy potem wróciła z grabarzem, powiedziała mu: „Kopcie, to tutaj.”

Byłem przy tym obecny. Pragnąłem poznać do samego końca tę niezwykłą historię. Grabarz dokopał się do trumny i uniósł wieko. Z początku wahał się, ale przekonał go stano-

wczy ton kobiety: „Podnieście wieko, to trumna mojego męża.” Usłuchał jej, tak bardzo potrafiła natchnąć innych zaufaniem, jakie tkwiło w niej samej.

Ujrzałem wtedy na własne oczy cudowną wprost rzecz. Nie tylko były to zwłoki jej męża i nie tylko, pomijając bladłość, wyglądał jak żywy. Ale od chwili śmierci włosy, poprzednio zgolone, odrosły tak, że niby korzenie wymykały się wszystkimi szczelinami trumny.

Biedna kobieta pochyliła się nad ciałem męża, jak gdyby uspionym, i ucałowawszy czoło obcięła kosmyk odrosniętych cudownie włosów, z których kazała zrobić bransoletkę. Od tego dnia odrętwienie nocne minęło.

Ale ilekroć wdowie groziło jakieś wielkie niebezpieczeństwo, uprzedzał ją o nim delikatny dotyk, przyjacielski uścisk bransoletki.

— I co? Wierzy pan, że to był rzeczywiście nieboszczyk? Że to były naprawdę zwłoki? Ja w to nie wierzę!

— A czy nie słyszał pan — zapytała blada dama tonem tak szczególnym, że zadrżeliśmy wszyscy wśród mroków tego nie oświetlonego salonu — żeby ów nieboszczyk wyszedł z trumny? Żeby na jego widok i w zetknięciu z nim ktoś się dręczył i cierpiał?

— Nie — odparł Alliette — gdyż wyjechałem stamtąd.

— Ach, jak to niedobrze — wtrącił doktor — że pan to potraktował tak lekko. Pani Gregoriska była właśnie skłonna przemienić pańskiego pocziwego kupca szwajcarskiego z Bazylei w jakiegoś wampira polskiego, wołoskiego lub węgierskiego! Czy podczas pobytu swego w Karpatach — ciągnął śmiejąc się doktor — nie widziała pani przypadkiem wampirów?

— Posłuchajcie państwo — rzekła blada dama w sposób dziwnie uroczysty — skoro każdy coś tu opowiedział, ja również chcę opowiedzieć pewną historię. Nie orzeknie już pan, doktorze, że jest nieprawdziwa... Mnie się ona wydarzyła... Zrozumie pan, dlaczego jestem taka blada.

W tej samej chwili poprzez zasłony w oknach przedarł się promień księżyca i ślizgając się po kanapie, otoczył damę błękitnawym blaskiem, który ją upodobił do czarnej marmurowej statuy stojącej na grobowcu.

Ani jeden głos nie zareagował na tę propozycję. Ale głęboka cisza, jaka zapanowała w salonie, świadczyła, że wszyscy pełni napięcia czekali.

Rozdział XII

W KARPATACH

Jestem Polką, urodziłam się w Sandomierzu, to znaczy w stronach, gdzie legendy stają się przedmiotem wiary, gdzie wiara w tradycje rodzinne jest bardzo silna, czasem nawet silniejsza niż w ewangelię.

Nie ma zamku, który by nie posiadał swego upiora, nie ma chaty, która by nie miała swego ducha. U bogatych i u biednych, w pałacach czy chałupach tak samo uznawana jest zasada przyjaźni jak i nieprzyjaźni. Niekiedy dwie te zasady staczają z sobą walkę. Słychać wówczas tajemnicze hałasy na korytarzach, a w starych basztach straszliwe wycie; mury drżą tak okropnie, że ludzie uciekają z chaty czy z zamku, a chłopci i szlachta śpieszą do kościoła po święcony krzyż lub święte relikwie, jedyną ucieczkę przed dręczącymi nas demonami.

Ale i tam ścierają się dwie siły, jeszcze straszliwsze, jeszcze bardziej zaciekle i nieubłagane: tyrania i wolność.

Rok 1825 był świadkiem, jak między Polską i Rosją rozgorzała jedna z owych walk, w których, zda się, cały naród spłynął krwią, tak jak często cały ród wykrwawia się do ostatka.

Ojciec mój i dwaj bracia powstali przeciwko nowemu carowi stając pod sztandarem niepodległości polskiej, sztandarem wciąż obalanym i wciąż wznoszonym.

Któregoś dnia dowiedziałam się, że poległ mój młodszy brat, a potem doszła mnie wieść, że starszy jest śmiertelnie ranny. Wreszcie u schyłku dnia, w ciągu którego pełna grozy słyszałam zbliżający się bezustannie huk armat, przybył mój ojciec z setką konnych, stanowiących resztkę dowodzonych przez niego trzech tysięcy. Przybył, aby bronić się w naszym zamku i zginąć pod jego gruzami.

Ojciec mój, który nie żywił obaw o siebie, drżał o mnie. Istotnie, dla niego była to tylko kwestia śmierci, wiedział bowiem, że nie wpadnie żywy w ręce wrogów. Ale dla mnie była to sprawa niewoli i hańby.

Spośród setki swych ludzi ojciec wybrał dziesięciu, przywołał rządcę, wręczył mu złoto i wszystkie nasze kosztowności. Pamiętał on, że w czasie drugiego rozbioru Polski matka moja, niemal dziecko, znalazła schron w klasztorze Sahastru, położonym w Karpatach. Nakazał więc rządzący odprowadzić mnie do tego klasztoru, który okazawszy gościnność matce, z pewnością nie zechce jej odmówić córce.

Mimo wielkiej miłości, jaką otaczał mnie ojciec, pożegnanie nie było długie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Rosjanie mieli nazajutrz zjawić się w zasięgu zamku, nie było więc czasu do stracenia.

Włożyłam pośpiesznie strój amazonki, w którym zwykle towarzyszyłam braciom na polowanie. Osiodłano mi najlepszego wierzchowca z całej stadniny. Ojciec wsunął mi do torby przy siodle własne pistolety, arcydzieło tulskiej fabryki, uściskał mnie i dał rozkaz odjazdu.

W ciągu nocy i następnego dnia przebyliśmy dwadzieścia mil, posuwając się brzegiem jednej z owych bezimiennych rzeczek, które wpadają do Wisły. Od tej chwili przestało nam grozić niebezpieczeństwo ze strony Rosjan. W promieniach zachodzącego słońca ujrzeliśmy roziskrzone, śnieżne wierzchołki Karpat. Pod koniec następnego dnia stanęliśmy u ich stóp, a rankiem trzeciego dnia zaczęliśmy zagłębiać się w jeden z wąwozów górskich.

Nasze Karpaty bynajmniej nie przypominają tkniętych przez cywilizację waszych gór na Zachodzie. Potęga i wielkość natury ukazują się tam w całej majestatycznej pełni. Groźne szczyty górskie, pokryte wiecznymi śniegami, giną w chmurach. Olbrzymie lasy sosnowe chylą się nad gładkim zwierciadłem jezior, podobnych do mórz. Jezior tych nigdy jeszcze nie pruća łódź, a ich głębokiego niby lazur kryształu nigdy nie zamąciła rybacka sieć. Czasem tylko rozbrzmiewa tam głos ludzki nucąc melodię ludową i odpowiada jej krzyk dzikich zwierząt. Melodia i krzyk budzą samotne echo, jak gdyby zdumione, że jakiś dźwięk przypomniął mu o jego własnym istnieniu.

Na przestrzeni całych mil wędruje się pod ciemnym sklepieniem lasów, które nagle ukazuje oczom jakiś cudowny widok wyłaniający się wśród ustronia, przejmując na przemian zdumieniem i zachwytem. Niebezpieczeństwo czyha tu zewsząd w różnorodnej postaci, ale ma w sobie tyle wzniosłości, że człowiek przestaje się lękać. Czasem jest to wodospad powstały z topniejących lodów, który pędząc pośród skał zalewa nagle wąską ścieżkę, wydeptaną przez dzikiego zwierza i tropiącego go myśliwego. Niekiedy są to stoczone działaniem czasu drzewa, które odrywają się od gruntu, by runąć z łoskotem tak straszliwym jak trzęsienie ziemi. A wreszcie bywają to huragany przesłaniające wszystko chmurami, z których w ognistych wężowych skrętach wytryskają błyskawice.

Wydaje się, że wędrowka jest bezcelowa i nigdzie nie prowadzi. Nie napotyka się ani wioski, ani zamku, ani chaty, ani śladu siedziby ludzkiej. Chwilami tylko — jak gdyby potęgując jeszcze smutek ponurego krajobrazu — drogę zagrozi drzemiące w głębi wąwozu, niczym Morze Martwe, zielone jezioro, nie porośnięte ani jedną trzcina, nie obramowane ani jednym krzakiem. Gromadka wodnego ptactwa, czując bliskość człowieka, zrywa się do lotu

z przeciągłym, pomieszanym krzykiem. Czasem trzeba skrócić w bok, wspiąć się na najbliższe wzgórze — i trwa to tak długo, dopóki się nie przemierzy całego pasma, które stopniowo kurczy się i maleje.

Potem, kiedy się zboczy ku południowi, krajobraz staje się majestatyczny, wyrasta nowy łańcuch gór — wyższych, bardziej malowniczych, o bogatym ukształtowaniu. Pasma to wieńczę już bujne lasy i przecinają strumienie, cienistość i woda napęniają krajobraz życiem, słysząc dzwon pustelni, widać przesuwaną się na stoku górskim karawanę. Wreszcie, w ostatnich promieniach słońca można już rozróżnić, niczym stłoczoną gromadę białego ptactwa, domy kilku wiosek jak gdyby skupione obok siebie po to, aby się uchronić przed nocnym atakiem. Bo wraz z życiem powraca niebezpieczeństwo. Teraz budzą grozę nie stada niedźwiedzi i wilków, zamieszkujące przebyte góry, lecz bandy rozbójników, z którymi trzeba walczyć.

Zbliżaliśmy się jednak do celu. Dziesięciodniowa wędrówka minęła bez wypadku. Widać już było wierzchołek góry Pion, wystrzelający ponad tę całą gromadę olbrzymów. Na jej południowym zboczu znajdował się klasztor Sahastru, do którego zdążałam. Jeszcze trzy dni i mieliśmy znaleźć się na miejscu.

Był koniec lipca, dzień dyszał żarem. Około godziny czwartej z niewymowną rozkoszą zaczęliśmy odczuwać pierwszą rzeźkość wieczoru. Minęliśmy zrujnowane baszty Niantzo. Schodziliśmy ku równinie, którą widać już było wcześniej między górami. Można już było śledzić wzrokiem nurt Bystrzycy, której brzegi pstrzyła czerwień ostów oraz wielkie białe dzwonki. Posuwaliśmy się skrajem urwiska, na którego dnie huczała rzeka, będąca tu jeszcze potokiem. Wąska ścieżyna ledwie mogła pomieścić dwa stąpające obok siebie wierzchowce.

Poprzedzał nas przewodnik, pół leżąc na koniu, i śpiewał monotonną pieśń, w której słowa wsłuchiwałam się ze szczególnym zainteresowaniem. Śpiewak był jednocześnie i poetą. Tylko mieszkaniec gór zdolny jest oddać melodię tej pieśni w całej jej dzikiej melancholii, w całej ponurej prostocie. Oto jej słowa:

*Na moczarach Stavilli,
Które nasi skrwawili,
Któż tam leży, gdzie srogi grzmiął bój?
Któż tam leży, gdzie srogi grzmiął bój?
To nie dziecię Ilirii,
Tylko zdrajca Maryi —
Niegodziwiec, podpalacz i zbój.*

*Wartką kulą rozdarte
Serce zbója niewarte,
Lecz słuchajcie, bo wielki to dziw!
Lecz słuchajcie, bo wielki to dziw!
Już trzy dni i trzy noce
Krew mu z piersi chlupoce
I Ovigani ni martwy, ni żyw.*

*Sine oczy rozwiera,
Dziko wkoło poziera...
Uciekajmy z tych miejsc! Wszelki duch!
Uciekajmy z tych miejsc! Wszelki duch!
Od upiora zwłok nędznych
Wilk umyka co prędzej
I spłoszony na grań leci kruk... **

* Przekład Tadeusza Chróściewskiego.

Nagle rozległ się huk wystrzału i gwizdnęła kula. Śpiew urwał się, a przewodnik śmiertelnie rażony runął na dno urwiska. Wierzchowiec, drząc cały, stanął, zwracając swe spojrzenie ku przepaści, w której znikł jego pan.

Jednocześnie zabrzmiał głośny krzyk i ujrzelśmy, jak na zboczach gór wyłoniło się ze trzydziestu bandytów — byliśmy zupełnie otoczeni. Każdy chwycił za broń i, choć zaskoczni znieca, ludzie nasi — starzy, nawykli do ognia żołnierze — nie stracili ducha i odpowiedzieli strzałami. Ja sama, dając przykład, wyciągnęłam pistolet i — choć byłam świadoma niekorzystnej sytuacji — krzyknęłam: „Naprzód!” Spięłam ostrogą konia, który mnie uniósł w kierunku równiny.

Ale mieliśmy do czynienia z góralami, uwijającymi się pośród skał na podobieństwo demonów. Skacząc, jednocześnie strzelali i dzięki flankowemu stanowisku trzymali nas niezmiennie w szachu.

Manewr nasz został zresztą przewidziany. W miejscu, gdzie droga rozszerzała się tworząc płaskowyż, czekał już młody człowiek na czele dziesięciu konnych. Ujrawszy nas popędzili wszyscy galopem i zaatakowali nas od przodu, podczas gdy reszta zsunęła się ze zboczy górskich i odcinając odwrót otoczyła nas ze wszystkich stron.

Sytuacja była groźna, ja jednak, nawykła od dziecka do scen bojowych, rozważyłam ją nie tracąc ani jednego szczegółu. Wszyscy ci ludzie w baranich skórkach mieli ogromne kapelusze, zdobne w żywe kwiaty, na wzór kapeluszy węgierskich. W rękach trzymali długie fuzje tureckie, którymi potrząsali po wystrzale wydając dzikie okrzyki, a u pasa mieli zakrzywione szable i parę pistoletów.

Dowódca ich, dwudziestoletni młodzieniec o bladej cerze, czarnych podłużnych oczach i spadających w pierścieniach włosach, był w kurcie przybranej futrem i ściśniętej jedwabną złotą szarfą. W ręku jego lśniła zakrzywiona szabla, a za pasem migotały cztery pistolety. W toku walki wydawał chrapliwe i nieartykułowane, zda się, nieludzkie okrzyki. Wyrażały jednak jego wolę, gdyż ludzie byli im posłuszni. To przywierali brzuchem do ziemi, aby uniknąć naszych salw, to znów zrywali się kładąc trupem tych, co się jeszcze trzymali, dobijali rannych, słowem, walkę przemienili w rzeź.

Widziałam, jak padając jeden po drugim, zginęło dwie trzecie moich obrońców. Czterech pozostałych jeszcze przy życiu skupiło się wokół mnie, nie prosząc o łaskę, której by na pewno nie uzyskali. Wszyscy myśleli o jednym — sprzedać jak najdrożej swe życie.

Wówczas herszt bandytów krzyknął w jakiś charakterystyczny sposób, wyciągając w naszą stronę szablę. Najwidoczniej rozkazał otworzyć ogień na tę ostatnią grupę i rozstrzelać nas razem, gdyż długie muszkiety pochyliły się ku nam jak jeden. Zrozumiałam, że wybiła nasza ostatnia godzina, i wzniósłszy ku niebu wzrok i ręce oczekiwałam śmierci.

W tej samej chwili ujrzałam, że przeskakując ze skały na skałę pędzi wprost w naszą stronę jakiś młody człowiek. Przystanął na głazie, górując nad całą tą sceną, podobny do posągu na piedestale, i wyciągnąwszy rękę w kierunku pola rzucił jedno tylko słowo: „Dość!” Na dźwięk tego głosu podniosły się wszystkie oczy, wszyscy, zda się, gotowi byli usłyszeć. Jeden tylko bandyta wycelował na nowo broń i strzelił. Któryś z naszych żołnierzy krzyknął — kula strzaskała mu lewe ramię.

Ranny odwróciwszy się w jednej chwili, chciał runąć na człowieka, który do niego strzelił. Ale ledwie jego koń ruszył z miejsca, nad naszymi głowami zalśniła błyskawica i zuchwały bandyta padł z przestrzeloną głową.

Wszystkie te wzruszenia wyczerpały moje siły, tak że zemdlałam. Gdy odzyskałam przytomność, leżałam na trawie. Głowę miałam opartą na kolanach mężczyzny — widziałam tylko jego białą rękę, palce pokryte pierścieniami. Ramię jego obejmowało mnie w pól. A na wprost mnie stał, skrzyżowawszy na piersiach ręce i trzymając pod pachą szablę, ów młody herszt, który kierował atakiem przeciwko nam.

— Kostaki — rzeki po francusku tonem rozkazującym ten, który mnie podtrzymywał

— każesz natychmiast wycofać się swoim ludziom, mnie pozostawiając opiekę nad tą młodą kobietą.

— Bracie mój — odparł hamując się z trudem ów herszt, do którego zwrócono te słowa.

— Bacz, aby się nie wyczerpała moja cierpliwość. Ja ci zostawiam zamek, ty mi zostaw las. W zamku ty jesteś panem, ale tu ja rozkazuję wszechwładnie. Tu dość mego jednego słowa, aby cię przywieść do posłuszeństwa.

— Kostaki, ja jestem starszy. Znaczy to, że panuję wszędzie: zarówno na zamku, jak i w lesie, tam tak samo jak i tu. Pochodzę przecież z krwi Brankowanów, podobnie jak i ty, z krwi królewskiej, nawykłej do rozkazywania, więc — rozkazuję.

— Ty, Gregoriska, rozkazujesz swojej służbie, owszem, ale nie moim żołnierzom.

— Twoi żołnierze, Kostaki, to zbóje... Zbóje, których każę powiesić na blankach naszych baszt, jeżeli w tej chwili nie będą mi posłuszni.

— No więc, spróbujże im rozkazywać!

Jednocześnie poczułam, że podtrzymujący mnie mężczyzna usuwa swe kolano i opiera ostrożnie moją głowę na kamieniu. Spojrzałam na niego z niepokojem i poznałam w nim owego młodzieńca, który pośród walki jak gdyby spadł z nieba. Widziałam go tylko przelotnie, bo zaraz straciłam przytomność.

Miał lat dwadzieścia cztery, był wysokiego wzrostu, a w jego dużych niebieskich oczach malowała się wyjątkowa, niezachwiana stanowczość. Długie blond włosy — cecha rasy słowiańskiej — opadały mu na ramiona, niczym kędziory archanioła Michała, okalając młode, rumiane policzki. Na jego ustach igrał drwiący uśmiech, odsłaniając podwójny rząd zębów jak perły. Miał orle spojrzenie, rzucające błyskawice. Odziany był w czarną aksamitną kurtkę, obcisłe spodnie, haftowane buty. Na głowie miał niewielki beret z orlim piórem, taki, jaki nosił Rafael, a u pasa na rzemyku — myśliwski kordelas. Przez ramię miał przewieszony dwustrzałowy karabinek, którego celność stwierdził na sobie jeden z bandytów.

Młodzieniec wyciągnął rękę, jakby w ten sposób rzucając bratu rozkaz. Powiedział po mołdawsku kilka słów, które sprawiły na bandytach głębokie wrażenie.. Zaraz przemówił też i herszt — domyśliłam się, że były to groźby i złorzeczenia. Na tę długą i wzburzoną tyradę starszy z braci odpowiedział jednym tylko słowem. Bandyci skłonili się i na dany znak uszeregowali się za nami.

— A więc dobrze, Gregoriska — rzekł Kostaki po francusku. — Nie każę tej kobiety zawieść do pieczary, mimo to jednak będzie należała do mnie. Piękna jest, ja ją zdobyłem i chcę ją mieć.

Z tymi słowy rzucił się ku mnie i uniósł w ramionach.

— Tę kobietę odprowadzi się na zamek i powierzy mojej matce i od tej chwili ja jej nie opuszczę — odparł mój zbawca.

— Konia! — krzyknął Kostaki po mołdawsku.

Dziesięciu zbójców wykonało pośpiesznie rozkaz, wiodąc swemu panu wierzchowca.

Gregoriska rozejrzał się wokół, chwycił za uzdę jakiegoś bezpańskiego konia i skoczył nań, nie dotykając strzemion.

Kostaki, choć trzymał mnie wciąż w ramionach, znalazł się na siodle niemal równie lekko jak brat i popędził galopem.

Wierzchowiec Gregoriski, jakby ulegając tej samej podniecie, ruszył, przywarłszy niemal do tamtego konia.

Szczególny był to widok. Dwaj jeźdźcy pędzący strzemię w strzemię w ponurym milczeniu, ani na chwilę nie tracąc się z oczu, choć pozornie nie patrzyli na siebie, zdani całkowicie na swoje konie, które unosiły ich w szaleńczym pędzie poprzez bory, skały i urwiska.

Mając głowę przechyloną, widziałam utkwione we mnie piękne oczy Gregoriski. Kostaki, spostrzegłszy to, uniósł mi głowę, tak że czułam już tylko na sobie jego ponure, pożądlive spojrzenie. Spuściłam powieki, ale daremnie, gdyż ten przenikliwy wzrok przejmował

wał mnie grozą i szarpał serce. Doznałam wówczas dziwnej halucynacji. Zdawało mi się, że jestem Lenorą z ballady Burgera, unoszoną przez jeźdźca-widmo na widmowym koniu. Kiedy więc stanęliśmy, rozwarłam oczy pełna grozy, będąc do głębi przekonana, że ujrzę wokół siebie tylko strzaskane krzyże i otwarte mogiły.

To, co mnie otaczało, nie wyglądało bynajmniej weselej: był to wewnętrzny podwórzec mołdawskiego zamku z czternastego stulecia.

Rozdział XIII

ZAMEK BRANKOWANÓW

Kostaki wypuści! mnie ze swych ramion, stawiając ostrożnie na ziemię i niemal zaraz znalazł się przy mnie; mimo to jednak Gregoriska go ubiegł. Tak jak powiedział, on był na zamku panem.

Na widok młodzieńców, przybywających z jakąś obcą kobietą, nadbiegła czym prędzej służba. A choć starała się dogodzić obu swoim panom, widać było, że większymi względami i głębszym poważaniem otacza starszego z braci.

Zbliżyły się dwie kobiety, którym Gregoriska rzucił rozkaz, a ku mnie skinął, abym poszła za nimi. Tyle było czci w spojrzeniu, jakie towarzyszyło jego gestowi, że nie zawahałam się ani na chwilę. Po kilku minutach znalazłam się w pokoju, który mimo iż wydałby się komuś najmniej wymagającemu surowy i nie zamieszkanym, był najwidoczniej najpiękniejszy w całym zamku.

W wielkiej czworokątnej komnacie stała kryta zieloną materią kanapa, w dzień służąca do siedzenia, a w nocy do spania, kilka foteli dębowych, wielka skrzynia, a w jednym z rogów baldachim, podobny do dużej wspaniałej stalli kościelnej. Nie było żadnych portier w oknach, ani jakichkolwiek zasłon.

Do tego pokoju wiodły schody, na których stały w zagłębieniach trzy posągi Brankowanów nadnaturalnej wielkości.

Po chwili wniesiono do izby bagaże, wśród których znajdowały się moje kufry, a kobiety zaofiarowały mi swe usługi. Zaczęłam doprowadzać do porządku strój, który nieco ucierpiał na skutek opisanych wypadków. Zostałam jednak w amazonce, jako najbardziej harmonizującej z ubiorem tutejszych gospodarzy. Niebawem rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

— Proszę — odezwałam się po francusku, ten język bowiem był dla Polaków, jak państwu wiadomo, niemal drugim językiem ojczystym.

Wszedł Gregoriska.

— Jakżem szczęśliwy, że pani mówi po francusku.

— I ja też rada jestem — odparłam — gdyż dzięki temu mogłam ocenić pańskie wspaniałomyślne postępowanie. Posługując się tym językiem bronił mnie pan przeciwko swemu bratu i również w tym języku wyrażam panu swoją szczerą wdzięczność.

— Dzięki. To całkiem zrozumiałe, że zainteresowałam się kobietą w pani sytuacji... Polowałem w górach, kiedy usłyszałem beładną i przeciągłą strzelaninę. Zrozumiałem, że chodzi o jakiś zbrojny napad. Skierowałem się na ogień, mówiąc językiem wojskowym. Zdażyłem, dzięki niebu, na czas. Ale pozwoli pani zapytać, jaki to przypadek kobietę tak wytworną przywiódł w nasze góry?

— Jestem Polką — rzekłam. — Dwaj moi bracia zginęli w walce przeciwko Rosji, a ojca, który pozostał, aby bronić naszego zamku przed wrogiem, spotkał już zapewne ten sam

los. Ja zaś, na rozkaz ojca, uchodząc przed rzezią, miałam szukać schronienia w klasztorze Sahastru, gdzie moja matka, za młodu i w podobnych okolicznościach, znalazła bezpieczną przystań.

— Jest pani wrogiem Rosji, tym lepiej — powiedział młodzieniec. — Ten tytuł będzie pani potężnym sprzymierzeńcem na zamku. Musimy wyteńczyć wszelkie siły do walki, która nas czeka. Ale skoro wiem, kto pani jest, pozwól powiedzieć mi też kim my jesteśmy. Nazwisko Brankowanów zapewne nie jest pani obce.

Skinęłam głową.

— Moja matka jest ostatnią księżną tego nazwiska, ostatnią z rodu znakomitego władcy, który został zabity przez Kantemirów, nędznych dworaków Piotra I. Matka moja poślubiła, w pierwszym swoim związku, Serbana Waiwady, mojego ojca, również księcia, lecz mniej znakomitego rodu.

Ojciec mój wychowywał się w Wiedniu, gdzie mógł ocenić osiągnięcia cywilizacji. Postanowił wychować i wykształcić mnie na Europejczyka. Wyjechaliśmy najpierw do Francji, potem do Włoch, Hiszpanii i Niemiec.

Nie jest rzeczą syna, wiem dobrze, mówić to, co powiem. Ponieważ jednak, dla naszego ocalenia, musi pani należycie nas poznać, ocenisz pobudki moich wyznań. W czasie pierwszych podróży mego ojca, kiedy byłem jeszcze zupełnie młody, matkę moją łączył występny stosunek z przywódcą partyzantów. Tak nazywają w tym kraju ludzi — dodał Gregoriska z uśmiechem — którzy na panią napadli. Otóż matka moja, zwiąawszy się z hrabią Giordaki Koproli, pół Grekiem, pół Mołdawianinem, napisała do mego ojca wyznając mu wszystko i prosząc o rozwód. Opierała się na tym, że nie chce, będąc Brankowaną, pozostawać żoną człowieka z każdym dniem coraz bardziej obcego jej krajowi. Niestety, ojciec nie musiał wyrażać zgody na tę propozycję, która wydać się może pani dziwna, u nas jednak jest całkiem pospolita i naturalna. Umarł właśnie na aneurizm serca, na który cierpiał już od dawna, i list otrzymałem ja.

Miałem szczerzy zamiar osiąść we Francji lub w Niemczech, ażeby nie stykać się z człowiekiem mnie nienawidzącym, którego nie mogłem kochać — z mężem mojej matki. Ale dowiedziałem się nagle, że hrabiego Giordaki Koproli zamordowali jakoby dawni kozacy mego ojca.

Musiałem pośpiesznie wracać, gdyż kochałem matkę i rozumiałem jej samotność. W takiej chwili powinno się mieć przy sobie osoby bliskie i drogie. Choć nie darzyła mnie ona zbyt tkliwą miłością, bytem jednak jej synem. Któregoś ranka wróciłem nieoczekiwanie do naszego zamku. Zastałem tam młodzieńca, którego początkowo wziąłem za obcego, potem dowiedziałem się, że to mój brat.

Był to Kostaki, syn naturalny mojej matki, którego ulegalizowało drugie małżeństwo. Kostaki to natura nieposkromiona, znana już pani, którego jedynym prawem są namiętności, a jedyną na świecie świętością — matka. Jest mi posłuszny, tak jak tygrys słuca ręki, która go ujarzmiła; ale wydając nieustanne pomruki żywi tajemną nadzieję, że kiedyś mnie pożre. Wewnątrz zamku, w siedzibie Brankowanów i Wajwadów, to ja jestem panem. Kostaki zaś, znalazłszy się poza jego obrębem, w szczerym polu, staje się z powrotem dzikim dziecięciem lasów i gór, co to chce wszystko ugnać swą żelazną wolą. Jak to się stało, że dziś ustąpił — on i jego ludzie? Nie mam pojęcia. Mocą dawnego nawyku, reszty poważania. Ale nie chciałbym ryzykować nowej próby. Póki pani pozostanie tu, nie opuszczając tego pokoju, tego podwórca, tego zamku, słowem, wśród tych murów, ja odpowiadam za wszystko! Ale gdyby oddaliła się pani na krok od zamku, za jedno tylko mogę odpowiadać — że dam się zabić w pani obronie.

— A czy bym nie mogła, stosując się do życzenia mego ojca, udać się dalej, aż do klasztoru Sahastru?

— Proszę, niech pani próbuje, rozkazuje! Będę ci towarzyszył — ale padnę w drodze, a

pani... pani tam nie dotrze.

— Cóż więc robić?

— Pozostać tu, czekać, stosować się do wydarzeń, korzystać z okoliczności. Przypuśćmy, że pani dostała się do jaskini bandytów, gdzie tylko odwaga może wybawić z opresji, tylko zimna krew może ocalić. Moja matka, mimo że woli Kostaki, dziecię miłości, jest dobra i wspaniałomyślna. Zresztą to Brankowanka, prawdziwa księżna. Zobacz ją pani. Ona panią obroni przed brutalnymi zakusami Kostaki. Proszę się powierzyć jej pieczy. Jesteś pani piękna, pokocha cię. Zresztą (spojrzał na mnie z dziwnym wyrazem) któż mógłby widzieć panią i nie pokochać jej? Chodźmy teraz na wieczerzę, gdzie już nas oczekują. Proszę nie okazywać ani zakłopotania, ani nieufności. Niech pani mówi po polsku, nikt tu nie zna tego języka. Ja będę tłumaczył mojej matce i powiem tylko to, co należy. Zwłaszcza, ani słowa o tym, co mówiłem przed chwilą. Nikt nie może się domyślić, że jesteśmy w porozumieniu. Nie zna pani jeszcze przebiegłości i skrytości mojej matki. Chodźmy!

Podążyłam za nim po schodach oświetlonych żywicznymi pochodniami w żelaznych obręczach, umocowanych w murach. Tę niezwykłą iluminację urządzono najwyraźniej na moją cześć.

Weszliśmy do jadalni. Ledwie Gregoriska otworzył drzwi wypowiadając po mołdawsku słowo „cudzoziemka” — które poznałam potem — skierowała się w naszą stronę wysoka kobieta. Była to księżna Brankowan.

Siwe warkocze okalały jej głowę, strojną w sobolową czapczkę z kitą na znak książęcego pochodzenia. Miała długą, powłóczystą, również przybraną sobolami szatę, której stanik ze złotogłowiu lśnił od klejnotów. W ręku trzymała różaniec bursztynowy, który jej palce szybko przebierały.

Obok matki stał Kostaki we wspaniałym i uroczystym stroju węgierskim — i wyglądał w nim jeszcze dziwniej. Strój ten składał się z zielonego aksamitnego żupana z szerokimi rękawami, sięgającego poniżej kolan, z szarawarów z czerwonego kaszmiru i haftowanych złotem safianowych papuci. Długie włosy, tak ciemne, że niemal granatowe, spadały mu na odstoniętą szyję, od której odcinał się tylko wąski biały pasek jedwabnej koszuli.

Kostaki uklonił mi się niezgrabnie, mówiąc przy tym kilka niezrozumiałych dla mnie słów po mołdawsku.

— Możesz mówić po francusku, mój bracie — odezwał się Gregoriska. — Pani jest Polką i zna ten język.

Wówczas Kostaki powiedział po francusku kilka słów, niemal również dla mnie niezrozumiałych jak i tamte. Ale matka przerwała mu, wyciągając z powagą ramię. Widocznie oświadczyła synom, że ona tu przyjmuje. Rozpoczęła po mołdawsku przemówienie powitalne, a wyraz jej twarzy tłumaczył wszystko. Wskazała mi stół, ofiarowując miejsce obok siebie, uczyniła gest jakby obejmujący cały dom, chcąc dać mi do zrozumienia, że jest do mojej dyspozycji. Wreszcie zasiadła pierwsza z życzliwą godnością i przeżegnawszy się zaczęła odmawiać modlitwę.

Każdy usiadł na wyznaczonym mu przez etykietę miejscu — Gregoriska obok mnie. Kostaki otrzymał honorowe miejsce obok swej matki Smerandy — takie bowiem było imię księżny.

Gregoriska również się przebrał. Miał na sobie, jak i brat, węgierski strój koloru wiśniowego, a spodnie z granatowego kaszmiru. Szyję zdobił mu wspaniały order: Niszan sułtana Mahmuda.

Reszta domowników siedziała przy tym samym stole, odpowiednio do stanowiska, jakie każdy zajmował wśród przyjaciół lub służby.

Wieczerza była smutna. Kostaki nie odezwał się do mnie ani słowem, choć jego brat mówił tylko po francusku. Matka zaś częstowała mnie wszystkim z uroczystym wyrazem, który jej nigdy nie opuszczał. Gregoriska słusznie powiedział — była ona rzeczywiście księ-

zną.

Po kolacji Gregoriska podszedł do matki tłumacząc, że powinnam pozostać sama, gdyż po takich przeżyciach należy mi się wypoczynek. Smeranda skinęła głową, podała mi rękę i pocałowała w czoło jak córkę, życząc dobrej nocy w swoim zamku.

Gregoriska nie mylił się: pragnęłam gorąco samotności. Toteż podziękowałam księżnie, która odprowadziła mnie do drzwi, gdzie już czekały kobiety służebne. Skłoniwszy się matce oraz synom wróciłam do pokoju, z którego wyszłam przed godziną.

Sofa przekształciła się w łóżko — była to jedyna zmiana. Podziękowałam obu kobietom dając im znak, że rozbiorę się sama. Wyszły zaraz pełne szacunku, który świadczył, że nakazano im spełniać wszystkie moje rozkazy.

Pozostałam w olbrzymiej komnacie. Świeca, którą trzymałam w ręku, rozjaśniała ją tylko częściowo, nie ogarniając całości. Tworzyło to szczególną grę światła — była to jakby rywalizacja między blaskiem świecy i promieniami księżycy, które wpadały przez niezastłonięte okno.

Prócz drzwi wejściowych, ze schodów, pokój miał jeszcze dwoje innych drzwi. Ale ogromne zasuwki, w jakie były zaopatrzone, zabezpieczały mnie zupełnie. Zbadałam też drzwi wejściowe — były równie dobrze zabezpieczone.

Otworzyłam okno — wychodziło na urwisko. Zrozumiałam, że Gregoriska wybrał ten piękny pokój z rozmysłem. Stanąwszy przy sofie znalazłam na stole, u wezłowia, złożoną karteczkę. Rozwinąwszy ją przeczytałam po polsku:

„Proszę spać spokojnie. Nic pani nie grozi, póki jesteś w obrębie zamku.

Gregoriska”

Uśluchałam udzielonej mi rady, a że zmęczenie przemogło moje troski, więc położywszy się zaraz zasnąłam.

Rozdział XIV

DWAJ BRACIA

Od tej chwili zamieszkałam w zamku na stałe i od tej chwili rozpoczął się dramat, który państwu opowiem.

Obaj bracia zakochali się we mnie, każdy na swój sposób. Kostaki oznajmił mi nazajutrz, że będę jego lub niczyją i że raczej mnie zabije, niż ustąpi komukolwiek.

Gregoriska nic nie powiedział, ale otoczył mnie troskliwością i względami. Wykorzystał wszystkie zasoby swego świetnego wykształcenia, wszystkie wspomnienia młodości spędzonej na najznakomitszych dworach europejskich — by mi się podobać. Nie było to, niestety, trudne. Słyszac po raz pierwszy jego głos, poczułam, że sływa pieszczotą do mej duszy. Przy pierwszym spojrzeniu jego oczu wiedziałam, że przenika w głąb mego serca.

W ciągu trzech miesięcy Kostaki powtórzył mi ze sto razy, że mnie kocha — ja go nienawidziłam. W ciągu trzech miesięcy Gregoriska nie wyrzekł ani jednego miłosnego słowa, ja zaś czułam, że jeśli tylko zechce, będę należała do niego całkowicie.

Kostaki zrezygnował ze swoich wypraw i nie opuszczał już zamku. Zrzekł się chwilowo władzy na rzecz swego zastępcy, który zjawiał się co pewien czas po rozkazy i znikał.

Smeranda kochała mnie również uczuciem silnym, którego objawy budziły we mnie lęk. Popierała wyraźnie Kostaki i była bodaj że bardziej jeszcze zazdrosna o mnie niż on. Ponieważ jednak nie mówiła ani po polsku, ani po francusku, ja zaś nie znałam mołdawskiego, nie mogła więc orędownać u mnie dość gorąco za swym synem. Nauczyła się jednak trzech słów po francusku i powtarzała mi wciąż, ilekroć dotykała wargami mego czoła:

— Kostaki kocha Jadwigę.

Pewnego dnia dowiedziałam się rzeczy strasznej, która dopełniła miary moich nieszczęść. Zwrócono wolność czterem naszym ludziom, którzy uszli z życiem z walki. Wyjechali do Polski zobowiązując się słowem, że jeden z nich wróci przed upływem trzech miesięcy, aby przynieść wiadomość o ojcu.

Rzeczywiście, któregoś ranka zjawił się z powrotem. Zamek nasz został zdobyty, spalony i zrównany z ziemią, a ojciec mój poległ w jego obronie. Odtąd byłam sama na świecie.

Kostaki zdwoił wówczas swoje starania, a Smeranda swą tkliwość. Ale tym razem wymówiłam się żałobą po ojcu. Kostaki nalegał twierdząc, że im bardziej jestem osamotniona, tym więcej potrzebuję opieki. Jego matka nalegała wraz z nim w sposób może bardziej uporczywy niż on.

Gregoriska wspominał mi, jak bardzo Mołdawianie potrafią panować nad sobą, chcąc ukryć przed ludźmi swoje uczucia. On sam był tego żywym przykładem.

Trudno być bardziej pewną miłości mężczyzny, niż byłam ja w stosunku do niego. Gdyby jednak zapytano mnie, na czym ta pewność polega, nie potrafiłabym powiedzieć. Nikt na zamku nie widział, by jego dłoń dotknęła kiedykolwiek mojej, by jego spojrzenie szukało mojego. Tylko zazdrość mogła uświadomić Kostaki o tej rywalizacji, tak jak jedynie moja miłość mogła mnie oświecić o jego miłości.

Jednakże, przyznaję, niepokoiło mnie, że Gregoriska zdolny jest do tego stopnia panować nad sobą. Wierzyłam, zapewne, ale to mi nie wystarczało, pragnęłam być o tym przekonana. Otóż pewnego wieczora, kiedy już byłam w swoim pokoju, usłyszałam lekkie pukanie do bocznych drzwi. Poznałam, że to musiał być on, mój przyjaciel. Zbliżywszy się zapytałam, kto to.

— Gregoriska — odparł głos, którego brzmienie nie mogło budzić we mnie wątpliwości.

— Czego pan chce? — zapytałam drżąc cała.

— Jeżeli pani mi ufa — odparł Gregoriska — i uważa za człowieka honoru, proszę spełnić moją prośbę.

— Jakaż to prośba?

— Niech pani zgasi światło, tak jakby pani spała, i za pół godziny otworzy mi drzwi.

— Proszę przyjść za pół godziny — brzmiała moja odpowiedź.

Zgasiłam światło i czekałam. Serce biło mi gwałtownie, czułam bowiem, że chodzi tu o coś bardzo ważnego. Gdy upłynęło pół godziny, rozległo się pukanie jeszcze lżejsze od poprzedniego. Rygiel był odsunięty, wystarczyło otworzyć drzwi. Gregoriska wszedł, a ja zamknęłam drzwi na zasuwę.

Przez chwilę trwał nieruchomo bez słów, nakazując mi gestem milczenie. A upewniwszy się, że nie grozi nam znikąd niebezpieczeństwo, pociągnął mnie na środek pokoju. Widząc, że drzę cała i nie mogę utrzymać się na nogach, przysunął mi krzesło. Usiadłam, a raczej padłam na nie.

— Och, Boże! — zawołałam. — Co się stało? Na co tyle ostrożności?

— Bo od naszej rozmowy zależy moje życie, co nie ma znaczenia, ale może też i pani.

Przerażona, chwyciłam go za rękę. Podniósł moją dłoń do ust spoglądając na mnie tak, jak gdyby przeproszał za tyle śmiałości. Spuściłam oczy: było to przyzwolenie.

— Kocham cię — rzekł głosem melodyjnym jak śpiew. — Czy i ty mnie kochasz?

— Tak — odparłam.

— Zgadzasz się zostać moją żoną?

— Tak.

Przesunął ręką po czole i westchnął, jak gdyby chłonąc wielkie szczęście.

— Zechcesz więc pójść razem ze mną?

— Pójdę wszędzie!

— Rozumiesz chyba — mówił dalej — że możemy być szczęśliwi tylko uciekając stąd.

— O, tak! — zawołałam. — Uciekajmy!

— Cicho! — rzekł przerażony. — Cicho!

— Masz rację.

Drżąc cała, przysunęłam się do niego.

— Oto co zrobiłem — powiedział — oto dlaczego nie wyznawałem ci tak długo swej miłości. Bo chciałem, gdy się już upewnię o twojej wzajemności, aby nic nie przeszkodziło naszemu związkowi. Jestem bogaty, Jadwigo, bardzo bogaty, ale tak jak są bogaci Mołdawianie. Posiadam ziemię, stada, niewolników. Sprzedałem więc klasztorowi Hango grunty, stada, wioski za milion dukatów. Otrzymałem za trzysta tysięcy dukatów klejnoty, za sto tysięcy dukatów złoto, resztę w czekach na Wiedeń. Czy wystarczy ci milion?

Uścisnęłam jego rękę.

— Wystarczyłaby mi, Gregoriska, twoja miłość. Osądź sam.

— A więc, posłuchaj. Jutro pojedę do klasztoru w Hango, aby porozumieć się ostatecznie z przeorem. Przygotuje dla mnie konie, które od dziewiątej czekać będą w ukryciu, o sto kroków od zamku. Po kolacji wrócisz do siebie, tak jak dziś i zgasisz światło. Tak jak dziś przyjdę do ciebie, ale zamiast wyjść sam, wyjdę razem z tobą, bramą od strony pola. Znajdziemy tam nasze konie, dosiądziemy ich i pojutrze z rana będziemy mieli już za sobą trzydzieści mil.

— Czemuż to już nie jest pojutrze!

— Droga Jadwigo!

Gregoriska przycisnął mnie do serca, usta nasze złączyły się.

Och, słusznie powiedział: drzwi mojego pokoju otworzyłam człowiekowi honoru. Ale on zrozumiał to dobrze — jeżeli nie należałam doń ciałem, to duszą byłam jego.

Minęła noc, ale nie mogłam zmrużyć oka. Widziałam już, jak uciekam z Gregoriską. Unosił mnie, tak jak wówczas Kostaki. Ale ów straszny, przerażający i ponury galop zmienił się teraz w cudowny upajający uścisk, a pęd dodawał mu rozkoszy, bo i w pędzie tkwi swoista rozkosz.

Nadszedł dzień. Zeszłam na dół. Zdawało mi się, że ukłon Kostaki był jeszcze bardziej posepny niż zazwyczaj, a w jego uśmiechu kryła się już nie ironia, ale — groźba. Smeranda natomiast wyglądała tak jak zwykle.

Podczas śniadania Gregoriska rozkazał przygotować sobie konie, na co Kostaki jak gdyby wcale nie zwrócił uwagi. O jedenastej starszy z braci wstał i pożegnał nas, zapowiadając swój powrót dopiero na wieczór. Matkę poprosił, aby nie czekała z wieczorą, mnie zaś przeprosił za nieobecność. Kiedy wychodził, wzrok brata towarzyszył mu aż do drzwi i wtedy oko Kostaki zabłysło taką nienawiścią, że zadrżałam.

Dzień mi upłynął pośród łatwej do zrozumienia trwogi. Nie wspomniałam nikomu ani słowem o naszych projektach, ledwie w modłach swych do Boga śmiałam to uczynić. A zdawało mi się, że są już znane wszystkim, że każde kierowane ku mnie spojrzenie mogło przeniknąć i czytać w głębi mego serca.

Obiad był jedną torturą. Kostaki, ponury i milczący, nie odzywał się prawie. Ledwie przemówił parę słów do matki po mołdawsku, a za każdym razem głos ten wprawiał mnie w drżenie. Kiedy wstałam, aby pójść do swego pokoju, Smeranda pocałowała mnie jak zwykle, mówiąc przy tym zdanie, którego od tygodnia nie słyszałam już z jej ust:

— Kostaki kocha Jadwigę!

Zdanie to prześladowało mnie, niczym groźba. Kiedy wróciłam do swego pokoju, zdawało mi się, że wciąż słyszę ów fatalny szept: „Kostaki kocha Jadwigę!” A miłość Kostaki, jak powiedział mi Gregoriska, to śmierć!

Około siódmej wieczór, gdy zaczynało już zmierzchać, ujrzałam, że Kostaki przechodzi przez dziedziniec. Odwrócił głowę w stronę mojego okna, ale cofnęłam się gwałtownie, aby mnie nie spostrzegł. Byłam niespokojna, gdyż widziałam — o ile mogłam wysledzić to przez moje okno — że kieruje się ku stajni. Odważyłam się nawet, odsunawszy rygle, wśliznąć się do sąsiedniego pokoju, skąd mogłam już dostrzec, co robi.

Rzeczywiście, Kostaki udał się do stajni. Wyprowadził z niej swego ulubionego wierzchowca i osiodłał troskliwie, jak człowiek, który przywiązuje największą wagę do najdrobniejszych szczegółów. Był ubrany tak samo, jak go widziałam za pierwszym razem, a miał tylko szablę.

Osiodławszy konia Kostaki rzucił raz jeszcze spojrzenie w moją stronę, ale że mnie nie dostrzegł, skoczył na siodło. Gdy rozwarła się brama, przez którą wyjechał jego brat, Kostaki popędził galopem.

Serce ścisnęło mi się straszliwie, a okropne przecucie szeptało, że Kostaki wyruszył na spotkanie brata. Stałam w oknie tak długo, jak tylko mogłam objąć wzrokiem drogę, która ćwierć mili od zamku skręcała w bok, ginąc dalej w lesie. Ale gęstniejący mrok coraz bardziej ogarniał drogę, tak że była już prawie niewidoczna. Ja wciąż stałam w oknie.

Wreszcie nadmierny niepokój przywrócił mi siły. Ponieważ było rzeczą oczywistą, że na dole właśnie mogłam otrzymać pierwsze nowiny o obydwóch braciach, zeszałam więc do sali. Pierwsze spojrzenie rzuciłam na Smerandę. Ale spokój jej twarzy świadczył, że nie żywi jakichkolwiek obaw. Wydawała, jak zwykle, dyspozycje dotyczące wieczerzy, a nakrycia obu braci były na swoich miejscach.

Nie śmiałam nikogo pytać. Do kogo zresztą mogłabym się zwrócić? Poza Kostaki i Gregoriską nikt na zamku nie znał języków, którymi się posługiwałam. Drżałam przy najbliższym szmerze.

Do wieczerzy zasiadano zwykle o godzinie dziewiątej. Byłam na dole już wpół do dziewiątej i śledziłam ruch wskazówki minutowej, widoczny na dużej tarczy zegara. Wskazówka przebyła połowę drogi, wybił kwadrans. Dźwięk zabrzmiał ponuro i smutno. Wskazówka rozpoczęła dalej swoją wędrówkę, a ja obserwowałam, jak posuwa się powoli i regularnie.

Kilka minut przed dziewiątą wydało mi się, że słyszę tętent kopyt na dziedzińcu. Smeranda usłyszała go również, gdyż odwróciła głowę w stronę okna, ale gęsty mrok nie pozwalał nic dostrzec. Och, gdyby w tej chwili spojrziała na mnie, odgadłaby z łatwością, co się działo w moim sercu!

Na podwórku rozległ się tętent tylko jednego konia. Było to zupełnie naturalne. Dobrze wiedziałam, że wróci jeden tylko jeździec.

Ale który?

W przedpokoju zabrzmiały kroki. Kroki powolne, jak gdyby przytłaczające mi serce. Otworzyły się drzwi i w mroku zarysował się jakiś cień. Cień ten przystanął na chwilę w drzwiach. Serce zamarło we mnie. Cień ruszył naprzód, a w miarę jak wkraczał w krąg światła, odyskiwałam oddech. Rozpoznałam Gregoriska. Jeszcze chwila napięcia, a pękłoby mi serce.

Tak, to był on, ale blady jak śmierć... Wystarczyło nań spojrzeć, aby odgadnąć, że stało się coś strasznego.

— Czy to ty, Kostaki? — zapytała Smeranda.

— Nie, matko — odparł głucho Gregoriska.

— Ach, jesteś — rzekła. — A odkąd to matka powinna czekać na synów?

— Jest dopiero dziewiąta, matko — odezwał się Gregoriska rzuciwszy okiem na zegar.

W tej samej chwili wybiła dziewiąta.

— Rzeczywiście — powiedziała Smeranda. — A gdzie twój brat?

Mimo woli pomyślałam, że tak samo Bóg zapytał Kaina.

Gregoriska nic nie odrzekł.

— Czy nikt nie widział Kostaki? — rzuciła Smeranda.

Rozpytawszy się wokół marszałek odparł:

— Hrabia był około siódmej w stajni, sam osiodłał konia i pojechał drogą na Hango.

W tej samej chwili oczy moje napotkały wzrok Gregoriska. I nie wiem, czy była to rzeczywistość, czy halucynacja, ale wydało mi się, że dostrzegam na jego czole kroplę krwi. Podniosłam z wolna palec do swojego czoła wskazując miejsce, gdzie zobaczyłam plamę. Gregoriska zrozumiał to i wyjąwszy chustkę otarł czoło.

— Tak, tak — szepnęła Smeranda — pewno natknął się gdzieś na niedźwiedzia lub wilka i popędził za nim. I dlatego to syn każe matce czekać. Gdzieżeś go zostawił, Gregoriska? Powiedz.

— Matko — odparł Gregoriska głosem wzruszonym, ale spokojnym — myśmy nie wyruszyli razem.

— Dobrze — powiedziała Smeranda. — Niech podają i siądźmy do stołu. I trzeba zamknąć bramy. Kto zostanie poza nimi, spać będzie na dworze.

Pierwszy z tych rozkazów wykonano skrupulatnie. Smeranda usiadła na swoim miejscu, Gregoriska po jej stronie prawej, ja po lewej. Następnie służba wyszła, aby wykonać trzeci rozkaz, to znaczy zamknąć bramy zamkowe. W tej samej chwili rozległ się na podwórku ogromny zgiełk i do sali wbiegł przerażony służący wołając:

— Księżno pani, koń hrabiego Kostaki wpadł właśnie na dziedziniec sam i cały we krwi!

— Och! — szepnęła Smeranda wstając; była blada i groźna. — Tak samo powrócił pewnego wieczora wierzchowiec jego ojca.

Spojrzałam na Gregoriska: twarz miał już nie bladą, ale siną.

Rzeczywiście, któregoś wieczora koń hrabiego Koproli zjawił się na podwórku zamkowym, ociekając krwią. A w godzinę potem służba wróciła niosąc zmasakrowane ciało swego pana.

Smeranda wzięła z rąk lokaja pochodnię i otworzywszy drzwi wyszła na dziedziniec. Kilku stajennych powstrzymywało wspólnymi siłami przerażone zwierzę, starając się je uspokoić. Zbliżywszy się do konia, księżna, obejrzała krew na siodle i na łbie wierzchowca zauważyła ranę.

— Kostaki został zabity w pojedynku — rzekła. — Szukajcie, dzieci, jego ciała, potem poszukamy zabójcy.

Ponieważ koń wrócił od strony Hango, cała służba pośpieszyła w tamtym kierunku. Widać było, jak ich pochodnie, wędrując poprzez pole, zagłębiły się w lesie, podobnie jak świetliki w piękny wieczór letni lśnią na równinach Nicei czy Pizy.

Smeranda czekała u bram, jak gdyby przekonana, że poszukiwania nie potrwać długo. Ani jedna łza nie spadła z oczu zbolącej matki, choć czuło się, że sercem jej targa głęboka rozpacz. Gregoriska stał za nią, ja w pobliżu niego. W pewnej chwili wychodząc z sali, miał zamiar podać mi ramię, lecz nie śmiał.

Po upływie mniej więcej kwadransa na zakręcie drogi ukazała się jedna pochodnia, następnie druga, a potem już wszystkie. Tym razem jednak nie rozprasały się już po polu, lecz skupiły wokół wspólnego ośrodka. Tym ośrodkiem był, jak to niebawem ujrano, człowiek leżący na noszach. Żałobny pochód posuwał się z wolna, zbliżając się ku nam. Po dziesięciu minutach stanął u bramy. Spostrzegłszy matkę, oczekującą martwego syna, ci, co go nieśli, obnażyli instynktownie głowy i wkroczyli w milczeniu na podwórzec. Smeranda przyłączyła się do pochodu, a my podążyliśmy za nią. W ten sposób doszliśmy do wielkiej sali, gdzie złożono ciało.

Wówczas Smeranda, zdobywając się na gest pełen największego majestatu, odsunęła wszystkich i zbliżywszy się do zmarłego, przyklękła na jedno kolano. Odgarnawszy włosy, które przesłaniały twarz, wpatrywała się w nią długo suchymi wciąż oczyma, potem rozpięła kurtę i rozsunała skrwawioną koszulę.

Rana była po prawej stronie piersi. Zadać ją musiała klinga prosta i obosieczna. Przypomniałam sobie, że tegoż dnia widziałam u Gregoriska długi kordelas myśliwski, służący mu za bagniet przy jego karabinie. Poszukałam go wzrokiem u jego boku, ale zniknął bez śladu.

Smeranda kazała przynieść wody i zwilżywszy w niej chustkę obmyła ranę. Świeża i czysta krew zaróżowiła jej brzegi.

Widok, jaki miałam przed oczyma, był straszliwy i wzniosły zarazem. Wielka komnata, pełna dymu od żywicznych pochodni, okrutne twarze, dziko błyszczące oczy, dziwaczne stroje, i matka, która na widok ciepłej jeszcze krwi obliczała, jak dawno śmierć zabrała jej syna, wielka cisza, przerywana jedynie szlochom rozbójników, których Kostaki był hersztem — wszystko to, powtarzam, miało w sobie coś straszliwego i wzniosłego zarazem.

Wreszcie Smeranda dotknęła wargami czoła swego syna, powstała i odrzuciwszy w tył długie siwe warkocze, które zsunęły się z jej głowy, zawołała:

— Gregoriska!

Gregoriska, wyrwany z odrętwienia, wzdrygnął się, potrząsnął głową i rzeki:

— Matko!

— Chodź tu., mój synu, i posłuchaj runie.

Gregoriska, drżąc cały, usłuchał wezwania.

W miarę jak zbliżał się do ciała, rana jeszcze obficie broczyła krwią. Na szczęście, Smeranda spoglądała w inną stronę, gdyż widząc krew, która oskarżała, nie szukałaby już dłużej zabójcy.

— Gregoriska — rzekła — wiem, żeście się obaj nie kochali, Kostaki i ty. Wiem dobrze, że ty z ojca swego jesteś Waiwady, a on — Koproli. Ale przez matkę obaj byliście Brankowanami. Wiem, że ty jesteś człowiekiem Zachodu, miasta, on zaś — dzieckiem wschodnich gór. Ostatecznie jednak obaj jesteście braćmi dzięki temu łonu, które was obu nosiło. A więc, Gregoriska, chcę wiedzieć, czy syn mój ma spocząć obok swego ojca, zanim będzie złożona przysięga; chcę wiedzieć, czy mogę ronić spokojnie łzy jako kobieta, wiedząc, że ty, jako mężczyzna, dopełnisz zemsty?

— Wymień, pani, nazwisko zabójcy mojego brata i rozkaż. Przysięgam ci, że nie minie godzina, a jeśli tego zażadasz, przestanę żyć.

— Przysięgnij więc, Gregoriska, przysięgnij pod grozą mojego przekleństwa, słyszysz, mój synu? Przysięgnij, że zabójca umrze, że nie zostawisz z jego domu kamienia na kamieniu, że jego matka i dzieci, i bracia, i żona czy narzeczona zginą z twojej ręki. Przysięgnij, a przysięgając wezwij na siebie gniew niebios, jeżeli uchybisz tej świętej przysiędze. Jeżeli uchybisz tej świętej przysiędze, ściągnij na siebie nędzę, wżgardę przyjaciół, przekleństwo swej matki.

Gregoriska wyciągnął rękę nad trupem.

— Przysięgam, że zabójca umrze — powiedział.

Podczas wygłaszania tej szczególnej przysięgi, której prawdziwe znaczenie ja jedna mogłam zrozumieć, a może też i zmarły, ujrzałam — czy tylko tak mi się wydawało — przerażające zjawisko. Oczy nieboszczyka rozwarły się i utkwili we mnie spojrzenie tak żywe, jak nigdy przedtem, i poczułam — jakby ten wzrok był czymś dotykającym — że przeszywa mnie ono do samej głębi serca jak rozpalone żelazo.

Było to ponad moje siły — zemdlalam.

Rozdział XV

KLASZTOR HANGO

Obudziłam się w swoim pokoju na łóżku. Jedna z dwóch kobiet czuwała przy mnie. Zapytałam, gdzie jest Smeranda. Odpowiedziano mi, że czuwa przy zwłokach swego syna. Zapytałam o Gregoriska i usłyszałam, że znajduje się w klasztorze Hango.

Nie było już mowy o ucieczce. Czyż Kostaki nie umarł? Nie było też mowy o małżeństwie. Czyż mogłam poślubić bratobójcę?

I tak pośród tych dziwnych majaceń upłynęły trzy doby. We śnie czy na jawie, nieustannie widziałam żywe oczy Kostaki w jego martwej twarzy — była to straszliwa wizja.

Pogrzeb miał się odbyć na trzeci dzień. Smeranda przysłała mi z rana żałobny strój wdowy. Ubrawszy się zeszłam na dół. Dom wydawał się pusty, wszyscy byli w kaplicy. I ja się tam skierowałam. W chwili gdy wchodziłam, Smeranda, której nie widziałam od trzech dni, podeszła do mnie. Wydawała się posągiem Bolesci. Ruchem powolnym, jakby skamieniała, przysunęła lodowate wargi do mego czoła i głosem, zda się, zza grobu powiedziała swoje zwykłe słowa: „Kostaki kocha”.

Niepodobna wyobrazić sobie, jakie to na mnie wywarło wrażenie. To zapewnienie o miłości wyrażone w czasie terażniejszym, a nie przeszłym — k o c h a zamiast k o c h a ł — ta miłość spoza grobu do mnie, żywej, wstrząsnęła mną straszliwie.

A jednocześnie przenikało mnie dziwne uczucie, jak gdybym rzeczywiście była żoną nieboszczyka, a nie narzeczoną żyjącego. Owa trumna przyciągała mnie, wbrew mojej woli, tak jak wąż przyciąga ptaka, którego hipnotyzuje. Wzrokiem poszukałam Gregoriska. Spozstrzegłam, że stał blady obok kolumny — oczy miał wzniesione ku niebu. Nie mogłabym powiedzieć, czy mnie widział.

Mnisi z klasztoru Hango stali naokoło ciała, intonując monotonnie psalmy według obrządku greckiego. Ja też chciałam się modlić, ale słowa zamierały mi na ustach. Byłam tak przerażona, jak gdybym widziała przed sobą zbiorowisko demonów, a nie uroczystość religijną.

W chwili wyprowadzenia zwłok chciałam pójść za trumną, ale zabrakło mi sił. Nogi ugięły się pode mną i oparłam się o drzwi. Wówczas Smeranda zbliżyła się do mnie i równocześnie skinęła na Gregoriska. Kiedy podszedł, księżna zwróciła się do mnie po mołdawsku.

— Matka nakazuje mi powtórzyć wszystko, co powie — rzekł. A gdy Smeranda skończyła, dodał: — Oto są słowa mojej matki:

„Opłakujesz, Jadwigo, mojego syna, kochałaś go, prawda? Dzięki ci za te łzy i za miłość. Odtąd jesteś moją córką, tak jakby Kostaki był twoim mężem. Odtąd masz ojczyznę, matkę, rodzinę. Wylejmy tyle łez, ile należy się ich zmarłym, i stańmy się obie godne tego, którego już nie ma... Ja — matka, ty — żona. Bądź zdrowa! Wracaj do siebie. Ja odprowadzę syna aż do miejsca wiecznego spoczynku, a gdy wrócę, zamknę się wraz z moim bólem i ujrzysz mnie dopiero wtedy, kiedy go przewyciężę. Bądź spokojna, ja muszę go zwalczyć, gdyż nie chcę, aby on zmógł mnie.”

Na słowa Smerandy, przetłumaczone przez Gregoriska, mogłam odpowiedzieć tylko — jękiem. Wróciłam do siebie, a pochód żałobny oddalił się. Widziałam, jak znika na zakręcie drogi. Klasztor Hango znajdował się w linii prostej tylko o pół mili od zamku. Ale trudności terenu, zmuszając do wykorzystania dróg okólnych, opóźniły marsz o dwie godziny.

Był listopad, dnie stały się krótkie i zimne, o godzinie piątej panował już zupełny mrok. Około siódmej znowu ujrzałam pochodnie — powrót żałobnej procesji. Ciało spoczęło w grobowcu przodków. Wszystko było skończone.

Wspomniałam już, w jaki szczególny stan popadłam od owego fatalnego wydarzenia, które pograżyło nas w żałobie — a zwłaszcza od chwili, gdy rozwarły się i utkwily we mnie spojrzenie zamknięte przez śmierć oczy. Owego dnia, przytłoczona nowymi przeżyciami, byłam jeszcze smutniejsza. Słuchałam, jak biły godziny na zegarze zamkowym i w miarę jak zbliżała się przypuszczalna chwila śmierci Kostaki wzmagало się coraz bardziej moje przygnębienie.

Wydzwoniły trzy kwadranse, a mną owładnęło jakieś dziwne uczucie. Ciałem mym wstrząsał przerażający, lodowaty dreszcz, potem ogarnęła mnie nieprzewyciężona senność, na piersiach czułam ciężar, a oczy zasnuła mgła. Wyciągnawszy ramiona, upadłam tyłem na łóżko.

Niezupełnie jednak straciłam świadomość, gdyż usłyszałam zbliżające się do drzwi kroki. Po chwili drzwi jak gdyby otworzyły się. potem przestałam już widzieć i słyszeć. W pewnej chwili czułam dotkliwy ból w szyi — i zapadłam w zupełny letarg. O północy obudziłam się, lampa jeszcze płonęła. Chciałam wstać, ale byłam tak słaba, że dwukrotnie opadłam na łóżko. Przewyciężyłam jednak osłabienie, a że czułam wciąż ból szyi, jak w czasie snu, powlokłam się do lustra opierając o ścianę.

Przejrzałam się. Na szyi, tuż koło tętnicy, znać było ukłucie jak od szpilki. Pomyślałam, że jakiś owad ukąsił mnie, kiedy spałam, ale będąc śmiertelnie znużona położyłam się z powrotem.

Nazajutrz obudziłam się jak zwykle i zaraz chciałam wstać, czułam się jednak osłabiona tak, jak owego dnia, kiedy puszczo mi krew. Zbliżyłam się do lustra i uderzyła mnie bledość mojej twarzy. Dzień minął ponuro i smutno. Miałam dziwne uczucie: nie mogłam zdobyć się na jakikolwiek wysiłek, tak mnie męczył każdy ruch. Zapadł mrok, przyniesiono ma lampę i moje służebne — jak mi się zdawało — chciały pozostać. Podziękowałam im i wyszły.

O tej samej godzinie, co poprzedniego dnia, poczułam takie same objawy. Chciałam wstać i wezwać pomocy, ale już nie mogłam dojść do drzwi. Jak przez mgłę słyszałam, że zegar wybił trzy kwadranse po ósmej, rozległy się kroki, otworzyły się drzwi. Ale nic nie widziałam, nic nie słyszałam. Tak jak poprzedniego dnia upadłam na łóżko i tak samo odczułam dotkliwy ból w szyi. Obudziłam ię znów o północy, ale jeszcze słabsza i bledsza niż poprzednio.

Nazajutrz ta straszliwa historia powtórzyła się od początku. Byłam już zdecydowana, mimo całego osłabienia, zejść do Smerandy, gdy jedna z kobiet weszła do pokoju wymawiając imię Gregoriska. Zaraz też ukazał się i on sam. Chciałam wstać na jego powitanie, ale opadłam z powrotem na fotel. Spojrzawszy Gregoriska krzyknął i chciał rzucić się ku mnie, ale zdołałam wyciągnąć w jego stronę ramię.

— Po co tu przyszedłeś? — zapytałam,

— Niestety — odparł — przyszedłem się pożegnać! Przyszedłem powiedzieć, że opuszczam ten świat, który stał mi się nieznośny bez twojej miłości i widoku. Wstępuję do klasztoru w Hango.

— Pozbawiony jesteś, Gregoriska, mojego widoku — powiedziałam — ale nie mojej miłości. Kocham cię, Niestety, dalej! I głęboko boleję, że ta miłość staje się niemal występkiem.

— Mogę więc mieć nadzieję, że będziesz modliła się za mnie, Jadwigo?

— Tak. Nie zdołam jednak modlić się już długo — dodałam z uśmiechem.

— Co ci jest? Dlaczegoś taka blada?

— Widać, Bóg lituje się nade mną i wzywa do siebie!

Gregoriska zbliżył się do mnie, ujął za rękę, której nie miałam siły cofnąć, i patrząc badawczo rzekł:

— Ta bledość nie jest naturalna, Jadwigo. Skąd ona pochodzi?

— Gdybym ci powiedziała, pomyślałbyś, że to szaleństwo.

— Nie, nie, powiedz, Jadwigo, błagam cię! Jesteśmy w kraju nie podobnym do żadnego innego, w rodzinie nie podobnej do innych. Powiedz, powiedz wszystko, błagam!

Opowiedziałam mu wszystko — o dziwnej halucynacji, jaka mnie nawiedzała w domniemanej godzinie śmierci Kostaki, o grozie, odrętwieniu, lodowatych dreszczach i wyczerpaniu ścinającym mnie z nóg, o szmerach kroków, jakie słyszałam; o tym, jak otwierały się drzwi, a wreszcie o dojmującym bólu, a potem błądności i coraz to większym osłabieniu.

Sądziłam, że moja opowieść wyda się Gregorisce początkiem szaleństwa, i kończyłam ją trochę onieśmielona. Tymczasem zaś, przeciwnie, spostrzegłam, że słuchał jej z głęboką uwagą. Gdy przestałam mówić, zastanowił się przez chwilę.

— A więc — zapytał — zasypiasz co wieczór kwadrans przed dziewiątą?

— Tak, mimo iż usiłuję na wszelki sposób opanować senność.

— I widzisz jakby otwierające się drzwi?

— Tak, choć zamykam je na rygiel.

— I czujesz dotkliwy ból w szyi?

— Tak, choć ledwie znać na niej ślad jakiejś rany.

— Czy pozwolisz mi ją obejrzeć? — zapytał

Przechyliłam głowę na ramię, a Gregoriska obejrzał bliznę.

— Jadwigo — rzekł po chwili — ufasz mi?

— Jakże możesz pytać? — powiedziałam.

— Wierzysz w moje słowo?

— Tak jak w ewangelię.

— A więc, Jadwigo, przysięgam na honor, że nie przeżyjesz tygodnia, o ile nie zgodzisz się zrobić, dziś jeszcze, tego, co ci powiem!

— A jeśli się zgodzę?

— Jeżeli się zgodzisz, będziesz może uratowana.

— Może?

Gregoriska zamilkł.

— Cokolwiek ma się stać — podjęłam — zrobię to, co mi każesz.

— Słuchaj więc — powiedział — a przede wszystkim, nie trwóż się. W twoim kraju, tak jak na Węgrzech, jak w naszej Rumunii istnieje zabobon.

Zadrzałam, gdyż przypomniał mi się ów zabobon.

— Ach — rzekł — wiesz, o czym chcę mówić?

— Tak — odparłam. — Widziałam w Polsce ludzi ulegających wpływowi owego straszliwego zjawiska.

— Masz na myśli wampiry?

— Tak. Widziałam w dzieciństwie, jak w jednej z wiosek mojego ojca odkopano na cmentarzu czterdzieści osób... Zmarły one w ciągu dwóch tygodni, ale nie można było odgadnąć przyczyny ich śmierci. Siedemnaście spośród nich posiadało wszelkie oznaki zdradzające, iż są wampirami, to znaczy — zachowały świeżość i rumieńce, jak żywe. Reszta — były to ich ofiary.

— I co zrobiono, aby uwolnić od nich wieś?

— Wbito im w serce pal, a potem spalono.

— Tak właśnie postępuje się zwykle, ale nam to nie wystarczy. Ażeby cię uwolnić od upiora, muszę najpierw go wykryć i klnę się niebem, że go wykryję! Tak, jeżeli trzeba, będę z nim walczył pierś o pierś, kimkolwiek jest!

— Ach, Gregoriska! — zawołałam przerażona.

— Powiedziałem „kimkolwiek jest” i powtarzam to. Aby jednak mógł tę straszliwą rzecz wykonać, musisz zgodzić się na wszystko, czego zażądam.

— Mów!

— Bądź gotowa o godzinie siódmej. Zejdź do kaplicy sama jedna. Musisz przemóc swe osłabienie, musisz! Tam zostanie pobłogosławiony nasz związek małżeński. Zgódź się na to, ukochana. Chcąc cię bronić, muszę mieć, wobec Boga i ludzi, prawo czuwania nad tobą. Potem wrócimy tu, i wtedy zobaczymy!

— Och, Gregoriska! — krzyknęłam. — Jeżeli to on, zabije cię!

— Nie lękaj się niczego, ukochana moja Jadwigo. Zgódź się tylko.

— Wiesz przecież, że zrobię wszystko, czego zażadasz.

— A więc, do wieczora!

— Dobrze. Zrób ze swej strony wszystko, co trzeba, a ja ci będę pomocna w miarę moich sił. Idź!

Wyszedł. W kwadrans potem ujrzałam jeźdźca pędzącego co koń wyskoczy w kierunku klasztoru. To był on!

Ledwie straciłam go z oczu, padłam na kolana i modliłam się tak, jak w waszych pozbawionych wiary krajach nikt już nie potrafi. Oczekiwałam godziny siódmej, ofiarowując Panu Bogu i świętym wszystkie swoje myśli. Wstałam w chwili, gdy biła siódma.

Byłam słaba, niczym umierająca, i blada jak śmierć. Zarzuciłam na głowę długi czarny szal i zeszałam na dół, trzymając się ścian. Nie napotkawszy nikogo znalazłam się w kaplicy. Gregoriska czekał już tam na mnie wraz z ojcem Bazylim, przeorem klasztoru Hango. U boku miał poświęconą szpadę, relikwię po starym krzyżowcu, który zdobywał Konstantynopol z Villehardouinem i Baldwinem flandryjskim.

— Jadwigo — powiedział uderzając dłonią po szpadzie — oto, co z pomocą boską zniszczy czary grożące twojemu życiu. Zbliź się śmiało. Ten świątobliwy mąż, który mnie wypowiadał, przyjmie teraz nasze przysięgi.

Rozpoczęła się ceremonia, a równie prostej i zarazem uroczystej chyba nigdy jeszcze nie widziano. Nie było asysty i pop sam włożył nam na głowy ślubne wieńce. W żałobie oboje, obeszliśmy ołtarz trzymając w rękach gromnice. Wygłosiwszy formuły rytualne duchowny dodał:

— A teraz idźcie, moje dzieci, i niechaj Bóg da wam moc i odwagę do walki z wrogiem rodzaju ludzkiego. Bronią waszą jest niewinność i sprawiedliwość, zwyciężycie demona. Idźcie i bądźcie błogosławieni.

Po ucałowaniu obrazów świętych wyszliśmy z kaplicy. Po raz pierwszy opierałam się na ramieniu Gregoriska i zdawało mi się, że wstępuje we mnie życie, gdy dotykałam jego męznego ramienia i czułam bicie jego szlachetnego serca. Miałam pewność zwycięstwa, skoro Gregoriska był ze mną. Poszliśmy do mego pokoju. Wybiła godzina wpół do dziewiątej.

— Jadwigo — powiedział wówczas do mnie Gregoriska — nie mamy czasu do stracenia. Czy chcesz zasnąć jak zwykle, tak żeby wszystko odbyło się podczas twego snu? Czy wolisz pozostać ubrana i wszystko widzieć?

— Przy tobie nie lękam się niczego, chcę tak pozostać i widzieć wszystko.

Gregoriska wydobyl z zanadza poświęcony bukszpan, jeszcze wilgotny, i podał mi go.

— Weź tę gałązkę — rzekł — i połóż się. Odmawiaj modlitwy do Matki Boskiej i czekaj bez lęku. Bóg jest z nami. Nie upuść jednak bukszpanu, bo mając go możesz rozkazywać samemu piekłu. Nie wołaj mnie, nie krzycz. Módl się i czekaj.

Położyłam się i splotłam ręce na piersiach, przyciskając poświęcony bukszpan. Gregoriska ukrył się za baldachimem, który zasłaniał róg mego pokoju. Liczyłam minuty i on z pewnością też je liczył.

Wybiły trzy kwadranse. Jeszcze dźwięczały w powietrzu uderzenia, a ja już odczuwałam znane mi tak dobrze odrętwienie, grozę i lodowate zimno. Ale przysunęłam do ust bukszpan i przytomność wróciła.

Wtedy usłyszałam wyraźnie ów krok powolny i miarowy, który rozlegał się na schodach i zbliżał do mojego pokoju. Drzwi otworzyły się wolno, bez hałasu, jakby pchnięte

nadnaturalną siłą i wówczas...

Głos opowiadającej urwał się jakby zdławiony w jej gardle.

— I wówczas — ciągnęła dalej z wysiłkiem — spostrzegłam Kostaki. Był blady, taki jak go widziałam na marach. Długie włosy, rozrzucone na ramionach, ociekały krwią. Nosił swój zwykły strój, który rozchylony był na piersiach, tak że widać było krwawiącą ranę. Wszystko tchnęło w nim śmiercią, trupem... Ciało, ubiór, chód... Tylko oczy, te straszliwe oczy, były żywe.

Na ten widok — rzecz dziwna! — zamiast wzmożonej grozy czułam, że rośnie moja odwaga. Bóg zsyłał mi ją zapewne po to, abym mogła się opanować i bronić przeciwko piekłu. Przy pierwszym kroku upiora w stronę mojego łóżka, skrzyżowałam śmiało swój wzrok z jego ołowianym spojrzeniem, wysuwając poświęcony bukszpan. Widmo próbowało zbliżyć się, ale silniejsza od niego moc wstrzymywała je w miejscu. Przystanął szepcząc:

— Och, ona nie śpi, wie wszystko.

Choć mówił po mołdawsku, rozumiałam każde słowo, jakby je wygłaszano w znanym mi języku. Staliśmy tak oboje na wprost siebie — i nie mogłam oderwać od niego wzroku. Ale widziałam, nawet nie odwracając głowy, że Gregoriska, podobny do anioła mściciela, wystąpił spoza drewnianej stali ze szpadą w ręce. Przeżegnawszy się lewą ręką, posuwał się z wolna ku widmu z wyciągniętą bronią.

Na widok brata upiór również obnażył szablę, zaśmiawszy się straszliwie. Ledwie jednak dotknęła ona poświęconej klingi, ramię upiora opadło bezwładnie wzdłuż ciała. Z piersi Kostaki wydarło się westchnienie nienawiści i rozpacz. „Czego chcesz?” — zapytał brata. „Na Boga żywego! — zawołał Gregoriska. — Zaklinam cię, odpowiedz!” — „Mów” — rzekł upiór zgrzytając zębami. „Czy to ja czekałem na ciebie?” — „Nie.” — „Czy to ja cię zaatakowałem?” — „Nie.” — „Czy to ja ci zadałem cios?” — „Nie.” — „Tyś się rzucił na moją szpadę, to wszystko. A więc, w obliczu Boga i ludzi, nie jestem winny zbrodni bratobójstwa; a więc nie przez niebo jesteś posłany, ale przez piekło; a więc wyszedłeś z grobu nie jako świętobliwy cień, lecz jako widmo przekłete — i wrócisz do mogiły.” — „Z nią, tak!” — zawołał Kostaki usiłując z całej mocy mnie schwycić. „Sam! — krzyknął teraz Gregoriska. — Ta kobieta należy do mnie!” — Z tymi słowami dotknął żywej rany końcem poświęconej szpady. Kostaki krzyknął jak gdyby rażony ognistym mieczem i podniósłszy lewą rękę do piersi, cofnął się nieco.

Jednocześnie Gregoriska, dotrzymując mu kroku, posunął się naprzód. Utkwiwszy wzrok w oczach zmarłego, oparłszy klingę na jego piersi, rozpoczął powolną, straszliwą i uroczystą wędrówkę, podobną do wędrówki Don Juana i komandora. Upiór cofnął się przed święconym mieczem, przed nieodpartą wolą rycerza niebios, który napierał nań bez przerwy, bez jednego słowa. Obaj ciężko dyszeli, obaj byli sini, a żywy zmuszał zmarłego do opuszczenia zamku, będącego jego siedzibą w przeszłości, i do powrotu do mogiły, mającej stanowić jego schronienie w przyszłości.

Och, przysięgam, był to straszliwy widok!

Ja jednak, jak gdyby poruszona jakąś siłą wyższą, niewidzialną i nieznaną, nie zdając sobie sprawy z tego, co czynię, wstałam i poszłam za nimi. Zeszliśmy ze schodów, rozjaśnionych jedynie gorejącymi żrenicami Kostaki, następnie przebyliśmy galerię, potem dziedzińiec. Tym samym miarowym krokiem minęliśmy bramę: upiór cofając się, Gregoriska z wyciągniętą szpadą, ja — za nimi.

Ten niesamowity marsz trwał godzinę. Należało zmarłego odprowadzić do grobu. Ale zamiast iść zwykłą drogą, Kostaki i Gregoriska przecięli teren w linii prostej, nie troszcząc się o przeszkody, które przestały istnieć. Pod ich nogami wyrównywał się grunt, wysychały strumienie, cofały się drzewa, usuwały się skały. Takiego samego cudu doświadczałam i ja. Przy tym całe niebo wydawało się zaciągnięte czarną krepą — znikł księżyc i gwiazdy, a w ciemnościach niezmiennie gorzały płomienne oczy wampira.

W ten sposób dotarliśmy do Hango i tak samo przebyliśmy żywopłot, otaczający cmentarz. Ledwieśmy tam weszli, poznałam od razu grób Kostaki, znajdujący się obok mogiły jego ojca. Nie wiedziałam, że jest właśnie tam, ale rozpoznałam go od razu — tej nocy wszystko było mi wiadome.

Nad otwartą mogiłą Gregoriska zatrzymał się mówiąc: „Kostaki, nie wszystko jeszcze stracone dla ciebie. Głos z nieba oznajmia mi, że będzie ci przebaczone. jeżeli okażesz skruchę. Przrzekasz powrócić do grobu? Przrzekasz, że już go nigdy nie opuścisz i że oddawać będziesz cześć Bogu a nie diabłu?” — „Nie” — odparł Kostaki. „Żałujesz?” — zapytał Gregoriska. „Nie!” — „Po raz ostatni pytam!” — „Nie!” — „A więc, wezwij pomocy szatana, tak jak ja Boga, i zobaczmy raz jeszcze, czyje będzie zwycięstwo.” Zabrzmiały na raz dwa okrzyki, ostrza skrzyżowały się niecąc iskry — walka trwała chwilę, która wydała mi się wiekiem.

Kostaki upadł. Ujrzałam, jak wznosi się straszliwa szpada, jak zagłębia się w jego ciele i przygważdża je do świeżo poruszonej ziemi. Powietrze przeszył ostry krzyk, nie mający w sobie nic ludzkiego.

Podbiegłam. Gregoriska stał, ale chwiał się. Znalazłszy się obok, podtrzymałam go w moich ramionach.

— Jesteś ranny? — zapytałam z trwogą.

— Nie — odparł. — Ale w takim pojedynku, droga Jadwigo, nie rana zabija, lecz walka. Walczyłem ze śmiercią i do śmierci należę.

— Kochany mój! — krzyknęłam. — Oddal się, uchodź stąd, a może odzyskasz życie.

— Nie — powiedział — oto mój grób, Jadwigo. Ale nie traćmy czasu. Weź trochę ziemi, przesiąkłej jego krwią, i przyłóż do miejsca, gdzie cię dotknął. To jedyny sposób uchronienia cię na przyszłość od jego straszliwej miłości.

Usłyszałam drząc cała. Schyliłam się po zroszoną krwią ziemię i zobaczyłam przygwożdżone ciało. Poświęcona klinga przeszła mu serce, które broczyło obficie czarną posoką, jak gdyby dopiero w tej chwili zakończył życie.

Zmieszałam grudkę ziemi z krwią i ten straszliwy talizman przyłożyłam do swojej rany.

— A teraz, ukochana Jadwigo — rzekł Gregoriska słabnącym już głosem — posłuchaj moich ostatnich zaleceń. Opuść ten kraj jak tylko możesz najprędzej. Tylko odległość zapewni ci bezpieczeństwo. Ojciec Bazyli otrzymał dziś moją ostatnią wolę i wykona ją. Jadwigo, pocałuj mnie! Ostatni, jedyny raz! Umieram, Jadwigo!

Z tymi słowy Gregoriska upadł koło swego brata.

W każdej innej okoliczności chyba bym oszalała znalazłszy się na cmentarzu, nad otwartą mogiłą, obok leżących przy sobie dwóch trupów. Ale, jak już powiedziałam, Bóg natchnął mnie siłą odpowiadającą wydarzeniom, których byłam nie tylko świadkiem, lecz i uczestnikiem.

W chwili gdy się rozglądałam szukając pomocy, otworzyła się brama klasztorna i spostrzegłam idących parami mnichów, prowadzonych przez ojca Bazylego. Nieśli oni zapalone pochodnie i odmawiali modły za umarłych. Przeor wrócił właśnie do klasztoru i przewidując, co się stanie, udał się na cmentarz na czele zakonników. Zastał mnie żywą obok dwóch trupów.

Ostatnie przedśmierne skurcze skaziły twarz Kostaki, podczas gdy Gregoriska był spokojny i niemal uśmiechnięty. Pochowano go, tak jak polecił, obok brata: chrześcijanin strzegł potępieńca.

Smeranda, dowiedziawszy się o tym nowym nieszczęściu i moim w nim udziale, zapragnęła mnie widzieć. Przybyła więc do klasztoru Hango i usłyszała z moich ust o wszystkich wydarzeniach owej straszliwej nocy. Opowiedziałam jej szczegółowo tę niesamowitą historię, ale ona przyjęła ją, podobnie jak Gregoriska, bez zdziwienia i grozy.

— Jadwigo — rzekła po chwili milczenia — mimo iż ta opowieść wydaje się bardzo

dziwna, powiedziałaś zupełną prawdę. Ród Brankowanów jest przeklęty aż do trzeciego i czwartego pokolenia, a to dlatego, że jeden z Brankowanów zabił osobę duchowną. Ale przyszedł kres przekleństw — mimo że zamężna, jesteś dziewicą, i na mnie ród ten wygaśnie. Jeżeli syn mój zapisał ci milion dukatów, przyjmij je. Po mnie odziedziczysz resztę fortuny, oprócz zapisów na cele dobroczynne, jakie uczynię. A teraz zastosuj się do rady swego małżonka. Wracaj czym prędzej tam, gdzie Bóg nie dopuszcza do tak straszliwych wydarzeń. Nie potrzeba, aby ktoś opłakiwał synów moich wraz ze mną. Bądź zdrowa, nie dowiaduj się o mnie. Przyszły mój los należy tylko do mnie i do Boga.

Ucałowałam mnie, jak zwykle, w czoło, Smeranda rozstała się ze mną, aby żyć samotnie na zamku Brankowanów.

W tydzień potem wyjechałam do Francji. Zgodnie z przewidywaniami Gregoriski, straszliwy upiór przestał nawiedzać mnie nocą. Wzmocniło się nawet moje zdrowie i tylko pozostała mi po tamtych przeżyciach śmiertelna bladeść, która nie opuszcza aż do grobu istot pocałowanych przez wampira.

Dama umilkła. Wybiła północ i, ośmielę się powiedzieć, najodważniejszy z nas drgnął na dźwięk zegara. Był już wielki czas, aby się rozejść — i wszyscy pożegnaliśmy się z panem Ledru.

W rok potem ten zacny człowiek zmarł. I teraz po raz pierwszy od jego śmierci mam sposobność złożyć daninę dobremu obywatelowi, skromnemu uczonemu, a zwłaszcza — rzetelnemu człowiekowi. I właśnie to czynię.

Nigdy odtąd nie byłem już w Fontenay-aux-Roses, ale wspomnienie o tamtym dniu prawie nigdy mnie nie opuszczało, a wszystkie dziwne historie, opowiedziane w ciągu jednego wieczora, pozostawiły w mej pamięci niezatarty ślad.

Przypuszczając, że wzbudzę u innych zainteresowanie, jakiego sam doznałem, zebrałem w różnych krajach, które odwiedziłem w ciągu osiemnastu lat — w Szwajcarii, Niemczech, Włoszech, Hiszpanii, na Sycylii, w Grecji i Anglii — wszystkie opowieści tego rodzaju, żyjące w tradycji różnych narodów. Złożyło się to na całość, którą dziś oddaję w ręce czytelnika.

KONIEC

SPIS TREŚCI

LIST DO PRZYJACIELA	02
Rozdział I ULICA DIANE W FONTENAY-AUX-ROSES	05
Rozdział II ZAŁĘK SIERŻANTÓW	08
Rozdział III PROTOKÓŁ	12
Rozdział IV DOM SCARRONA	17
Rozdział V POLICZEK CHARLOTTY CORDAY	22
Rozdział VI SOLANGE	27
Rozdział VII ALBERT	34
Rozdział VIII KOT, WOŹNY I SZKIELET	38
Rozdział IX GROBOWCE W SAINT-DENIS	45
Rozdział X ARTIFAILLE	51
Rozdział XI BRANSOLETKA Z WŁOSÓW	62
Rozdział XII W KARPATACH	66
Rozdział XIII ZAMEK BRANKOWANÓW	71
Rozdział XIV DWAJ BRACIA	74
Rozdział XV KLASZTOR HANGO	80